



**CHCĘ ŻYĆ, TO ŻYJĘ
POMIMO
OSWAJAĆ STRACH**



Bogusia Bogucka

Dziękuję swojej rodzinie. To dzięki niej, wciąż jestem. POMIMO

© Bogusława Bogucka, Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-969879-0-7



9 788396 987907

Kiedy rozmawiamy o chorobie nowotworowej, o raku, to głównie skupiamy się na strachu, cierpieniu i beznadziejności. Ja ukazuję życie z rakiem, którego nie mogę się pozbyć, od innej strony. Mimo diagnoz, szokujących informacji zamykających drzwi do przyszłości, pokazuję inny aspekt tej choroby. Z perspektywy radości, miłości, umacniania więzi z innymi, doznawania pasji i uniesień. Dostrzegania i przeżywania wielu sytuacji, chwil, których się wcześniej nie dostrzegało. Takich zwykłych, a dla mnie dzisiaj tak bardzo niezwykłych.

Tak przeżywam chorobę od tej drugiej, słoneczniej strony.

POMIMO.

Choć to brzmi bardzo niedorzecznie i głupio, jest to możliwe.

Czy strach można oswoić? Według mnie nie, ale trzeba uczyć się z nim żyć.

Jestem zwykłą kobietą z tłumu. Jedną z Was. Ze strachem żyję wiele lat. Nigdy go nie oswoiłam, ale każdego dnia, w każdej chwili uczę się z nim żyć i go oswajając na tyle, ile się da, na ile sama potrafię. Czy jest to proste? Nigdy w życiu.

Nie piszę tego po to, aby mnie podziwiać lub nazywać głupią, ale dlatego, ***aby pokazać, jak jesteśmy silni, ile możemy przejść, wytrzymać - dla uśmiechu najbliższych, rodziny, przyjaciół, znajomych lub własnego odbicia w lustrze czy wizerunku upamiętnionego na zdjęciu. Dla samych siebie. Aby pokazać, udowodnić, że warto, że trzeba żyć, bo nigdy nie wiemy czy ciepły uśmiech czeka na nas za kolejnymi drzwiami. Czy nie chcesz tego doświadczyć?***

Moje refleksje nie zostały ujęte w formie pamiętnika ani opowiadania. Są to zapisy myśli, przeżyć, przemyśleń dnia codziennego, być może bliskich każdemu z Was.

Czy warto je przeczytać? Wysłuchać ich? Myślę, że tak. Wiem, że tak. Ułatwi to, być może, autorefleksję i zobiektywizuje spojrzenie na wszystko, co się wokół nas dzieje. Pokaże, że można przeżywać najdrobniejsze przyjemności, dostrzegać chwile, wobec których kiedyś przechodziliśmy obojętnie, że warto i można zawsze być POGODNYM CZŁOWIEKIEM - POMIMO.



***Bogusia B - drobna platynowa blondynka
w różowym swetrze,
zawsze uśmiechnięta i szczęśliwa.***

POMIMO

WSTĘP OD CÓRKI...

Przyznaję się, nie czytałam, nie umiem, boję się, że znajdę coś czego nie udźwignę... choć wiem, że to wszystko co tu opisane już przeżyliśmy Razem... Już jest za nami. Mam nadzieję, że nasze doświadczenia dadzą Ci siłę – siłę do życia i działania.

Większość z Was myśli, że ta choroba to droga przez mękę. Wszystko jest beznadziejne i szare, wszystko jest bez znaczenia. Oczywiście jest ból i niemoc, ale jest też to, czego bez tej choroby nie dostrzeżesz...

Każde doświadczenie jest lekcją, która nas uczy...

Rak... jest okropną chorobą, bo inaczej nie napiszę. Ale w wyniku tej choroby zyskałam przyjaciółkę – taką najlepszą na świecie. Bo w przyjaźni liczy się to, kto jest z Tobą i nie zostawia nas samych w trudnej chwili. Odkryłam radość ze wspólnego picia kawy, siedzenia w parku i łapania promyków słońca lub wygrzewania się przy kominku zimą. Odkryłam magię uśmiechu. Odkryłam magię dobrych chwil. Takich zwykłych, a jakże niezwykłych... Uwielbiam z nią spędzać czas, zwiedzać nowe miejsca, poznawać nowe smaki w małych Warszawskich knajpkach lub gotować obiady, rozmyślać nad Wisłą...

Tak to moja Mama – moja najlepsza przyjaciółka!

Choroba mojej mamy nauczyła mnie doceniania tego wszystkiego co mamy w zasięgu ręki, a często jest to niedoceniane, niewidzialne, uznawane za normę...

Choroba mojej mamy dała mi siłę, wiarę i nadzieję, że pomimo wszystkiego co się wydarzyło i dzieje aktualnie Nadzieja zawsze będzie ze mną, a ja zawsze będę przy mojej przyjaciółce.

Wiem, że najlepsze co możemy zrobić my – my jako rodzina i przyjaciele ... to BYĆ. Więc bądźmy. Tylko tyle i AŻ tyle. Doceniajmy każdą godzinę jaką możemy spędzać Razem, cieszymy się nią.

Jedno przytulenie, jeden błysk w oczach, jeden uśmiech są więcej warte niż 1000 słów.

Żyj (bo umrzesz) – nawiasem mówiąc...

Pomoc udzielona jednej osobie świata nie zmienia, ale zmienia Świat tej jednej osobie – mam nadzieję, że zmieniłam Twój świat na lepszy Mamuś.

Kocham Cię! - córka

Moje zapisy rozpoczęły się od sentencji i krótkich obrazków tworzonych przez chwile, emocje i brak nadziei. Więc na początek kilka cytatów.

Pielegnujmy każdą chwilę i rozkoszujmy się nią, bo nie wiadomo, czy będzie następna.
BB

Nieszczęścia, tragedie spadają na silnych ludzi, bo tylko tacy mogą je pokonać. Przywilej czy przekleństwo? Nie wiem. Ale wiem, że jestem SILNA. Pokonuję je każdego dnia, każdej nocy, każdej chwili, więc jestem SILNA. SILNI też są moi najbliżsi!!!!

BB

Rozsypał mi się cały mur!!!! Ale ja pozbieram wszystkie cegły, znajdę dobrą zaprawę i postawię go na nowo. To nic, że będą w nim prześwity, ale będzie stał. Być może stabilniejszy niż wcześniej.

BB

To nieprawda, że zmartwienia, tragedie łączą ludzi. One oddalają ludzi od siebie. Budują coraz większą przepaść, w którą nikt nie chce wpaść, aby podać rękę drugiej stronie. Musisz przeżyć je sam. Tylko rodzina stale i stale jest z tobą, aby zatrzymać drogę w dół, ale bliscy niejednokrotnie sami też osuwają się na dno z bezsilności, bo każdy z nich chce za wszelką cenę chronić najbliższych.

BB

Złamanej deski już nigdy nie będzie można skleić, choćby sklejać ją najlepszymi klejami. Zawsze pozostanie słabsza i byle większy podmuch ją znowu złamie.

BB

Aby wejść na szczyt, trzeba zrobić pierwszy krok. Wymaga to wytrwałości, samozaparcia, wiary w sukces i pewności siebie. Trzeba tylko je wyszperać i mocno trzymać pomimo niepowodzeń. To daje siłę do wspinania się

BB

Naszpikowana chemią jak wielkanocny baleron.

BB

To, co się dzieje wokół nas, uświadamia nam, jak nasze życie jest kruche. Szkoda, że pod wpływem tej wiedzy ludzie się nie zmieniają, chyba że na gorsze. Zawiść, złość, bezwzględność i zło

błyski w oczach wychodzą na jaw. To tak jakby nieszczęścia, które ich bezpośrednio nie dotyczą (tylko ciebie) wyzwalały całe zło, jakie do tej pory było skrzętnie skrywane i zamknięte w ich umysłach. Teraz wszystkie zamki puściły i cała nienawiść wychodzi z człowieka. Powinno być odwrotnie, bo przecież nikt nie wie, co może nas spotkać za chwilę, dzisiaj, jutro...

Warto pamiętać, że zawsze trzeba być człowiekiem, by móc rano spojrzeć na siebie w lustro i powiedzieć osobie po drugiej stronie, patrząc prosto w oczy

JESTEM CZŁOWIEKIEM!!!!!!!

BB

Życie jak na zdezelowanej huśtawce. Nigdy nie wiadomo, kiedy urwie się kolejny łańcuch.

BB

Ludzie postrzegają nas poprzez pryzmat swoich subiektywnych niedoskonałości.

BB

Ból najczęściej przychodzi znenacka, nieoczekiwanie. Czasami pełźnie i skrada się jak wąż. Nigdy nie wiesz, kiedy zaatakuje. Nasłuchujesz, oczekujesz, nastawiasz się. Ale on nie atakuje, zrobi to, kiedy najmniej się go spodziewasz.

BB

Strachu nie można pokonać, ale trzeba się uczyć z nim żyć.

BB

Mówią, że noc jest najlepszą przyjaciółką. Tak, to prawda. Nie pyta, dlaczego płaczesz. Po prostu jest.

BB

∞-----∞-----∞-----∞

Stworzyliśmy sobie rytuał, aby nie zwariować. W każdym wyjeździe, w każdej diagnozie szukamy czegoś, co dodaje nam skrzydeł. Może to być zwykła kawa, promyk słońca, wspólny spacer, ale spędzony ze sobą jak w szklanej bańce, która oddziela nas od świata. Jesteśmy tylko MY, nasz uśmiech, pyszna kawa. Nic, poza tym.

Zresztą szarym dniem i tak będziemy musiały żyć, ale może za chwilę, potem, nie teraz. Szkoda, że nie mogę napisać NIGDY.

∞-----∞-----∞-----∞

Jestem silna, jestem silna. Dam radę dla Nich i dla siebie. Kiedyś napisałam, że nasze życie, moje życie jest podobne do przechodzenia do kolejnych pokoi bez klamek, z których nie można zawrócić. Można iść tylko do przodu, do kolejnych drzwi bez klamek. Tak bym chciała, bardzo bym chciała sama otwierać kolejne drzwi i iść do przodu. Okazuje się niestety, że moje drzwi, które tak bardzo skrywam, otwiera TO COŚ i wracam bezsilna, ale nie bezwolna. Robię kolejne kroki do tyłu wbrew sobie. To tak jak we śnie, z którego nie można się obudzić, a ja tak bardzo chcę otwierać sama kolejne drzwi i iść tylko do przodu, dalej, a nie do tyłu.

No cóż. Wracam i walczę dalej z tym Czymś, sama ze sobą, wbrew wszystkiemu, dla Nich.

∞-----∞-----∞-----∞

Kolejne chemie, które nie działają, ale mam przestać? Przecież jestem taka dzielna, odważna, z humorem i z dystansem do wszystkiego, co mnie spotyka. To moje palto na zimę. Jestem przerażona. Czasami mam dosyć. Staję na chwiejnych nogach życia i szczęścia. Stąpam powoli z zaciśniętymi zębami i pięściami pomimo tego, że to okropny ból. Nie poddam się dla Nich!!!! Nie mogę i nie można.

Przecież cały czas JESTEM.

∞-----∞-----∞-----∞

Ostatnie. Kolejne chemie mają walczyć z tym Czymś. Kiedy siedzę wtulona w fotel, podłączona do rurek, mam wrażenie, fizyczne odczucie, ból, że to Coś karmi się właśnie tą chemią. To tak jakby śmiało się i drwiło ze mnie. To jest coś na wzór z misiami koala. Eukaliptus szkodzi innym, a dla nich jest pokarmem. To działa u mnie podobnie. Dostosowało się i chemia jest dla Niego pokarmem. Z cyklu na cykl rośnie. Już dzisiaj nie muszę Go dotykać, aby sprawdzić, czy nadal jest. Ja Go widzę. Widzę i czuję, jak rośnie. Znalazł sobie miejsce, aby drwić ze mnie. Wypełzył z piersi i buduje się poza nią. To tak, jakby mówił:

- Wyjdę z ukrycia. Teraz będziesz mnie oglądała codziennie. Zobacz, jaki jestem. Jak powoli rozpełzam się i rozrastam.

Dlatego coraz rzadziej spoglądam w lustro, by Go nie widzieć. Ale im rzadziej to robię, to On bólem daje o sobie znać:

- Nie widzisz? To czujesz. JESTEM.

Czy to znak, że kolejna próba się nie sprawdza? Może trzeba znaleźć pokarm, po którym będzie wymiotował? Nie wiem, czym Go karmić, aby odzepił się ode mnie. Aby dał mi już wreszcie spokój?!

∞-----∞-----∞-----∞

Uśmiech, promienne oczy i pogodna twarz dla innych nie znikną. Tak mnie postrzegają i będą postrzegać. Fajna babka. Szczęśliwa i pogodna. Bez poważnych zmartwień. Jedna z niewielu szczęśliwych. Tak jest i tak będzie. To jest moja droga. Nauka w OSWAJANIU STRACHU. Jak długo tak dam radę? Nie wiem, ale będę cały czas próbowała. Do skutku.

∞-----∞-----∞-----∞

Kolejna wizyta w związku z platynową chemią. Całą noc nie mogłam zasnąć. Kolejne wyjazdy, no i już niestety coraz bardziej bolesne biopsje, mimo dobrych znieczuleń.

W nocy przychodziły jej różne myśli. Umysł się trochę plątał po zażyciu pigułek nasennych. Dlaczego nie może zasnąć, tylko czuwać w letargu i bełkocie myśli? Na to pytanie nie umiała odpowiedzieć, choć doskonale знаła odpowiedź. Bała się głośno o tym myśleć.

O 3.30 już wstała. Tak zaczął się jej dzień. Rytualna kawa z mężem i wolno sączący się czas i myśli. Poranek powoli nadchodził. Zbyt wolno. Aby już nie siedzieć w domu, przed 7.00 rano wyjechała na kolejną chemię. Ciemność, padająca mżawka nie dodawały sił do rozpoczęcia dnia. Najgorsze podczas jazdy są oślepiające światła innych samochodów. W zmroku, deszczu, gąszczu płaczących się myśli o mały włos nie przegapiła skrętu w swoją pętlę. Tylko refleks i myśl o najbliższych spowodowały, że jej ręce mechanicznie, nawykowo skrzyły kierownicą. Jej cypelek (miejsce w lesie do parkowania) skapano w ciemnościach. Dwa auta już stały. Zaparkowała powoli, z wielką rozwagą i ostrożnością. Pomimo że miała naprawdę jeszcze dużo czasu, pogoniła do miejsca wymazów - był Covid 19.

Dla swoich trudnych myśli, aby ich nie słyszeć, wymyślała na ten moment zadania dla siebie.

- Spiesz się, może będziesz pierwsza? - mówiła szeptem i z nadzieją.

Puka do drzwi. Jest druga.

- Jest dobrze, dzisiaj będzie szybciej - mówiła sama do siebie

Drzwi otwiera pielęgniarka. Z dużym zdziwieniem patrzy na nią. Ona zdyszana, jakby ją ktoś gonił (to te myśli...), nie mogła wypowiedzieć słowa. Chwila oddechu, odpoczynku na krzeselku i procedura rozpoczęta. Wymaz, nerwowe oczekiwanie na wynik, no i potem z górki. Kolejne "stacje". Pobranie krwi, zapisanie się do szpitala, zapisanie się na oddział chemioterapii, wizyta u lekarza. Jest pierwsza. Hura! - wszystkie procedury załatwione. Jedzie na swoje piętro. Pustka. Nikogo nie ma. Och, choć raz. Czeka. Nikt nie przychodzi. Dopiero po półtorej godziny pierwsi pacjenci snują się po korytarzu, choć w inne dni jest ich już pełno.

- No cóż, taki fajny dzień. Dobry dla mnie. Będzie dobrze i szybko - myślała.

Okazało się, że są to tylko złudne oczekiwania. Chemia została podana dopiero o 12.30 - choć mogła być wcześniej. Szkoda. Liczy - 4,5 godziny, czyli o 17.00 powinna się skończyć. Czyli do domu będzie wracać tak, jak to było rano, w zupełnych ciemnościach.

- Nie ma potrzeby się irytować, nie mamy na to wpływu - mówiła bezgłośnie do swoich myśli, które przez cały czas kołatały w głowie.

Po nieprzespanej nocy oczy same zamykały się. Nie spała, choć wszyscy tak myśleli. Oczy jej odpoczywały. Zwalniała oddech, wyciszała się. Odpływała, choć świadomie. W rytmie spadających kropli i sennego mrużenia pompy wyczuwała i słyszała, jak to COŚ ponownie z wielką rozkoszą chłepcze każdą kroplę chemii. Odganiała te odczucia, ale chłeptanie było tak głośnie, że nie mogła od niego uciec.

- No cóż, trzeba się przyzwyczać i "zaprzyjaźnić" z Nim, choć to głupie stwierdzenie. Walczy z nim, jak potrafi, więc może spokojem i dobrocią uciszy GO. Tak będzie, tak będzie - myślała.

Tak będzie, tak będzie.

Prawie koniec. Została na sali sama. Zaczyna liczyć kolejne spadające krople. Jedna, druga, trzecia.... Strasznie wolno. Ta monotonia może pozwoli jej na chwilę zasnąć. Niestety nie udało się. Uf, koniec. Zbiera się szybko. W rzeczywistości dzieje się to bardzo wolno. Organizm nie pozwala na tempo. Wychodzi powoli przed budynek. W oddali w ciemnościach widać mrugające światła w oknach domów. Orzeźwiający chłód ciemności, rześkie powietrze, głębokie oddechy.

- Jest już dobrze, po wszystkim. Teraz do auta i do domu - mówiła w myślach.

Wie, że czekają na nią. Na stole gorąca herbatka, a w sercach miłość najbliższych. Doskonale wie, że bez Nich nie dawałaby rady. Kocha ich ponad swoje własne życie, które darowuje IM, WAM.

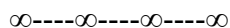


Dzisiaj znowu spędziłam piękne popołudnie u córki, przy leniwie palących się kłodach drewna w kominku, wśród swoich. Mąż, córka, wnuczeta i rozumiejący wszystko zięć. W domu dalej - syn i kolejne wnuczeta, i dzielna synowa. Co prawda, dzisiaj nie było ich w domu, ale ja zawsze czuję ich obecność. Ich zapach, dotyk, ciepło i uśmiech. Widzę zatroskaną i bardzo zmęczoną twarz Krzysia.

Podziwiam go i zastanawiam się, ile jeszcze będzie mógł „napakować na swoje plecy”. Wiem, że do skutku. Nie ma innego wyjścia, o innym nawet nie myśli, bo nie wolno. Cały czas kołaczą mi się po głowie jego słowa:

- Mój synku - wywołują u mnie łzy.

Płaczę z bezsilności. To piękne słowa. Nie, synu, nie, kochanie czy jakiś inny zwrot, ale „mój Synku”. To on też daje mi siłę do walki, bo przecież skoro on tak potrafi, to ja też nie mogę stchórzyć. Musimy i walczymy dla siebie nawzajem, dla Nich i dla siebie. Misiek i ja.



Dzisiaj wieczorem kolejny raz długo rozmawiałam z Anią. Jest to jedyna osoba spoza rodziny, z którą rozmawiam o wszystkim do bólu. O cierpieniach, wątpliwościach, strachu i radości. Często zastanawiam się, czy powinnam być aż tak otwarta. Nie wiem. Nie zawsze mogę mówić tu i teraz, bo to nie jest łatwe. Ale to mija i rozmawiamy. Długo trwało, zanim się tak bardzo otworzyłam i nazywałam rzeczy bardzo po imieniu: rak złośliwy, przerzuty kolejne do innych narządów, strach, okropny ból, zwątpienie, bezsilność. Ale również nadzieja, piękny dzień, słońce, miłość i strach najbliższych. Moje słowa wypowiedziane głośno.

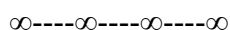
- Nie poddam się. Nie mogę tego zrobić dla Nich. Nigdy. To dla Nich żyję i walczę. Trochę też dla siebie.

Wiem, zdaję sobie sprawę, że takie rozmowy bardzo obarczają Anię. Czuję w jej głosie smutek, żal i beznadziejność. Wiem, że i ona będzie dźwigała na sobie mój ciężar. Mam z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia. Ale cóż, obiecałam jej szczerść i prawdę, więc muszę dotrzymać słowa, choć to bardzo boli. To decyzyja Ani.

Dzisiaj powiedziała mi, że ona nie dałaby już rady walczyć. Poddałaby się.

To nieprawda. Walczyłaby o każdy dzień, tydzień, miesiąc, bo przecież nie wiemy, ile jeszcze nam zostało pięknych dni, poranków, pór roku, uśmiechów innych ludzi i ciepła w spojrzeniach i uściskach najbliższych. Może to właśnie ten kolejny dzień będzie tym dniem bez bólu, radosnym i słonecznym. Może dzieci przyniosą ze szkoły piątkę czy szóstkę lub fajnie przeżyte w szkole chwile i razem będziemy się z tego cieszyć. A może to będzie dzień pełen przyjemnego lenistwa... Dlatego nie można się poddawać, bo może właśnie "to jutro" będzie jutro, a my go przegapimy? Nie damy mu szansy.

Może jest tak, że jeżeli słuchamy o troskach innych, to zagłuszamy swoje? Muszę o to spytać Anię.



Zapytałam swojego męża, czy chce, czy jest gotowy, aby mu przeczytać fragmenty tego, co piszę, czegoś bardzo osobistego, którym głośno nie dzielę się z nikim. Wiem, że może nie powinnam tego robić, ale z drugiej strony muszę go uczyć, że we wszystkim musimy być razem. Muszę go uczyć, jak o tym rozmawiać - tak zupełnie spokojnie - i przekonywać, że płakać możemy razem. Nikt nie powinien w tym zmaganiu być sam. No, oczywiście oprócz mnie.

W trakcie czytania widziałam jego kolejne łzy, które ukradkiem ocierał. Mnie nie oszuka. Ja wiem i czuję wszystko, co teraz przeżywa.

Mnie także powoli zaczynał załamywać się głos. Przecież po raz pierwszy mówiłam głośno o tym, co czułam, o swoim strachu, bezsilności i beznadziejności. To chyba było punktem kulminacyjnym. Wybuchnął głośnym płaczem, szlochał... Skończyłam czytać. Nie był sam. Myślę, że wyzwoliłam u niego wszystko, co dotąd ukrywał. Wiedziałałam, co i gdzie. To tak, jakbyśmy nalewali wody do naczynia, z którego nadmiar musiał się wylać. Tak samo w nas - emocje trzeba w którymś momencie wyrzucić z

siebie. Niektórzy mówią „nie płacz”, a ja mówię PŁACZ, bo łzy oczyszczają. Płacz, kiedy łzy same napływają. Nie zmuszaj ich do powrotu i nie tłum szloch. Płacz, a ja cię utulę i powiem:

- Będzie dobrze, damy radę.

∞-----∞-----∞-----∞

23.12.2021

Dzisiaj zaczęłam od daty. Dzień przed kolejną już Wigilią. Kiedyś od rana czułam w domu zapachy świąt, zapachy potraw przygotowywanych wspólnie na kolejny wieczór wigilijny... Dzisiaj nie jest mi to dane. Wigilii nie będzie w naszym domu, choć to od lat tradycja. Jestem zbyt słaba i obolała. Nie dałabym rady. Kolację przygotowuje w tym roku moja córka, w swoim domu. Gdy zamknę oczy, czuję i widzę ruskie pierogi, tradycyjny piernik, wolno bulgoczący gar barszczu. Musi być go dużo, bo dla wszystkich. Zamykam więc oczy i widzę krzątające się w mieszkaniu osoby. Każda w swoim domu próbuje żyć w miarę normalnie. Boimy się tych świąt, ale z drugiej strony oczekujemy ich. Bardzo chcemy być razem. Rodzina Elizki, Krzysia i my.

Dzieci przywiozły nas do siebie. Pięknie przystrojony stół, prezenty pod choinką, skwierczące drwa w kominku. Zapach świątecznych potraw ustawionych na stole i gwar dzieci z niecierpliwością oczekujących na rozpakowanie prezentów. Jest cudownie. Zapominam o wszystkim. Jestem tu i teraz, otulona ciepłem najbliższych. Szkoda tylko, że nie ma z nami Miśka i Ilony. Są w Przylądku Nadziei. Tam świętują razem z nami, ale w oddali. Oni tam, my tu połączeni myślami i obrazem na ekranie laptopa. Wszyscy z uśmiechem na twarzy, a w duszy z rozpaczą i łkającym sercem. Zdaję sobie sprawę, że jest to bardzo trudne, ale czego nie robi się dla dzieci.

Dostaję sporo życzeń świątecznych z tekstami radosnych, rodzinnych, uśmiechniętych i szczęśliwych świąt. To nie są życzenia dla mnie. Zdaję sobie sprawę, że są to gotowe formułki, które wysłała się masowo do innych. Grzecznie jednak odpisuję, ale swoimi słowami, swoimi życzeniami, swoimi marzeniami. Więc zdrowych świąt, pełnych nadziei, ufności i sił.

∞-----∞-----∞-----∞

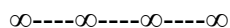
Jestem właśnie na kolejnej platynowej chemii. Jak to pięknie brzmi - platynowa (tak ją nazywam, bo jest z platyną) - brzmi dumnie i bogato. Żartuję, że chemia mnie konserwuje, dlatego tak wyglądam. Będę, jestem, taką zakonserwowaną szynką.



Dzień zaczął się z dużym wigorem. Nie spałam już od trzeciej rano. No cóż, nie pierwszy i nieostatni raz, mój czas snu jest coraz krótszy. Dzisiejsze moje tłumaczenie zaistniałej sytuacji (zawsze go szukam) to ból po wczorajszej biopsji. Tak jak myślałam, nie było fajnie. W nocy nie mogłam znaleźć dogodnej pozycji, bo miejsce biopsji dawało o sobie skutecznie znać, stąd mój krótki sen.

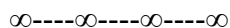
Dzisiaj jestem wieziona na chemię. Rano Michał, wieczorem zabiera mnie Elizka. Nie miałam wyboru. Dzieci tak zdecydowały. Miały rację. Fatalna pogoda i droga okropna. No i czerń za oknami. Mroczno, zimno i czasami strasznie. Usiadłam wygodnie w ciepłym aucie. Michał zawiózł mnie na miejsce. Dzisiaj będzie szybko, jestem wcześniej rano. Jestem pierwsza. Nie ma nikogo. Zbyt wczesny był mój zachwył. Okazało się, że owszem, jestem pierwsza, ale testów covidowych jeszcze nie ma. No cóż. Trzeba czekać. Nic się nie stało, to tylko taki zbieg okoliczności. Okazało się, że nie jeden. Taki mój dzisiejszy dzień. W trakcie zapisów na oddział zawiesił się komputer. Pokazywał datę 12 grudnia 2009 roku i w żaden sposób nie można go było przestawić na teraźniejszość. Po wielu próbach udało się. Miałam dostać pierwsza chemię, dostałam ostatnia. Miało być cieplej i spokojniej na dworze, a strasznie wieje. Konary drzew tańczą, poruszane siłą wiatru. Świst i huk wiatru za oknami piszą nuty utworu. Jest świątecznie. Muzyka pisana wiatrem, krzątające się drzewa i padająca „kasza manna” dodają rzeczywistości za oknem "uroku" i tajemniczości. Szkoda tylko, że trzeba będzie wyjść i ulec tej "magii" - ruszyć w tan, poczuć smaganie wiatru i otulenie padającymi grudkami śniegu. Ale to za jakiś czas. Teraz jest mi ciepło. Platyna sukcesywnie rozlewa się żyłami po moim organizmie, niczym

korzeniami roślin, które dostarczają życiodajnych soków roślinie. U mnie jest to samo. Życiodajna chemia. Z jednej strony daje kolejny dzień, tydzień, miesiąc, rok życia, a z drugiej pustoszy wszystko, co spotka na swojej drodze. Mam nadzieję, że GO też.



Mimo wszystko dzisiaj jest fajny dzień. W południe za oknami rozciągał się przepiękny widok na pasmo Karkonoszy. Powietrze było tak przejrzyste, że widać było doskonale schroniska, talerze na Śnieżce, szlaki turystyczne. Myślę, że widziałam również wspinających się turystów. Szkoda, że nie widzieli, jak im macham, bo i skąd mogli wiedzieć, że na nich patrzę. Słońce dodawało niezziemskiego uroku. Warto było czekać na taki dzień. Z pewnością będzie ich jeszcze sporo. Nie mogę ich przegapić.





Kolejny fajny dzień, bo spotkałam po raz drugi panią, z którą długo rozmawiałam na poprzedniej chemii. Ma 82 lata i dosyć walki. Mówiła:

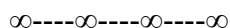
- Nie chcę więcej chemii, przyjazdów, kolejnych badań. Chcę odpocząć. Ja już się nażyłam - próbowała mnie przekonywać o słuszności swoich słów.
- Już wystarczy. Zrezygnuję, nie chcę.

Rozmawialiśmy długo dla niej, krótko dla mnie (ona ma krótki czas podawania chemii 1 h, ja 4,5 h). Podziwialiśmy wspaniałe widoki za oknem, promyki słońca leniwie rozchodzące się nad górami i wśród konarów drzew. Opowiadała z błyskiem w oczach o swoich, dla niej ważnych i wielkich sukcesach, marzeniach. O tym, co robiła z pasją. Słuchałam jej w milczeniu, zadając niby to przypadkiem krótkie pytania, co jeszcze, czego by chciała, aby przyniósł jej kolejny dzień. Jakich ludzi chciałaby spotkać. Z pasją o tym mówiła. Na jej twarzy, tak właściwie w oczach, bo przecież mamy maseczki, rysował się coraz większy uśmiech. Dzisiaj potrafimy się śmiać oczami. Coraz bardziej prostowała się na fotelu i zdawać by się mogło, że z każdą chwilą, z każdą opowieścią czas odejmował jej lat. Młodziła. W końcu zamilkła, jakby pochłonął ją czas, o którym opowiadała. Dałam jej ten czas, milcząc, ale bacznie obserwując, co się z nią dzieje. Pytałam dyskretnie, aby odpowiedzi udzielała spontanicznie. Na moje zapytanie, czy nie chciałaby doświadczać kolejnych fajnych chwil, odpowiedziała bez namysłu:

- Chciałabym bardzo.

Przecież nie wiemy, co nam przyniesie jutro. Choć myślę, że wiemy, bo to w bardzo dużej mierze zależy od nas. Jak je przeżyjemy, pomimo odczuwania zwątpienia, bólu, beznadziejności. Z zamyślenia wyrwał mnie głos mojej rozmówczyni:

- Dziękuję, to dzięki pani będę czekała na kolejne fajne dni, bo one przyjdą. Jestem tego pewna.
- Tak, przyjdą, jak je sobie zorganizujemy i będziemy wierzyć, że tak będzie - odpowiedziałam.



Po raz kolejny wspólna chemia z poprzednią rozmówczynią. Obserwowałam ją bacznie, ukradkiem. Twarz jakby mniej zmęczona. Sylwetka bardziej wyprostowana, pani jakby mniej utykająca. Kiedy usiadłyśmy w fotelach, podłączone do kroplówek, spytałam:

- Pamięta pani, co mi przyrzekła?
- Tak - odpowiedziała - obietnicy dotrzymuję.

Pięknie, warto, trzeba dawać ludziom nadzieję i swoją siłę, jej potęgę.

Dlatego też ten dzisiejszy dzień również był fajny POMIMO. Okazało się, że ta pani ma piękne i niespotykane imię - Albina. Jak następnym razem się spotkamy, powiem nie tylko „dzień dobry”, ale „witaj, Albino”! Kolejny dzień też będzie z pewnością piękny.

Styczeń 2022 roku

Już wiem, że kolejne chemie nie działają. Miałam ich pięć różnych rodzajów; lekarze próbowali - może akurat ta zadziała. Niestety, nie tym razem. No cóż, taki organizm, taki rak odporny na chemię, a może tak ma być... Widocznie taka moja uroda. Każda chemia to wielka loteria u mnie. Szkoda tylko, że nic nie wygrywam. Dlaczego tak szybko to mija? Każdego roku to samo. Monotonia. Kiedy tak powracam myślami wstecz, to nie wierzę, że dam jeszcze radę, ale wiem, że każdy następny dzień może być dla mnie miłą niespodzianką.

Przygotowuję się do kolejnych operacji - ósmej i dziewiątej. Bardzo się boję. To nieprawda, jak to niektórzy mówią:

- Przecież już wiesz, jak to wygląda, co cię czeka, więc już mniejszy strach u ciebie.

To nieprawda. Każda kolejna operacja jest gorsza. Boję się, czy się obudzę, co i ile mi wytną, jaki będzie wynik. Organizm już przecież tyle przeszedł. Też ma swoją wytrzymałość. Jest coraz słabszy. Wiem, jaki ból mnie czeka - za każdym razem gorszy, jest więcej powikłań, więc trudno myśleć, że mniej się boję.

Czemu napisałam, że monotonia i powtarzalność? Spróbuję w skrócie cofnąć się w czasie i odpowiedzieć na to pytanie. Tak więc...

Grudzień 2015 roku.

Rutynowe badanie mammograficzne. Wynik świetny, nic nie ma. Na koniec stycznia 2016 roku dodatkowe badanie USG, bez strachu i niepewności. Przecież to tylko rutyna. Czekam na wizytę u onkologa. Wynik - zmiany w piersi. No jak to, przecież grudniowe badania nic nie wykryły. Czy tak szybko coś mogło się pojawić? Z pewnością to tylko błąd, a takie się zdarzają. Czekam na wizytę u drugiego onkologa.

- Trzeba zrobić dodatkowe badania, aby to sprawdzić - powiedział.

Kolejna mammografia i USG. Z wynikami wracam do poradni onkologicznej. Lekarz popatrzył na wyniki i powiedział:

- Są trzy ogniska/guzy. Co prawda, nie takie wielkie, ale podejrzane. Trzeba zrobić biopsje - powiedział spokojnie.

Zrobiona w czerwcu.

- Wynik negatywny, ale trzeba zmiany wyciąć - stwierdził onkolog.

Operacja w ***lipcu 2016 roku***. Wynik histopatologiczny negatywny. Rak, ale nie złośliwy, brodawczaki. Odetchnęłam z ulgą. Jestem na prostej. Wyszłam z tego. Żyję normalnie jakby nigdy nic. Rany się dość szybko zagoiły. Tylko strach był duży, ale już po nim. Zamknęłam drzwi złośliwemu. Uf, spokój. Zaczynam spokojnie żyć. Co za szczęście, co za ulga.

Nie trwało to zbyt długo. ***Sierpień 2017*** rok. Rutynowe badanie RTG, bo trochę pokaszliwałam. Wynik podciął mi nogi. Guzek w lewym płucu, 9 mm. Podejrzenie przerzutu z piersi. No, jak to

możliwe. Skąd przerzut, przecież nic wcześniej nie było, histopat był negatywny. Czy to możliwe? Może źle odczytano zdjęcia. Z pewnością tak. Na pewno.

Kolejne RTG, a czas mija. Jestem pewna, że wcześniejszy opis zostanie obalony. To koniec sierpnia. Czekam. Zbyt długo to trwa. Zdenerwowanie coraz większe. Uf. Nareszcie mogę odebrać wynik. Jest wrzesień. Szybko odbieram opis ze zdjęciem, bo przecież nie potwierdzi się poprzednia diagnoza. Jest to niemożliwe. Czytam raz, drugi. Nie może być. Guz w płucu lewym i do tego powiększony prawy węzeł chłonny. Co jest? Jeszcze to? Oczywiście, wszystko do dalszej diagnostyki. Połowa września 2017 roku - USG piersi i węzłów chłonnych. Zmiany w piersi prawej i patologiczny węzeł chłonny (jednak). Do dalszej diagnostyki. Nerwy i strach coraz większe. Koniec września - mammografia. Niestety obraz potwierdzony. Węzeł powiększył się sporo. Potwierdzono też zwiększone 3 zmiany w piersi prawej. Nerwy naciągnięte jak cięciwa w łuku, ale przecież nie dam im wystrzelić. Dam radę dla Niej, dla Nich. Wiem, jakie to dla Nich trudne, choć się z tym nie obnoszę i skrzętnie ukrywam, myśląc, że tym samym dodaję im sił. Niestety, moja córka zawsze ze mną jest i wszystko wie, a ja tak bardzo chciałabym tyle rzeczy ukryć.

Koniec października 2017 roku - PET - wzmożony metabolizm glukozy w płucu lewym, prawej piersi i węzle chłonnym prawym. Dalsza diagnostyka. Już mam dosyć tego słowa - diagnostyka. Tym razem rezonans piersi. Wynik potwierdzony. Dalsze cholerne procedury. Ileż można czekać, ileż można się badać i bać.

- Kiedy będzie jakaś decyzja konkretne działanie, a nie tylko przez cały czas diagnostyka? - myślałam.

Środków kontrastowych u mnie tyle, że się śmieję i żartuję, że w nocy chyba świecę i tym samym oszczędzam energię. No, niestety, nie mam na to wpływu.

Procedury, procedury, procedury. Aby zmiany wyciąć lub nie, potrzebne są biopsje. W kolejnym USG wytypowano dwie największe zmiany w piersi. Najmniejszą i węzeł chłonny pozostawiono bez badania. Są zbyt małe. Poza tym niemożliwe jest, aby w małych zmianach było coś złośliwego - jeżeli tak, to w tych większych. No, ok. Tak chyba musi być. Ja się na tym nie znam i nie będę dyskutować. Biopsje wyznaczono na 20 i 30 listopada 2017 roku. Nie można było zrobić dwóch na raz z powodu możliwego krwotoku. Znowu nerwy, oczekiwanie i strach w oczach córki. To jest najgorsze, że nie można przed nią niczego ukryć, a tak bym chciała. Po co moi najbliżsi mają się bać i przeżywać to samo? Wystarczy, że sama to odczuwam. Mimo uśmiechu na mojej twarzy ona, oni wiedzą, co przeżywam, a wszyscy razem ze mną. Nie powinno tak być. Jestem wściekła, że to wszystko przeze mnie.

Dwie biopsje negatywne. Uf. Lekarz rozważa wycięcie zmian. Tyle o piersi. Co zrobić z guzem w płucu? Przecież przez cały czas on tam jest. Wcześniejsze badania potwierdziły, że rośnie. Szybka wizyta u dobrego pulmonologa. Patrzy na opis.

- Poproszę płyty, wolę sam zobaczyć i przeanalizować obraz – powiedział, patrząc na mnie.

W głowie kołatała mi myśl z nadzieją - może to tylko błąd. Długo oglądał obraz na komputerze. Co chwilę zerkał na mnie ukradkiem. No cóż, cierpliwie czekam. Wreszcie odkłada płyty. Patrzy na mnie przez chwilę w milczeniu. Po krótkiej chwili potwierdza wyniki. Głos ma dziwny, a wzrok wymowny:

- No cóż, ma pani powiększający się guzek w płucu lewym. Podejrzewam przerzut z piersi.
- Co mam robić – spytałam, patrząc mu w oczy.
- To już nie ja. Musi pani pójść do torakochirurga – odpowiedział.

Po raz pierwszy raz usłyszałam o takiej specjalizacji. Kto to jest, czym się zajmuje? Oczywiście Internet to wielkie źródło informacji. Torakochirurg to chirurg klatki piersiowej, dokładniej płuc. Nastąpiły poszukiwania dobrego specjalisty. Jest świetny we Wrocławiu. Wyproszona szybka wizyta. Świetny specjalista i człowiek; oczywiście sam oglądał płyty. Potwierdza opis.

- Trzeba to wyciąć - stwierdził - ale najpierw musi pani wyciąć zmiany w piersi i węzłach chłonnych - powiedział spokojnie.

No dobrze, plan jest. Czekam na termin operacji piersi. Kolejne święta. Doskonale udawana radość, zadowolenie i szczęście.

Nastaje *Nowy Rok 2018*, pełen nadziei, że będzie ok i zakończą się wszystkie obawy.

Na początku stycznia telefon.

- Proszę zgłosić się 21 na oddział - usłyszałam miły głos w telefonie.

Po badaniach przygotowawczych *22 stycznia 2018* roku jadę na salę operacyjną. Pełna elegancja. Białe pończochy, niebieski czepeczek i sukienka w tym samym kolorze. Dodatkowo pielucha jak u niemowlaka. Nie wiedziałam, że mi w niebieskim do twarzy. Wygodnie leżę na łóżku. Jadę, jak zwykle żartując. Mój wzrok omiata kolejne lampy na suficie. Jestem na miejscu. Procedury bardzo szybkie. Nawet nie miałam czasu na strach. Odleciałam szybko w pięknym niebieskim uniformie.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłam po przebudzeniu, była Elizka. Stała przy mnie na tle okna. Zimowy krajobraz za nim jak z bajki. Pierwsza moja myśl jest taka, że mi to się śni. Przecież na sali pooperacyjnej nikt nie może być oprócz personelu.

- Tak, to z pewnością majaki. Przecież to niemożliwe - myślałam.

Kolejne spojrzenie. Tak, to ona stoi i uśmiecha się do mnie. To było coś cudownego. Jak ona to zrobiła, nie wiem.

Była to operacja oszczędzająca. Wycięto trzy zmiany i trzy węzły chłonne. Szybko wróciłam do domu, ale czas bardzo mi się dłużył. Czekam na wynik. Na podstawie biopsji musi być negatywny. Wyznaczony czas oczekiwania na wynik mija, a ja go jeszcze nie mam. Każdy kolejny dzień to coraz większy niepokój. Długo czekałam. O wiele za długo. Wreszcie jest. Muszę odebrać go u onkologa. Jestem w poczekalni oczywiście z moim aniołem stróżem. Czekamy cierpliwie. Wreszcie nasz numer. Wchodzimy. Okazuje się, że wyników w gabinecie jeszcze nie ma. Są w laboratorium. Same nie możemy ich odebrać. Musi to zrobić lekarz. Przecież nie będziemy jechać jeszcze raz.

- Mamuś, zaczekaj, ja pójde do szefa histopatologii i spytam, co jest - powiedziała spokojnie, lecz stanowczo.

Czekam. Czas się dłuży. Wreszcie wróciła:

- Wyniki zaraz będą u lekarza – powiedziała, nie patrząc na mnie.

Spojrzałam na nią. Coś mi nie grało w jej twarzy i ruchach.

- Co jest? – spytałam.

- Nie wiem. Zaraz się dowiemy - odpowiedziała.

Wiedziałałam już, że coś jest nie tak. Nasza kolej. Wchodzimy po raz drugi do gabinetu. Lekarz trzyma histopat, patrzy na nas chwilę:

- Ma pani nowotwór złośliwy, ten z tych najgorszych, potrójnie ujemny z jakimiś jeszcze dodatkami - sypał nazwami, które nic mi nie mówiły. Spojrzałam na córkę. Wiedziałałam, że ona już wcześniej poznała diagnozę.

- Co teraz? - zapytałam - co z leczeniem...

Patrzyłam wyczekująco i z nadzieją na lekarza.

- Trzeba sprawdzić, czy guz w płucu jest pierwotny czy wtórny. Trzeba go wyciąć i sprawdzić histopatologicznie – odpowiedział.

- Tak, wiem. Jestem umówiona z torakochirurgiem. Musi mi się wygoić pierś - odparłam bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem.

- Umówimy panią na konsylium w najbliższym terminie - usłyszałam.

- Dobrze, będę czekała na termin - odpowiedziałam bezwiednie.

Bałam się spoglądać na córkę, bo wiem, a może wiedziałałam, co się dzieje w jej umyśle, jak mocno trzyma swoje emocje na uwięzi.

Zgodnie z naszym rytuałem poszłyśmy na kawę i coś zjeść. W drodze spytałam ją:

- Elizko, wiedziałaś?

- Tak, mamuś, ale jak ja miałam ci powiedzieć, że masz złośliwego, paskudnego raka. Jak? Nie mogłam tego wypowiedzieć - odpowiedziała cicho.

Moja intuicja nie zawiodła, że było coś nie tak i ona o tym wiedziała. Poznała prawdę przede mną, a tak nie powinno być.

Było milcząco. Żadna z nas sztucznie nie próbowała szukać tematu rozmowy. Trzeba umieć milczeć ze sobą. To trudne zadanie dla ludzi, dla nas nie. Potrafimy to robić. Jesteśmy zbyt blisko siebie, aby tego nie umieć. Wróciłyśmy do domu. Każda ze swoimi myślami, bo wypowiadać tego jeszcze nie umiałyśmy.

∞-----∞-----∞-----∞

Poranek w domu. Rytualna poranna kawa z mężem.

- No i co? Powiedz, co było wczoraj – pytał, patrząc mi prosto w oczy - Wieczorem nie chciałaś mówić, bo było późno i byłaś zmęczona. Teraz mów.

Spojrzełam na niego. W jego oczach czytałam:

- Nie może być nic złego, powiedz, że tak jest, że jest ok.

Długo czekałam z odpowiedzią, udając, że z rozkoszą piję kawę. No, ale nie mogłam dłużej zwlekać. On z niecierpliwością czekał na moje słowa. Było mi bardzo trudno. Ja sama bałam się przekazywać diagnozy i przypuszczenia.

- Mam raka piersi, jednego z najgorszych z marnymi rokowaniami - powiedziałam cicho i spokojnie.

Jakby głośność decydowała o tym, że jest lub Go nie ma. Długo milczał, pijąc małymi łykami kawę. Nie patrzył na mnie. Wpatrywał się w czerń wypijanego płynu. Dałam mu czas. Wiedziałam, że go potrzebował.

- Jeżeli ten guz w płucu to przerzut z piersi, wtedy nie mamy szans - powiedziałam bardzo spokojnie

- Co to znaczy - pytał z przerażeniem w głosie i wzroku.

- No to znaczy, że szanse na długie i dostatnie życie są marne - zażartowałam i roześmiałam się, choć oczy były pełne łez.

Nie mogłam się rozplakać, choć z trudem utrzymywałam wodospad łez.

- No to jak, co będzie? Co?

Głos mu się rwał, a ja usłyszałam coraz głośniejszy szloch. To jego wodospad łez z hukiem spadał pierwszy.

- Damy radę. Nie poddamy się. Jest przecież jakiś plan. Mamy córkę, syna i wspaniałe wnuki. Oni dadzą nam siły do walki. Może okaże się, że będzie inaczej. Na ten moment mamy być szczęśliwi i cieszyć się każdą chwilą. Co będzie dalej, zobaczymy. Teraz dopijmy kawę - mówiłam bardzo spokojnie, ale stanowczo. Powoli jego szloch ustał. Uśmiechnął się i powiedział:

- Damy radę wszyscy razem.

∞-----∞-----∞-----∞

Mijały kolejne dni w oczekiwaniu na konsylium. Nikt z nas głośno nie rozmawiał o tym, co zaszło, ale wiedziałam, widziałam w oczach Elizki, Krzysia i Szpaka, co przeżywają, a ja nie mogłam im pomóc.

Jeden z poranków. Dzwoni telefon. Spoglądam na numer i wiem, że to wiadomość o terminie konsylium. Dni szybko minęły. Jedziemy o świcie zmęczone, ale pełne nadziei. Czekamy w kolejce pełnej kobiet z nadzieją lub w rozpacz.

- Proszę, zapraszamy - nagle wyrwał mnie z zamyślenia czyjś głos.

Bardzo chciałam wejść sama. Oczywiście nie było takich szans. Grupa lekarzy przeglądała dokumentację. Patrzyłam na nich tak, jakbym była nieobecna. Chłodno, beznamiętnie, bez emocji. Tak jakby sprawa mnie nie dotyczyła. Czas się zatrzymał. Wskazówki zegara poruszył jeden z lekarzy, potwierdzający diagnozę.

- Co teraz? - spytałyśmy prawie równocześnie.

- Trzeba wyciąć guz z płuca, sprawdzić go i wtedy będziemy planować. Na ten moment to wszystko – rzekł.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Po chwili usłyszałam głos Elizki:

- Mamuś, wyjdź!

- Dlaczego? - spytałam ze zdziwieniem.

- Proszę, wyjdź - powiedziała stanowczym głosem.

Jak w letargu posłusznie wstałam i wyszłam. Czekałam. Wiedziałam, że będzie zadawała pytania, których nie powinnam usłyszeć. Po chwili wyszła zmęczona.

- O co pytałaś, o czym rozmawialiście? – pytałam.

- Och, mamuś, o niczym takim - odpowiedziała zdawkowo.

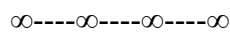
Wiedziałam, że to kłamstwo. Kłamstwo dla mnie. Nie drążyłam problemu, bo wiedziałam, że muszę dać jej czas. Czas, który rozmywa strach i pozwala mówić. Następnie jak zawsze kawa i jedzonko. Tym razem nie smakowało jak zazwyczaj, choć było to samo, pyszne i pachnące. Wracałyśmy do domu. Na początku w milczeniu. Z upływem czasu i po przejechaniu wielu kilometrów zaczynałyśmy żartować. Przemieniło się to w głupawkę. Było śmiechu co niemiara. Mówiłyśmy takie głupoty, żarty, które powodowały coraz większe salwy śmiechu. Jesteśmy na miejscu.

- Elizko, o co pytałaś? - zapytałam stanowczo.

Wiedziała, że nie odpuszczę. Będzie musiała mi powiedzieć.

- Spytałam, czy moja mama umrze. Lekarz prowadzący bardzo ciepłym głosem odpowiedział, że będą robili wszystko, aby tak nie było – odpowiedziała.

Odetchnęłyśmy obydwie. To, co tkwiło w umyśle jej i moim, zostało wyrzucone.



Rany szybko się goiły. Butelki też zostały w miarę szybko odłączone; dreny (plastyczne rurki) były zakończone buteleczkami, do których spływały zanieczyszczenia. Musiałam odczekać dwa miesiące do kolejnego zabiegu. W połowie marca wizyta u torakochirurga i skierowanie na tomograf i PET. **Początek kwietnia 2018 roku.** Telefon ze szpitala z oddziału torakochirurgii

- Proszę zgłosić się do szpitala siódmego kwietnia. Operacja zaplanowana jest na dziewiątego kwietnia. Proszę przygotować..., zabrać ze sobą... - usłyszałam miły głos w słuchawce.

- Tak, wiem, co – odparłam.

Serce zabiło mi mocno.

- To mój pierwszy raz – żartowałam, mówiąc o wszystkim rodzinie.

Zegar szybko odmierzał czas. Kolejny raz jadę długim korytarzem, tym razem w granatowym uniformie. W granacie też mi do twarzy. Procedury szybkie, przemiła obsługa, ciepłe głosy i delikatność. No, full wypas. Szybko zasypiam.

Budzę się. Rozglądam. Duża jasna sala, obok inne osoby na łóżkach połączone plastikową rurką z wielkim szklanym bulgoczącym słojem.

- No, ale uwiązani – pomyślałam.

Delikatnie próbuję się poruszyć. No nie, ja też uwiązana jestem do bulgoczącego słoja. To długi dren, grubości małego palca, przyszyty do pleców. No cóż, nie jest źle, bo nie czuję bólu, nafaszerowana różnymi środkami, które spływają leniwie w formie kroplówki. Po chwili poranna toaleta. Obsługa z zewnątrz i śniadanie prosto do łóżka.

No, kto tak ma w domu? Szkoda tylko, że nie podano porannej kawy, ale to byłby już zbytek. Śniadanie zjedzone. Bulgoczące słoje usypiały i budziły na zmianę. Gdy miałam zamknięte oczy, wyobrażałam sobie, że to szumiące fale morskie, które tak uwielbiam. Przeleżałam w tej sali dwa dni. Już bardzo chciałam wrócić do małej salki. Okazało się, że moje oczekiwania zostały spełnione. Wróciłam już bez drenu. Wyciąganie go nie było zbytnią przyjemnością, ale sprawiło mi ogromną ulgę. Wreszcie cisza w małej dwuosobowej salce, aż w uszach dzwoni. Przychodzi młody rezydent. Asystował przy mojej operacji. Wypytyuję go, jak ona wyglądała.

- Torakotomia lewostronna, resekcja klinowa zmiany przerzutowej z piersi - powiedział fachowo.

Nie mi to nie mówiło, więc dopytywałam. Ze szczegółami opisywał gest po geście. Może wolałabym nie wiedzieć, jak grzebał palcami w moim płucu, jak rozciągali żebra, jak wycinali zmianę, zakładali dren i szyli. Brr. Nie, no lepiej wiedzieć. To nowe doświadczenia. Nie byłam tym przerażona. Rezydent był młody, dopiero zaczynał. Nie wiem, czy nie była to jego pierwsza operacja, w trakcie której zanurzał palce w mięszu płucnym. Opowiadał o swoich doświadczeniach, obawach, przeżyciach i marzeniach. Słuchałam empatycznie. Sama po sobie wiem, że często oczekujemy, aby nas ktoś tylko wysłuchał. Aby nie zadawał pytań, nie dawał rad, nie bagatelizował tego, co mówimy. Pobyt w szpitalu szybko mijał. Wreszcie wypis, zalecenia i termin zdjęcia szwów po drenie. Blizny po nim wyglądają gorzej niż rana cięta po operacji. To taki związany zbyt mocno baleron. Nerwowe oczekiwanie na wynik. Ma być za dwa tygodnie, które szybko mijają. Dzwonię.

- Niestety jeszcze nie ma, proszę dzwonić - usłyszałam w słuchawce. Trzeci tydzień minął, więc znowu dzwonię.

- Dzień dobry, chcę się umówić na odebranie wyników – powiedziałam.

- Niestety, jeszcze nie ma - usłyszałam w odpowiedzi.

Przecież to już po czasie. Znowu niepokój, który już tak dobrze znał mój organizm. Coś musi być nie tak. Dzwonię do laboratorium histopatologicznego. Usłyszałam, że wyniki trudne do zdiagnozowania. Wysłano próbki do Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie. Czekam zbyt długo. Nerwy jak postronki, muszę grać, że wszystko jest ok, że się nie denerwuję

- No co, jest taki ciekawy przypadek? – żartuję.

Wydzwaniam do Warszawy. Słyszę, że faktycznie materiał problematyczny, trudny do badania i zdiagnozowania. Czekałam ponad sześć tygodni. Wreszcie jest. Ciekawe, jaki?... Pędzę do Wrocławia po odbiór. Odbieram druki, wizyta u lekarza. Dopytuję, co oznaczają te wszystkie oznaczenia literki, liczby i niezrozumiałe nazwy. Krótka odpowiedź:

- Przerzut z piersi, ten sam paskudny, trudny rak – usłyszałam.

Z wynikiem jadę do chirurga onkologa piersi w tym samym mieście. Uważnie przeczytał, spojrział na mnie - znałam to spojrzenie - i powiedział:

- Umówię panią na konsylium celem ustalenia drogi postępowania. Świetnie, plan będzie, nie wszystko stracone. Nie czekałam zbyt długo na termin. Tym razem pojechałam z synem. Długo czekaliśmy na swoją kolej.

- Pani Bogusia, proszę - usłyszałam miły głos.

Procedurę już znałam. Grupa lekarzy pochylających się nad moją dokumentacją. Zbyt długo jej nie analizowali

- To rak rozsiany. Proszę zgłosić się do naszego chemioterapeuty - powiedział bez emocji prowadzący lekarz.

Spojrzeliliśmy z Krzysiem po sobie. Każde z nas było milczące.

- Kiedy, gdzie i do kogo? – zapytałam.

- No właśnie do mnie. Proszę iść pod gabinet... Zaraz tam będę - powiedział jeden z lekarzy.

Poważny, postawny, ale zarazem wydawał mi się jakiś obcy i zimny. Rozumiem, że dla nich to chleb powszedni, ale oczekiwałam przy mojej diagnozie odrobiny ciepła, nawet udawanego. Poszliśmy pod wskazany gabinet. Nawet zbyt długo nie czekaliśmy.

- Proszę wejść i usiąść - powiedział beznamiętnie.

Wykonaliśmy posłusznie polecenie. Nie czekał na nasze pytania. Chłodnym głosem zaczął mówić:

- Państwo wiedzą, że jest to rak rozsiany. Szans na wyleczenie nie ma. Zlecę pani chemię w tabletkach, aby mogła pani godnie dożyć.

- Co to znaczy, co on mówi, już wydał na mnie wyrok?!

Myśli kołatały mi się w głowie, a serce waliło tak, jakby zaraz miało wyskoczyć. Spojrzałam na syna. Był w szoku jak ja, a może w jeszcze większym. Po chwili milczenia zaczęłam wypytywać lekarza, jaka to będzie procedura, jak często brać leki, jakie skutki uboczne mogą wystąpić. Jakby po takim wyroku miało to jakieś znaczenie. Pytałam tak, jakby to mnie nie dotyczyło, jakby nie było wcześniejszych zdań lekarza. Istniałam, poza tym. To po prostu droga leczenia. Na ten moment byłam w innym wymiarze. W świecie bez wyroku. Wyszliśmy. Milczeliśmy długo, dając sobie czas na analizę tego, co usłyszeliśmy. Nie dopuszczaliśmy tej wypowiedzi do swojej świadomości. Nie wierzyliśmy, że w ten sposób można przekazywać takie informacje. To nawet nie kubeł zimnej wody. To jak obuchem bez znieczulenia w łeb. Żadne z nas nie potrafiło wydobyć z siebie słowa, bo cóż można powiedzieć. Musiało się to w nas rozpląnąć. Musieliśmy mieć czas dla siebie. Każde dla siebie i swoich myśli.

∞-----∞-----∞-----∞

Wracając do domu, przez cały czas słyszałam chłodny głos lekarza: "Aby pani mogła godnie dożyć". Zapisaly się w mojej głowie na stałe. Nie będę mogła ich nigdy usunąć. Będę je słyszała nawet wtedy, gdy zasłonię uszy i mocno zamknę oczy. Są w zamkniętym pokoju bez klamek razem ze mną. Szkoda tylko, że ściany nie są cieniutkie, nie przepuszczają dźwięków do świata zewnętrznego.

∞-----∞-----∞-----∞

Musieliśmy dać sobie wszyscy trochę czasu. Nie bardzo mogliśmy już rozmawiać. Znajomi z wypiekami słuchali krótkich i zwięzłych informacji. Mówiłam im tylko tyle, ile chciałam. Czyli niewiele. Każdy z nich dawał mi rady, porównywał do innych, mówili:

- Moja znajoma to, moja sąsiadka tamto, wszystko będzie dobrze, bo u nich też tak było.

No dobrze, cieszę się, że im się udało. Każdy z tych przypadków był inny, nawet nie był zbliżony do mojego. Słuchałam ich w milczeniu. Może nie wiedzieli, jak ze mną rozmawiać, więc dawali rady. Najzabawniejsze były słowa:

- Ja na twoim miejscu rzuciłabym pracę, została w domu, itp...

Słuchałam porad do końca. Kiedy kończyli, mówiłam:

- Nie jesteś na moim miejscu i obyś nigdy nie była. Nie wiesz, co byś zrobiła w podobnej sytuacji.

∞-----∞-----∞-----∞

Długo nie mogłam otwarcie rozmawiać o swojej chorobie. Zwrot: mam raka... nie przechodził mi przez gardło. Myślałam, że jeżeli o Nim nie mówię na głos, to Go nie ma. To była moja ucieczka, ucieczka w kłamstwo. Złudne postępowanie, ale wtedy nie umiałam inaczej. Ten czas minął. Patrzę w lustro i mówię:

- Mam raka.

Najpierw ze spuszczonej oczami, potem patrząc prosto w oczy dobitnie:

- Mam raka i marne szanse.

Musiałam sama to usłyszeć. Nic się nie zmieniło. Raka miałam i mam. Raka rozsianego.

∞-----∞-----∞-----∞

Zastanawiam się, ile czasu mi zostało, jaki ból mnie czeka. Tego boję się najbardziej - bólu. Czekać i już? Dać wiarę wyrokowi? Przecież są apelacje. Poddanie się byłoby najprostsze i najłatwiejsze, lecz ja nie znoszę łatwizny.

Znalazłam dobrego adwokata - to psychika - i złożyłam apelację do wyroku. Znaleźliśmy innego onkologa - chemioterapeutę. Przyjął mnie bardzo szybko. Zabrałam całą dokumentację i pojechałam na spotkanie. Bardzo się bałam, czy będzie taki sam jak poprzedni i powie:

- Nic dla pani nie mogę zrobić, przykro mi.

Wymazuję to zdanie z umysłu. Nie ma go i nie będzie. Wiem jednak, że to niemożliwe. Jest i będzie. Nie wiem tylko, kiedy niespodziewanie zapuka do moich drzwi.

Jestem na miejscu. Zaprasza do gabinetu. Wydaje mi się bardzo ciepły i empatyczny. Ze zrozumieniem słucha tego, co mówię. Relacjonuję kolejne działania, cytując słowa wyroku. Słuchał mnie bardzo uważnie, patrząc na mnie. Nie zadawał zbędnych pytań. Zaczekał, aż skończę. W końcu rzekł:

- Może pani źle zrozumiała słowa?

- Nie, tak powiedział – stwierdziłam stanowczo.

Nie dociekał. Poprosił o dokumentację. Dostyc długo ją analizował, było sporo do czytania. Bałam się na niego patrzeć, aby w jego gestach, mimice nie zobaczyć zbyt wczesnej decyzji. Tej złej decyzji. Omiatałam wzrokiem gabinet. Patrzyłam w ogromne okna, za którymi rozciągał się przepiękny krajobraz – widziałam pasma górskie porośnięte drzewami w różnych odcieniach zieleni. Pomyślałam, że skoro jest tak pięknie, to nie może być źle. Przecież z rozkoszą podziwiam góry jesienią, zimą, latem, więc musi mi dać czas. Musi podarować CZAS.



Skończył. Odłożył dokumentację. Spojrzał na mnie i - jak gdyby nigdy nic - powiedział:
- Będziemy się leczyć.

Zabrzmiało to w mojej głowie tak, jakby miał leczyć zwykłą grypę, przeziębienie. Dał nadzieję. Darował mi CZAS. CZAS, którego tak bardzo pragnęłam.



∞-----∞-----∞-----∞

Czekała mnie seria czerwonej i potem białej chemii. Lekarz opowiedział o skutkach ubocznych. Słuchałam bez lęku. Nie bałam się, choć wiedziałam, co mnie czeka. Informacji zasięgnęłam również z

Internetu na forum. Nie były różowe. No trudno, dam radę. Podczas pierwszego wlewu musiałam spędzić trzy dni w szpitalu.

- Trzeba być pod nadzorem, aby sprawdzić pani bezpośrednią reakcję pani organizmu na toksyny
- powiedział lekarz.

Bez lęku poddałam się terapii.

Jestem sama w sali szpitalnej. Za oknem przepiękny widok na pasma górskie, a obok mnie kroplówka z czerwoną cieczą. Ten rodzaj chemii nazywają czerwonym diabłem. Nazwa dosadna, ale prawdziwa. Czerwony diabeł, jakby diabły miały różne kolory, a może tak jest. Kropla po kropli sączyła się do moich żył toksyna. Z uwagą obserwowałam swój organizm, pamiętając o wypowiedziach z forum. Przeszło w miarę dobrze. Ostatnie krople leniwie spływały. Teraz tylko przepłukać żyłę i mieć to za sobą. Przeszłam pierwszy, początkowy etap. Nie było tak źle. Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu.

- Mamuś, no jak tam. Wszyscy pytają, jak dałaś radę - usłyszałam głos córki.

- Jest wszystko dobrze - odpowiedziałam - diabeł okazał się nie taki straszny.

- W której sali leżysz, gdzie to jest? – pytała.

Był wieczór, więc jej pytania wydawały się dziwne, bo i po co jej w tej chwili wiedzieć. Przecież pora odwiedzin dawno minęła. Z pewnością chodziło o podtrzymanie rozmowy.

- Dobranoc - powiedziałam ciepło - śpijcie spokojnie.

- Pa! - odpowiedziała promiennie.

W tej samej chwili drzwi sali otworzyły się. Wieczorny obchód, pomyślałam. No chyba jednak nie. Do sali wsączył się wspaniały zapach moich ulubionych naleśników. Pomyślałam, że to skutek otrzymanej chemii. Leniwie odwróciłam się do drzwi. No nie, wieczorem, ze smacznym zapachem ciepłych naleśników, stała uśmiechnięta Elizka.

- Cześć, kolacja. Jedz, jeszcze ciepłe - powiedziała z błyskiem w oczach córka. Widziała, że zrobiła mi ogromną niespodziankę. Były przepyszne. Czułam ciepło nie tylko naleśników, ale przede wszystkim JEJ.

Nie mogła być zbyt długo, bo było późno. Dla mnie jednak te chwile znaczyły wiele. Jej uśmiech, który pozostał w mojej pamięci, pozwolił szybko zasnąć. Trzy dni szybko minęły. Dostałam harmonogram wlewów. Zaczęłam we wrześniu, skończę w grudniu, w Sylwestra. Z pewnością będzie szampan.

∞-----∞-----∞-----∞

Wiedziałam, że skutkiem ubocznym chemii będzie utrata włosów. Musiałam się do tego przygotować i mieć nowe, gotowe włosy, gdy będzie „łysa pała”. A może nie wszystkie włosy mi wypadną? Długo wybierałyśmy z Elizką perukę. Mierzyłyśmy na zmianę obie. Długie, krótkie, rude, blond...

Przynajmniej wiemy, w jakich kolorach nam nie do twarzy, jakich fryzur unikać. Było dużo śmiechu i głupich min do lustra. Fajnie spędziłyśmy ten czas POMIMO. Mimo wszystko potrafimy cieszyć się każdą chwilą i każdą chwilę celebrować na różne sposoby. Czas rozmywa strach. Wybrałyśmy jeden z modeli. Bardzo mi zależało, aby były podobne do moich, choć w innych też mi było fajnie. Byłam gotowa, ale nie wiedziałam, że jednak nie tak bardzo. Włosy leżały i czekały na odpowiedni moment. Oby był naprawdę odległy.

Czerwonego diabła dostaję co 4 tygodnie. Po pierwszym tygodniu włosy mi trochę osłabły. Pojedyncze zostawały na grzebieniu, poduszce i na ubraniach. Nie było tak źle. Druga dawka w podaniu jednodniowym. Poranek. Zapisy. Najpierw przyjęcie do szpitala, potem badanie krwi, potem zapisy na oddział i kolejka do lekarza. W trakcie poznaje się różnych ludzi. Każdy opowiada o swojej chorobie. Dokładnie z detalami. Ja tylko słucham. Nie lubię opowiadać o sobie. Nikt zresztą nie pyta. Każdy chce, oczekuje, aby tylko jego wysłuchać. Historia każdego ma być najtrudniejsza, najgorsza. Ja słucham i tylko kiwam od czasu do czasu głową, na potwierdzenie, że ich rozumiem. Tego im potrzeba, wygadać się, poczuć się ważnym.

Moja kolej spotkania z lekarzem. Typowe, rutynowe badania i zlecenie na kolejną chemię. Kolejne oczekiwanie. Wreszcie jedzie czerwona i obok biała (płukanka żyły). Dumnie obok siebie biała i czerwona. Śmieję się, że to barwy flagi polskiej. W tym okresie były mistrzostwa świata, więc, żartując, mówiłam, że w ten sposób kibicuję Polakom. Biało – czerwona chemia. Szłyśmy razem korytarzem (ja i Elizka), a nad nami kołysała się biel i czerwień.



Śmiałyśmy się z takich skojarzeń, ale dzięki temu było nam łatwiej. Zaraz po drugiej dawce włosy po nocy zostawały na poduszce. Każde muśnięcie ich dłonią powodowało, że w dłoni pozostawał duży pukiel. Dla mnie stawało się to coraz trudniejsze. Wiedzieć, a przeżywać to - dla mnie zupełnie co innego. Wiedziałam, że tak może być, że tak będzie, ale nie spodziewałam się, że to takie trudne i bolesne. Włosów było coraz mniej. Najgorsze było to, że w dłoniach pozostawał coraz częściej ogrom włosów. To było okropne doznanie. Zawsze przecież miałam gęste i piękne włosy. Teraz było coraz więcej łysiny. Nie myślałam, że najgorsze jeszcze przede mną.

Nadszedł moment, że trzeba było wziąć maszynkę i ogolić głowę. Dzielnie usiadłam na krześle, poddając się rytmicznym ruchom maszynki. Z góry na dół. Z dołu do góry. Myślałam o czymś innym, bo świadomość tego, co się dzieje, była bardzo trudna, choć byłam na to przygotowana. Serce waliło jak

oszalała. Słyszałam bulgoczącą w żyłach krew. No, wreszcie koniec. Cisza na głowie. Muszę się wziąć w garść i spojrzeć w lustro. Jakże to trudne. No nic, biorę się w garść i spoglądam. Nie jest źle. Mm bardzo ładny kształt czaszki. Łzy same, bezwiednie zaczęły mi płynąć po twarzy. Nie mogłam ich powstrzymać. Nie chciałam strumieni łez, ale to działo się poza mną. Nie miałam na to żadnego wpływu.

Miałam fajną lekką czapkę, więc w niej chodziłam w domu. Nie mogłam bliskim swoją łysiną przypominać o mojej chorobie. Czapka może ją ukrywała. Tak sobie tłumaczyłam. To nieprawda, jak ktoś mówi, że golenie głowy kobiety to nic takiego. To brednie. To ogromne przeżycie, które mówi: - Jesteś chora, jesteś chora. Tego już nie możesz ukryć.

W piątek łysina, a w poniedziałek do pracy. Czytałam, że trzeba się do tej sytuacji przyzwyczaić. W peruce wychodzić wieczorami z domu. Stopniowo uczyć się nowej sytuacji. To nie dla mnie. Żadnych wieczorów. W poniedziałek rano wstałam, zrobiłam makijaż, piękną fryzurę i pojechałam do pracy. Nie rozmyślałam, nie zastanawiałam się. Po prostu był to mój kolejny dzień w pracy, może tylko z nową fryzurą. Nawet nic sobie z tego nie robiłam, gdy usłyszałam drwiące pytanie:

- Co pani sobie na głowę włożyła?

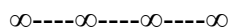
Zignorowałam to pytanie.

No nic. Daję radę. Praca pozwala mi choć na jakiś czas zapominać. Pracowałam przez cały czas leczenia chemią. W piątek brałam wolne i chemię. Sobota i niedziela -odpoczynek i dochodzenie do siebie, a w poniedziałek do pracy. Pewnie nikt nawet nie wiedział, że piątki to nie na relaks, choć niektórzy mówili, że to moje długie weekendy. No i dobrze. Tak chciałam. Żadnych ulg, żadnego ubolewania i pocieszania. W poniedziałek wkraczałam do pracy z uśmiechem na twarzy, pełna energii. To oczywiście moje kłamstwo. Bardzo dobrze mi to wychodziło. Piękne kłamstwo, piękna rola aktorska - Oskar się należy.

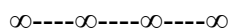
Skończyły się czerwone i 12 cotygodniowych tzw. białych. Po każdej z nich byłam okropnie głodna. W drodze powrotnej szybko szukaliśmy jakiejś knajpki, by się zatrzymać i jeść, jeść, jeść. Na wynos do domu też. Czasami było mi wstyd, że z takim łakomstwem pożerałam wszystko, co lubię i na co mam ochotę, oczywiście w malutkich porcjach. Frytki, naleśniki, zupy. Wszystko, co lubię, a było w karcie, znoszono mi na stół. Całe szczęście, że tych dań nie było aż tak dużo. Przyjazd do domu. Łóżko, kocyk i długi sen. To było przez pewien czas jak rytuał.

∞-----∞-----∞-----∞

Święta cudowne z rodziną. Dla wszystkich ulubione potrawy. Cudowne uśmiechnięte wnuczeta, rozpakowujące z wypiekami prezenty. Zapach choinki i ciepło bliskich. Przepiękne chwile. W duchu modliłam się, aby dożyć następnych, tym razem wielkanocnych świąt.



Nowy rok 2019 pełen nadziei. W styczniu i lutym radioterapia - 25 frakcji - pięć tygodni codziennego naświetlania. Rano lampy, a po nich do pracy. Sama nie wiem, jak dawałam radę. To wszystko psychika. U mnie dobrze „naoliwiona”. Wreszcie koniec. Jestem chemiczna i naświetlona. Pełna nadziei i wiary, że już będzie tylko dobrze. Przecież tyle przeszłam.

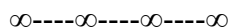


Do kwietnia wszystkie rutynowe badania TK, USG, RTG, scyntygrafia i krew. Były ok. Piękny czas. Już chyba po wszystkim, ale rutynowo trzeba przeprowadzać badania, więc to robiłam. Na każde kolejne badanie szłam z coraz mniejszym strachem. Po trzech miesiącach, 5 lipca, USG. Standardowe badanie. Było jednak zbyt długie. No, lekarz chce być dokładny, dlatego to tyle trwa - myślałam spokojnie. Niestety, strach wrócił. Stwierdzono 3 guzy w tej samej piersi. Wynik został potwierdzony w kolejnych badaniach 16 lipca. No nie. To niemożliwe. Dlaczego? Skąd. Miało być już dobrze. Powtarzamy drogę, którą już dwa razy przeszłam. Najpierw PET - zmiany potwierdzone.

Dwie biopsje negatywne, ale niejednoznaczne. Wyniki do korekty operacyjnej. 10 października - operacja oszczędzająca piersi prawej z rekonstrukcją. Procedury już znałam. Niebieski uniform, białe pończoszki, błękitna czapeczka i pielucha jak u niemowlaka. Pobyt w szpitalu, jazdy z butelkami i drenami szybko minęły, choć dość boleśnie. Czekam na wynik. Jest dość szybko. Brodawczaki. Uf. Nic strasznego. Zmiany nowotworowe, ale nie złośliwe. Dlaczego tylko rosną nowe w tak szybkim tempie? No, nie ma co marudzić. Najważniejsze, że nie złośliwiec.

Strach jest coraz mniejszy. Czas go rozmywa, jak kroplę barwnika wkropionego do szklanki z wodą. Mówi się, że czas goi rany, a ja jeszcze dodam, że czas rozmywa strach. Swobodnie rozmawiam o swojej chorobie. Potrafię ją nazywać.

Koniec grudnia 2019 roku - rutynowe TK, bez zmian ogniskowych.



Nowy rok 2020 rozpoczął się z lekkim strachem, spowodowanym doniesieniami o coraz groźniejszym Covidzie 19. Co przyniesie kolejne badanie? Zbyt długo nie zaprzętałam sobie tym głowy. Po co myśleć. Trzeba żyć i cieszyć się nim. Tak też robiłam. Każdy dzień był dla mnie ogromną radością. Cieszyłam się każdym promykiem słońca. Każdym uśmiechem bliskich. Gorącymi uściskami wnucząt.

Na kolejne rutynowe badanie TK w kwietniu jechałam spokojna, swobodna, bez strachu i napięcia. Wiedziałam, jaka jest procedura. Badanie to tylko element pięknego dnia. Dnia zaplanowanego. Piękne słońce wyzierające zza gór, czyste drżące powietrze w oddali. Widok był tak wyrazisty, że aż niemożliwy. Lekki wiatr smagał leniwie nasze twarze. Spojrzenie na pasma górskie i droga na badanie.



- Jest ok. Idź na piękny spacer. Ja tylko wpadnę na cztery godzinki i zaraz wracam. Razem pójdziemy wtedy na długi piękny spacer do lasu - powiedziałam.

Leniwie, bez nerwów i napięć czekałam na swoją kolej. Milcząco przyglądałam się ludziom w kolejce. Słuchałam, co mówią, jak się niektórzy awanturują o czas oczekiwania. Nie wiem, po co. Szkoda zdrowia na nerwy. Dla nas czas inaczej się liczy. Po co te nerwy, nic to nie zmieni. Dla mnie nie, dla nich być może tak.



Powoli piłam paskudny płyn kontrastowy. Każdy kolejny łyk zdawał się bardziej neutralny. Do smaków też można się przyzwyczać. Badanie przeszło jak zwykle miło i profesjonalnie, bez zbędnych elementów. Uśmiechnięte i ciepłe panie powodowały taki luz.

Wyszłam z budynku, zdjęłam maskę i odetchnęłam głęboko. Celebrowałam każdy haust świeżego powietrza i pięknej pogody. Wolny spacer po lesie, świergot ptaków i łagodny podmuch kwietniowego wiatru sprawiały, że te cztery godziny były już daleką przeszłością. Takim tylko dodatkiem. Do domu wracaliśmy trochę zmęczeni, ale szczęśliwi. To był piękny dzień.



Nie myślałam o wyniku. Przyzwyczajona do niemiłych niespodzianek, traktowałam go jak kolejny etap. Strach dawał się oswajać. To ja trzymałam jego lejce. Mocno i bezwzględnie. Okazuje się, że można go poskramiać, oswajać, ale niestety nie oswoić. To, niestety, jeszcze mi się nie udaje. Przypomina mi to jazdę na rumaku. Trzymasz wodze, jest ci posłuszny. To ty nim kierujesz. Jest wspaniale. Dumnie siedzisz w siodle, spoglądając na wszystko z wysokości. Wystarczy jednak jedna chwila, jeden moment, głośniejsze uderzenie i rumak wpada w popłoch. Sam kieruje sobą, pędząc przed siebie. Ty już nie masz nad nim żadnej władzy. To strach, który pojawia się przed kolejnym wynikiem.

Mój rumak ruszył z kopyta. Pędził, jak oszalały. Nie miałam na niego wpływu. Sam wyznaczył sobie drogę. Drogę, której nie chciałam i którą nie chcę podążać.

Są wyniki TK. Guz w płucu prawym, trzy zmiany w prawej piersi. Tej samej cały czas. Już wiedziałam, jaka będzie dalsza droga. To tak, jakby przewodnik oprowadzał jednostkę po raz kolejny po tych samych miejscach. Te miejsca to RTG, TK, USG, PET, kolejne coraz bardziej bolesne biopsje zmian w piersi, ciągle tej samej. Walczę, aby usunięto mi również lewą pierś. Bezskutecznie. Po co mam czekać, aż zmiany przejdą na nią? System na to nie pozwala. Jak będą zmiany, to wtedy może będą operowali i usuną. Na ten moment ciachamy prawą.

Doszedł nowy strach. 20 marca 2020 roku ogłoszono w Polsce stan epidemii związanej z coraz większą ilością zachorowań na Covid 19. Od 16 kwietnia obowiązuje zakrywanie ust i nosa. Czyli wszędzie maseczki. W szpitalach i przychodniach restrykcje. Coraz więcej osób umiera. Czy bałam się Covida? Tak, bardzo. Bałam się o swoich najbliższych. Przechodzili go bardzo ciężko. Prawie każdy po kolei. To był ogromny strach o nich. W takich sytuacjach nie mogliśmy się również widywać, a to było niezmiernie trudne. Czy bałam się o siebie? Chyba nie. Bałam się tego, co toczy mój organizm. Powoli, sukcesywnie, bezwzględnie i bez znieczulenia.

Biopsje grubo igłowe 19 czerwca i 01 lipca. Zmiany niejednoznaczne, podejrzone do weryfikacji operacyjnej. Podejmowanie decyzji, co operować w pierwszej kolejności - pierś czy płuco. Decyzja lekarzy - najpierw płuco.

Kolejny raz 29 lipca 2020 roku jadę długim korytarzem w granatowym mundurku na salę operacyjną, by dziada z płuca wyciąć, wyrzucić na zawsze. Nie mieć, zapomnieć.

Znowu uwiązana plastikowymi rurkami do bulgoczącego dużego szklanego słoja. Śniadanie do łóżka i ten wszechobecny bulgot. Wyjmowanie drenów. Niestety, mimo że wiedziałam, co mnie czeka, było dla mnie bolesnym doświadczeniem. Nie można się do tego przygotować. Malutka, cicha sala pacjentów. Jestem na niej sama. Rehabilitant uczy oddychania, poruszania się. Oklepuje plecy. Mocno, dla mnie zbyt mocno. Mówi, że tak właśnie trzeba. Poddaję się tej codziennej rutynie. Najgorzej, gdy trzeba kaszlnąć lub kichnąć. Okropny ból. Uczę się go poskramiać.

Jestem w domu, czekam na wynik. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale bez emocji, bez strachu, jakbym znała już wynik. Nie wiedziałam tylko, czy to jest zmiana pierwotna czy wtórna. Wiedziałam jednak, że to rak. Tak też się okazało. Przerzut z piersi. Wideotorakoskopia prawostronna, resekcja klinowa brzeżna zmiany guzowatej z płata dolnego płuca prawego (w histopacie - zmiana przerzutowa z piersi) 9 P - czytam na histopacie. Kolejny rzut, dla mnie i dla lekarzy zbyt szybki. Przecież raki chodzą bardzo wolno. Niestety, mój dziwoląg szedł szybko i do przodu, zmieniając kierunek. Z lewego na prawy. Taki wędrowniczek. Rany po płucnej operacji w miarę zagojone.

Teraz weryfikacja zmian w piersi. Czekam na termin przyjęcia do szpitala. Oby szybko. Czekanie jest najgorsze. Wreszcie telefon. Numer i głos znałam doskonale. Wiedziałam, że wyznaczono termin.

17 września 2020 roku wiozą mnie długim korytarzem. Tym razem w niebieskim uniformie. Jak zwykle w pięknych białych pończochach. Brakowało tylko eleganckich bucików. Niby wszystko się powtarzało, ale doszedł nowy element - Covid 19 i nowe procedury. Test przed przyjęciem do szpitala. Oczekiwanie na wynik. Przecież nikt do końca nie wie, czy jest zarażony. No i

samotność w szpitalu. Zakaz odwiedzin. Daje się to przejść. Kolejne wyjazdy na zmiany opatrunków i butelek z drenami. Zawsze w masce, bez osób towarzyszących. Oni czekali przed budynkiem. Rygor, ale to bardzo dobrze, bo w takim miejscu to potrzebne. Jest wynik. Znowu taki sam. Zmiany łagodne. Dlaczego te zmiany tak szybko powracają, dlaczego są kolejne przerzuty, skoro Go w piersi nie ma. Dlaczego biopsje są niejednoznaczne? Nikt na to pytanie nie umiał odpowiedzieć, a może nie chciał, a może sami nie rozumieli, dlaczego tak się dzieje.

Działamy z kolejną chemioterapią. Znowu wypady w góry - szpital na szczycie. Piękne krajobrazy, cudowna pogoda i kolejne procedury związane z Covid 19. To wszystko nic. Niech sączy się leniwie toksyna ratująca życie, a może dająca mi trochę więcej czasu? Nieważne, bo cały czas jestem. Chemia kolejna i kolejna. Próbuje. Czuję, widzę nowe zmiany w piersi. Są bardzo bolesne, bo nie mają już miejsca na panoszenie się.

21 kwietnia 2021 roku kolejne USG - 3 zmiany w piersi. Jak określono - łagodne. Nie dają mi jednak normalnie funkcjonować. Ból nie tylko w piersi, ale także całej ręki.

- Może to ból pooperacyjny? - słyszę pytanie lekarza.

- Nie, to nie ból tego typu, bo taki już znam, wiem, jak go rozpoznać - odpowiedziałam pewnie.

To COŚ zaczyna maja się po raz kolejny panoszyć. W związku z tym zmiana chemii. Obecna nie zadziałała.

13 kolejne USG.

- Zmiany się znacznie powiększają. Trzeba je wyciąć – usłyszałam.

24 maja 2021 roku piąta operacja piersi z rekonstrukcją. Trzeba dodać, że ciągle tej samej. Tym razem rany nie goją się dobrze. Zdarzało się, że musiałam jeździć dwa razy w tygodniu (120 km). Mój organizm chyba mówił:

- Nie daję już rady. Mam dosyć, zwolnij albo to coś poskrom.

Jak miałam to zrobić. Sama miałam dosyć. Rany wyglądały coraz gorzej, rozchodziły się, nie można było ich uspokoić. Rozprułam się - żartowałam, bo co miałam robić. Trzeba było szyć. Dobrze, że zrobiono to w trakcie tej samej wizyty. Musiałam trochę poczekać, aby któryś z lekarzy był wolny. Zabieg nie był taki straszny, ale nerwy okropne. To tak, jakby na szwie bluzki puściły nici. Sama je zszywałam. U mnie zrobił to lekarz. Znieczulenie miejscowe i szycie. Nie było to proste, bo skóry mało i bardzo delikatna, ale udało się. Rana zagoiła się, ale uraz pozostał.

Kolejne chemie. Próbuje różnych. Kolejnych i kolejnych, ale okazuje się, że żadna nie działa. Włosy wyszły mi jeszcze dwukrotnie. Miałam w związku z tym okazję do kolejnej zmiany fryzury. Tym razem wybrałyśmy trochę dłuższe. Wyglądałam świetnie i tak się czułam, zwłaszcza z przewiazaną w formie przepaski chustą we włosach.

Rutynowe, jak zwykle, badanie TK w lipcu 2021 roku. Beznamiętnie odbieram wynik. Zmiany w płucu lewym i piersi (ciągle tej samej). Czasami myślę, że gdyby ich nie było, byłabym zaskoczona. Rutyna pozwala zrobić wszystko, w umyśle też, zwłaszcza w moim. Pozwala przyzwyczaić się do bólu, ogarniać strach i widzieć jeszcze nienapisany wynik badań.

- Spróbujemy jeszcze kolejnej chemii, choć nie jest ona na pani raka. U innych działa. Może u pani też zadziała. Musimy spróbować - powiedział mój lekarz.

- Kiedy i jak, jaki cykl? – spytałam.

Nie pytałam o skutki uboczne, bo gorszych już mieć nie mogę. Chemie nauczyły mnie walczyć z bólem. Śmieję się, że jest to tak jak z porodem. Okropny ból, który szybko zapominamy i mimo tego decydujemy się na kolejne dziecko. Podobnie jest u mnie. Krwawiące rany na dłoniach i stopach, odpadające w bólu paznokcie u stóp. Jedne wielkie, trudno gojące się rany w buzi, niesamowity ból całego ciała. Biegunki i wymioty na zmianę. Mimo tego za każdym razem mówiłam TAK kolejnej toksynie, mimo iż wiedziałam, na co się decyduję. Czasami słyszę słowa moich koleżanek:

- Ja bym rady nie dała, ja bym się już dawno poddała, ja bym tego nie wytrzymała.

Sama się nieraz zastanawiam, jak daję radę. Może dlatego, że każdy następny dzień przyniesie miłą niespodziankę, więc jak mogę go przegapić?

Mówię za każdym razem TAK chemii, choć jest to bardzo trudna decyzja.

Pora sprawdzić, czy toksyny działają.

We wrześniu 2021 roku badanie PET. Niestety, zmiany świecą wyraźnie. Tym razem w płucu lewym i standardowo w prawej piersi. No jaki przewrotny, raz lewe, raz prawe i ponownie lewe płuco.

Czy to nie jest nudne dla NIEGO - tak bawić się ze mną w kotka i myszkę?

- To już staje się nudne – myślałam.

No cóż mam zrobić, standard. Łzy ze złości i bezsilności same leją się słonym strumieniem. Oczywiście, gdy nikt tego nie widzi. Jestem wściekła, ale sama nie wiem, na co. Co dziwne - nigdy nie zadawałam sobie pytania: dlaczego ja? za co?

No cóż, kolejna próba z chemią. Może wreszcie na przekór wszystkiemu choć odrobinę zadziała. Poradzono wizytę u lekarza radiologa, aby zniszczyć guz w płucu. Byłam już z takim pytaniem w 2020 roku, ale lekarz stwierdził, że dostałam już zbyt dużą dawkę promieni w 2019 roku i nie można teraz poddać mnie radioterapii. Tym razem szłam pełna nadziei. Minęło sporo czasu, więc może będzie można wypalić mojego guza w płucu, aby nie było kolejnego zabiegu albo, co gorsze, aby go zostawić i dalej eksperymentować z chemią. Niestety, odpowiedź - NIE. Żadne moje argumenty nie były brane pod uwagę. Nie byłam przecież lekarzem, bałam się jedynie tego, co może się stać, czyli efektów zbyt długiego oczekiwania. Odpowiedź jednak była stanowcza – „Nie można”.

Rok 2021 kończę badaniem RTG, które potwierdziło zmiany. Kolejny rok kończył się z „pakunkami”, których nie chciałam rozpakowywać, choć wiedziałam, że będę musiała. Jednak może jeszcze nie w tej chwili, może za jakiś czas. Może zdarzy się coś nieoczekiwanego i nic już w moim organizmie obcego się nie znajdzie. Tylko blizny po operacjach będą przypominały o tym, co było, co już tylko było. Tak chciałam zakończyć stary rok.

∞-----∞-----∞-----∞

Rok 2022 - kontynuuję kolejną chemię, inną, już chyba ostatnią dla mnie, innych nie można mi polecić. Niestety, nie zadziałała. Na mój typ raka one nie działają, a może właśnie ten mój jest tak uparty, tak przekorny i mówi:

- Złap mnie, jeśli potrafisz - tak jak w tytule jednego świetnego filmu.

Co teraz? Nie wiem. Teraz nie wiem, ale wiem, że to tylko chwilowa niewiedza. Będzie dalej plan! Nasz plan. Trzeba tylko trochę poczekać, uzbroić się w kolejną cierpliwość, przecież tyle jej mam. Ktoś uparcie mnie testuje. Choć nie jestem w testach zbyt mocna, nie cierpię ich, ale te zaczynam już kochać?...

W międzyczasie dostałam zakrzepicy. Oczywiście rzadkiej, jak mówi lekarka - zakrzepica szyjnych żył wewnętrznych po stronie lewej. Przecież inaczej nie może być. Jak coś mieć - to rzadkiego, nietypowego. Przecież jestem taką nietypową osobą. Jak coś to na full.

Na co się decydować. Co robić? W dalszym ciągu nie wiem. Radiolog odmawia naświetlania guza w płucu, choć inni lekarze uważają, że to może być dobry pomysł, albo jakiś pomysł. Zniszczyć i już. Ale oczywiście procedury, według których najpierw zabieg operacyjny. Jeżeli torakochirurg na piśmie oznajmi, że go nie wykona, to będą mogły być naświetlania. Absurd, który lekarz powie to na piśmie?! No, ale moje chwile życia z rakiem to nie tylko jeden, ale wiele absurdów...

Operacja wycięcia guza w płucu jest bardzo ryzykowna. To już byłoby drugie (w lewym płucu) grzebanie w nim, a poza tym zakrzepica. Duże ryzyko krwotoku i zatoru płucnego. Lekarz będzie obciążony dużym ryzykiem, oczywiście ja też. Wiąże się to z tym, czy w trakcie operacji, zabiegu... Niestety, nie mogę tego napisać. Boję się o tym myśleć, więc może zastąpię kropkami.

Co z piersią? Zmiany są już tak duże i liczne, że nie dają normalnie funkcjonować. Szczególnie wtedy, gdy kieruję samochodem, zaciskam z bólu zęby. To przecież prawą ręką zmieniam biegi, nie jest to łatwe. Udamę, że wszystko jest ok i jadę, jadę po nadzieję, by zapomnieć i nie myśleć.

∞-----∞-----∞-----∞

Już wiem. Mamy plan. Trzeba gady wyciąć, choć lekarze są temu przeciwni, no nie wszyscy. Mówią, że zbyt dużo przeszłam, że organizm bardzo osłabiony i rozregulowany. Ale co, mam czekać? Na co? Przecież już nic nie mogą mi zaoferować.

Planujemy operację z chirurgiem z tej racji, że guzy wyszły poza pierś, na mostek. Śmieję się, że na kapitański, obserwując pozostałe zmiany.

Biopsji nie można zrobić i czas oczekiwania byłby długi. Miejsce zmian, ich wybór i mijający szybko czas to uniemożliwiają. Zabieg trudny. Czy uda się skórę tak naciągnąć, aby zakryć miejsce mostkowe? Lekarz musi to dokładnie zaplanować i przewidzieć różne opcje.

- Na stole się okaże, co i jak - powiedział.

Byłam spokojna. To świetny fachowiec, ufałam mu bardzo.

2 lutego 2022 roku jadę kolejny raz, już szósty, w niebieskim uniformie. Żartuję na oddziale, że powinnam dostać już kartę stałego klienta. Zabieg się udał, ale faktycznie był trudny - usunięcie implantu, wycięcie guza prawej piersi wraz z częścią mięśnia piersiowego, częściowe usunięcie torebki włóknistej, zamknięcie ubytku przesuniętym płatem skórno-podskórnym.

Lekarz z trudem naciągnął skórę, ale się udało. Okazało się, że guzy opłotły również żebra. Trzeba było je trochę, jak ja to mówię, oskrobać. Kiedy koleżanka mnie zapytała:

- Jak to - oskrobać?

- Kup pół kilograma żeberek i je oskrob - odpowiedziałam jej ze śmiechem.

Humor POMIMO mnie nie opuszczał. Z przerażeniem spojrziała na mnie. Skwitowałam to filuternym uśmiechem. Wycięto wszystko na i między żebrami. Teraz już tylko skóra, bardzo cienka i

żebra. Paskudnie to wygląda. No, ale cóż - na wybiegi nie chodzę. Cieszę się, że kolejnych guzów już nie będzie, bo po prostu nie ma już miejsca. Nie ma odrobiny mięśnia, tylko delikatna skóra i kości, więc gdzie?

∞-----∞-----∞-----∞

W międzyczasie, przed operacją piersi, trzeba było zmienić perukę. Przecież tylko zmiana jest czymś stałym w życiu! Tym razem pojechałyśmy do specjalistycznego sklepu we Wrocławiu. Wiedziałyśmy, że będzie to długa wizyta ze względu na moje niezdecydowanie. Czekaliśmy przy pysznej kawie i ogromnych słodkościach, aż nadejdzie nasza kolej. Wypełnione słodyczkami wkroczyłyśmy do salonu. Nie było nikogo - tylko my. Bardzo miła pani spytała:

- Jakie są pani oczekiwania, jaki kolor, jaka długość?

Oczywiście nie miałam pojęcia, jak zawsze ostatnio...

- Będziemy mierzyć różne, aż się uda i mama będzie zadowolona - odparł mój anioł.

Tak też się stało. Siedziałam na fotelu przed lustrem, a ekspedientka donosiła przeróżne modele. Oglądałam się wielokrotnie z przodu, z tyłu, z boku, ale żadna z nich nie była tą moją. Dziewczyny co jakiś czas sugerowały, aby przymierzyć blond, ale ja stanowczo odmawiałam. Przecież to było zupełnie nie w moim stylu - taka drastyczna zmiana koloru. Propozycje się wyczerpały. Zaczęłam wszystko od początku. Znowu namowy na blond. Zbliżała się pora zamknięcia salonu. No, pomyślałam, zrobię przyjemność dziewczynom.

- Proszę pokazać ten blond, robię to dla was, dla świętego spokoju - powiedziałam z radością. No, niech się to skończy. Poszukam później w innym salonie, może coś znajdę.

Siedziałam przed lustrem i w odbiciu widziałam, jak ekspedientka z półki zdejmuje ostatnią w tym dniu propozycję. Wiedziałam, jaka będzie moja odpowiedź - przecież to ani mój kolor, ani mój fason. No, niech będzie, co mi tam - pomyślałam i poddałam się chwili. Zamknęłam oczy. Czułam tylko, jak rozczesywano i układano pasma włosów na mojej głowie. Otwierając powoli oczy, już chciałam powiedzieć:

- No, nie widzicie, że to nie moja bajka? Wyglądam paskudnie.

Jednak obraz w lustrze przeczył, mówił coś innego. Siedziała przede mną młodsza, pewniejsza siebie osoba. Silna i stanowcza.

- Czy to naprawdę ja? – pomyślałam.

Spojrzałam na dziewczyny. Porozumiewały się między sobą bez słów, tylko wzrokiem, z błyskiem w oczach i z uśmiechem. Nic nie mówiły. Czekały na moją reakcję, choć chyba rozumiały mnie doskonale i wiedziały, co nastąpi. Uśmiechnęłam się, zatrzepałam włosami. Wstałam z fotela, aby się przespacerować po zakładzie. Niepotrzebne mi było już lustro, aby obejrzeć siebie z tyłu. Wyszłam przed sklep. Wyprostowana, młodsza, pewniejsza siebie. Czy to możliwe, by stał się cud i nastąpiła we mnie taka zmiana? Czułam, że ubyło mi lat, a oczy mi błyszczały. To był błysk kolejnej nadziei. Stałam przed lustrem jeszcze raz. Tak, tak to ja. Ta sama, a zarazem zupełnie nowa.

- I co, dziewczyny, bierzemy? - powiedziałam z radością.

Kiwnęły tylko głowami. Całe szczęście, że były takie uparte. Sama nigdy bym się nie zdecydowała nawet na przymiarkę.

- Proszę dać, zapakuję – usłyszałam.

- Nie, dziękuję, ja już w niej wychodzę - odpowiedziałam.

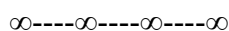
Całe szczęście, że odcięto mi chociaż metkę, bo chodziłabym z dyndającą ceną. Elizka dopełniła formalności. Wyszliśmy z salonu. Przepiękna pogoda. Promyki słońca łaskotały moją twarz i włosy. Mimowolny uśmiech błąkał mi się po rozpromienionej twarzy. Przez chwilę nic do siebie nie mówiliśmy. Ja oddychałam rześkim powietrzem, a ona mnie tylko obserwowała. Po chwili powiedziała:

- Mamuś, stałaś się inną kobietą, silniejszą i pewniejszą siebie.

- No tak, to prawda. Dziękuję za twój upór - odpowiedziałam z czułością.

Nie myślałam, że to zdarzenie może mieć aż taki wpływ na moją psychikę. Gdybym się wcześniej poddała, nigdy bym nie doświadczyła takiego uczucia. Warto więc POMIMO czekać na następny dzień.

Wracałyśmy do domu w doskonałych humorach i, jak zwykle, głupawka nas dopadła, jak tylko zjechałyśmy z autostrady. Ta głupawka to też chyba nasz rytuał - POMIMO.



Czekam na histopat z piersi. Już bez nerwów i zniecierpliwienia. Można nabyć takie umiejętności, choć nie wiem, w jaki sposób. Oswajanie strachu i bólu pozwala mi w miarę dobrze funkcjonować. Na zewnątrz tylko, dla innych. W środku targają mną tajfuny. Nie wiem, jak się im opieram. Padam i szybko wstaję na nogi. To dla Nich, bliskich, mam tyle siły.

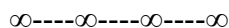
Jest wynik. Jadę na zdjęcie butelek, szwów i zmianę opatrunku. Przyzwyczajam się do widoku rany. Nagle do gabinetu zabiegowego wpada mój lekarz ze skrawkiem papieru. Z uśmiechem i radością mówi:

- To były tylko brodawczaki, nic złośliwego.

Ucieszyłam się tak samo jak i on. Nie był to jednak koniec. Przede mną guz w płucu i operacja pod znakiem zapytania. Skąd te przerzuty, skoro w piersi to tylko brodawczaki?

A może to błędne wyniki? Nie, nie mogę tak myśleć, przecież tak długo próbujemy różnych terapii, a może właśnie tak jest. Błędny, niecałkowity wynik?

Zrobiłam wszystko, aby do niej doszło. Odwiedziłam kolejnych specjalistów od zakrzepicy. Zrobiłam szereg dodatkowych badań, aby mój torakochirurg był trochę spokojniejszy, choć wiedziałam, że wszystko to do końca nie uspokajało. Śmieję się, że niektórzy zabiegów nie chcą i robią wszystko, aby ich uniknąć. U mnie było odwrotnie. Ja już zrobiłam wszystko. Teraz tylko wyciąć gada. Pożegnać się z nam. Oby na zawsze. Tak, już na zawsze.



Czekam ze zniecierpliwieniem. Wreszcie telefon. Znany mi numer i miły głos

- Proszę zgłosić się na oddział...

Wiedziałam, co usłyszę dalej. No nareszcie. Udało się. Cieszyłam się, jakbym u Minge kupiła kolejny fajny ciuch. Tak notabene, to każdy wyjazd do Wrocławia to nowe ubranie. Zdarza się tak, że czasami jestem ubrana od stóp do głowy w ciuchy od Minge. Właściwie to do tej pory nigdy mi się one nie podobały. To nie mój styl. Teraz i owszem. Fajnie w nich wyglądam i świetnie się czuję.

Na salę operacyjną jadę 11 maja 2022 roku, niestety w szpitalnym, jak zwykle granatowym uniformie, już po raz trzeci. Bardzo się bałam, bo operacja ryzykowna ze względu na możliwość krwotoku z powodu mojej zakrzepicy. No, ale cóż, musi być dobrze, przecież już tyle przeszłam. Dam

radę i tym razem. Wiem, co mnie czeka po przebudzeniu, ale fakt, że możliwe są już odwiedziny, dodaje mi wiatru w żagle. Na razie mój frachtowiec jest przycumowany do brzegu plastikową rurką, zakończoną bulgoczącym słojem.

Już wiem, że operacja się udała. Przecież żyję. Otwieram oczy i słyszę miarowe bulgotanie. Nic już się nie może stać. Niepewność i strach przeszły. Tradycyjnie śniadanie do łóżka. Full wypas jak zawsze. Pytam lekarza, jak było...

- Wszystko się udało. Trochę niespodzianek pani nam zafundowała. Zabieg się dosyć przedłużył, ale o tym porozmawiamy, jak pani będzie na swojej sali - odpowiedział.

Jestem tutaj sama, tym razem z walizeczką, przytwierdzoną plastikową grubą rurką. To taki podręczny bagaż, z którym nie mogłam się rozstać nawet w nocy. Jak zwykle cisza i spokój, świetnie. Tylko ta uczepiona walizeczka, nowe doświadczenie. Czekam ze zniecierpliwieniem na wizytę lekarza. Jest, siada na krześle. Już wiem, że coś jest nie tak.



- Wykonaliśmy zabieg wideotorakoskopii lewostronnej. Po uwolnieniu zrostów zlokalizowaliśmy położony podpłucnowo guzek średnicy 1,5 cm. Zmianę usunęliśmy klinowo w zdrowych granicach. Badaniem doraźnym stwierdzono utkanie raka niedrobnokomórkowego bez określonego punktu wyjścia. Z uwagi na prawdopodobieństwo pierwotnego charakteru zmiany zabieg poszerzyliśmy do resekcji anatomicznej płuca w granicach segmentów języczka (S4/5). Zabieg uzupełniliśmy o systemową limfadenektomię śródpiersia, węzły chłonne wnęki i śródpiersia niezmiennie patologiczne - wyrecytował jak fragment niezrozumiałej dla mnie prozy.

- Co to wszystko znaczy, proszę powiedzieć tak, abym zrozumiała - powiedziałam spokojnie.

- Proszę się nie denerwować. Już wszystko wyjaśniam. Zabieg się przedłużył. Wynik śródoperacyjny był niejednoznaczny. Dla bezpieczeństwa wycięliśmy szereg węzłów chłonnych węzkowych i piersiowych - mówił łagodnym głosem.

- Czy będą jakieś skutki uboczne po wycięciu węzłów? – zapytałam.

- Nie, nie będzie to miało istotnych skutków dla pani - cierpliwie odpowiadał na wszystkie moje pytania.

Ufałam mu bardzo.

- Na konkretne wyniki musimy poczekać – daje histopat - mówił.

Wiedziałam, że to rak. Teraz chodziło tylko o to, aby wyjaśnić, czy był on pierwotny czy wtórny. Ta wiadomość nie spowodowała, o dziwo, u mnie zbytniego zdenerwowania. Wiedziałam, że będę miała gości. Moich ukochanych. Szkoda, że musiałam ich przyjąć w tak skromnych apartamentach. Pachnące pyszne naleśniki, pyszna gorąca zupa ogórkowa niwelowały strach i ból. To nic. Najważniejsi byli oni. O niczym innym nie chciałam myśleć, niczego innego nie czuć, tylko ich ciepło.

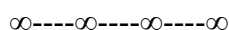
Jestem już sama. Dużo spaceruję POMIMO. Odwiedził mnie lekarz, który był przy moich poprzednich operacjach. Bardzo wydorósł, nabrał pewności siebie i chyba trochę obojętności. Spytałam go, co byłoby dla mnie lepsze, przerzut czy nowy rak płuc. Dziwne pytanie. Sama się nim zdziwiłam. Spojrzał na mnie. Znał przecież moją historię. Już trzeci raz grzebał w moim płucu.

- Dla pani, choć dziwne jest to pytanie, lepiej byłoby, aby to był rak płuca, nowy rak – powiedział.

- Czyli miałabym dwa? – spytałam.

- Tak, dla pani tak byłoby lepiej. Kolejny przerzut to złe rokowania.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Lepiej mieć dwa czy jednego raka? Co za paradoks.



Rany się goiły. Znałam już ten ból, więc nie był on dla mnie zaskoczeniem. Łatwo nie było, ale czego się nie robi dla swoich ukochanych. Dziwiłam się osobom, które cały czas kontrolowały swój organizm i każdy nowy ból powodował u nich ogromny strach. Po co to robiły, nie wiem. Przecież to nie ułatwiało im życia i w miarę normalnego funkcjonowania. To nie moja bajka. Ja żyję całą sobą każdego dnia. Ból i strach to tylko domieszka do dnia codziennego, do której już się przyzwyczałam. Czekałam na wyniki, ale już jakby bez strachu, ale i bez nadziei, że będą negatywne. Wiedziałam, że rak jest, więc po co się nastawiać i okłamywać? Zadawałam sobie tylko pytanie, czy to pierwotny czy wtórny? Czy mam jednego czy dwa skorupiaki? Śmieszne i dziwne dla zwykłego człowieka. Jednakże ktoś kiedyś powiedział, że jestem niezwykłą kobietą. Oczywiście znaczenie, sens były w innym kontekście, ale los potraktował to dosłownie. Trwam więc w tym i udowadniam sobie i innym, że jestem niezwykłą kobietą, która każdego dnia oswaja strach i stara się tego uczyć innych.

Jest wynik. Jechałam po niego swobodnie. Wiedziałam, że będzie to fajny dzień POMIMO. Dobra kawa, tradycyjna kanapka. Oczywiście zakupy u Minge. Może znowu uda mi się coś fajnego kupić?

Szłam po schodach powoli, jakbym chciała spowolnić czas, z pewnością tak, ale po co? Sama nie wiem. To było poza mną. Jakby szły obok siebie dwie osoby. Jedna spięta z głupią nadzieją, a druga spokojna, lekka, bez nerwów. Ja byłam tą drugą, ale pierwsza mnie prześladowała i mówiła:

- No i co, nie boisz się, przecież to twoje życie. Bój się, drzyj ze strachu i miej złudną nadzieję. Oplatała mnie swoimi myślami. Mój umysł nauczył się już zamykać drzwi przed takimi intruzami. Jakże doskonale znałam rozmieszczenie korytarzy i sal. Czułam ich znajomy zapach, którego już nigdy nie chcę doznawać i pamiętać. Znajome pielęgniarki i salowe mijały mnie na korytarzu. Ze zdziwieniem patrzyły na mnie myśląc - znowu pani u nas?

Weszłam do sekretariatu jak zwykle uśmiechnięta. Poprosiłam spokojnie o wynik. Panie spojrzwały po sobie. Znałam ten wzrok, który mówił:

- Nie jest dobrze, wynik jest zły, trzymaj się, dziewczyno.

Wzięłam kartkę papieru i ciepło uśmiechnęłam się do nich, jakbym chciała je uspokoić. Odpowiedziały przemiłym spojrzeniem.

- Proszę jeszcze pójść do pokoju... Tam odbierze pani decyzję konsylium.

- Dziękuję – odpowiedziałam, życząc paniom miłego dnia.

- Do widzenia, choć wolałabym powiedzieć „do niezobaczenia”, ale chyba nikt oprócz mnie tak nie mówi - zażartowałam.

Długo błądziłam po przepastnych i krętych korytarzach, szukając odpowiedniego numeru na drzwiach. Wreszcie jest, gdzieś w zakamarkach innych liczb umieszczonych na gęsto usianych drzwiach. Jak zwykle, ciepło przywitałam się z panią, objaśniając, po co przyszłam. Długo nie czekałam na wypełnione formularze. Schowałam do teczki obydwa dokumenty, nawet ich nie czytając, jakbym chciała zatrzymać czas, choć wiem, że to złudne oszukiwanie siebie. Wychodząc z budynku, mijałam pacjentów. Jedni obojętni, drudzy uśmiechem odpowiadali na mój uśmiech, a jeszcze inni wściekli, źli z beznadzieją na twarzy. Jakże dobrze ich wszystkich rozumiałam. Wszystkie stany przeszłam sama - zaparczenie, gniew, targowanie się, depresja, akceptacja... Co pewien czas zaczyna się kolejne kółko.

Wyszłam z budynku. Pachniało wiosną. Słychać było świergot ptaków, który słyszałam każdego dnia, będąc na oddziale. Codziennie podglądałam sroki, które wiły sobie gniazdo. Ciekawa jestem, co by powiedziały, gdyby wiedziały, że je podglądam. To dodawało mi sił i ułatwiało zapomnienie. Przygotowywały się przecież do nowego życia. Może dzisiaj to właśnie one cieszyły się słońcem i nadzieją dotyczącą swojego potomstwa. Zdawało mi się, że mówiły do mnie:

- Do niezobaczenia!

- Do niezobaczenia - odpowiadałam w myślach.

Wsiadając do auta, najpierw zobaczyłam spojrzenie z nadzieją utkwione we mnie. Potem usłyszałam:

- No i co?

Wiedziałam, co chciał usłyszeć.

- Wszystko jest ok – odpowiedziałam, udając, że pyta o moje samopoczucie.

Każdą sytuację próbowałam rozładować głupią odpowiedzią.

- No i co? - słyszałam uporczywe pytanie, a ja chciałam nie odpowiadać na nie jak najdłużej.

- Dlaczego nic nie mówisz, pokażesz mi wynik? – po raz kolejny usłyszałam pytanie, na które z pewnością nie chciał usłyszeć mojej odpowiedzi.

Podaliśmy teczkę, mówiąc:

- Sam zobacz, ja muszę jechać - odpowiedziałam pospiesznie.

Wiedziałam, że niewiele z tego zrozumie, a ja będę miała jeszcze trochę czasu.

- Patrz, ja muszę jechać – odparłam, nie patrząc na niego.

Jakby to miało znaczenie, czy wyjadę 5 czy 10 minut później. Nie chciałam patrzeć na jego wyraz twarzy. Znałam go doskonale.

- Co to jest, co to znaczy? - pytał takim tonem, jakby chciał usłyszeć, że czyta nie to, co chciałby.

Przystanęłam. Spojrzałam na jego oczy pełne łez, które ukrywał gdzieś pod powiekami. Spokojnym głosem powiedziałam:

- To kolejny przerzut z piersi – mówiłam, starając się czynić to jak najmniej boleśnie. Ale czy tak można? Nie wiem, chyba nie. Fakt jest faktem, jak można coś takiego ubarwiać?...

- No i co teraz? – spytał.

- No nic, będziemy dalej walczyć jak do tej pory. Będzie dobrze - starałam się rozładować napięcie, jakie gromadziło się w małej przestrzeni naszego auta.

- No to co? Kawusia, kanapeczka i rekonesans po sklepach? – powiedziałam, śmiejąc się. Tylko przytaknął. Wiedziałam, że nie może mówić. Dałam mu jak zwykle czas.

∞-----∞-----∞-----∞

Kolejny raz słyszę dzwonek telefonu. To córka. Wiem, że się bardzo denerwuje, ale co mam jej w tej chwili powiedzieć i to jeszcze przez telefon?...

- Mamuś, co jest? - znałam ten ton głosu.

- No, jeszcze czekamy, duża kolejka. Jak będę wiedziała, to zadzwonię - skłamałam bez zmrużenia oka.

Jak zwykle, kanapka nasza ulubiona, kawa i obojętne spojrzenia ludzi błądzących po galerii. Dlaczego wszyscy robią to w takim pośpiechu - myślałam. U nas czas leniwie mijał. Teraz ciuchy. Oczywiście, aby tradycji stało się zadość, kupiłam naprędce fajną bluzkę, oczywiście u Minge. Wiedziałam, że już muszę wyjąć telefon i zadzwonić do dzieci. Siedzą jak na szpilkach i czekają.

- To przerzut, będziemy dalej walczyć do skutku. Wszystko będzie dobrze, damy radę - mówiłam do słuchawki.

Widziałam oczami swojej wyobraźni i po wielu doświadczeniach, jak wyglądają ich twarze i oczy. W telefonie chwila ciszy, długa chwila. Wiedziałam, co to znaczy. Muszą mieć czas. Dałam im go, milcząc również. Po chwili cichy głos po drugiej stronie mówił, że będzie dobrze, będzie dobrze, damy wszyscy radę.

- Oczywiście, że damy - odpowiadałam.

Rozmowa była krótka, bo i o czym dyskutować. Z faktami? Nie mogę się pogodzić z tym, co robię swojej rodzinie, chociaż to przecież nie moja wina. Jestem wściekła - nawet nie wiem, na co czy na kogo. To okropnie boli. To ja powinnam ich chronić, wspierać, usuwać przeszkody przed nimi. A właśnie ja ciągle rzucam im kłody, których nie możemy się pozbyć. Za każdym razem, kiedy ogromny konar zdejmiemy z drogi, właśnie pojawia się następny. Drugi, trzeci, czwarty... Za każdym razem cięższy. To bardzo boli.

&&&&&&

Wpis Elizki X 2022 roku

Różowy październik. Miesiąc świadomości o raku piersi. Czyli co "dał" rak. 2018 rok i diagnoza. Typ najgorszy z najgorszych (TNBC) pod względem leczenia. Słowa lekarza "mogę tylko pomóc godnie odejść". Nie dawał szansy na rok życia, zabrał nadzieję. Te słowa mną wstrząsnęły. Jak to możliwe. Dlaczego? Co teraz? Dlaczego nagle Jej życie ma się skończyć? Jest jeszcze tyle do zrobienia.

Jest mi potrzebna!

Walka.

Pomimo diagnozy i wielu trudności odkryta została Nowa Chęć życia. 9 operacji co pół roku, hektolitry chemii, radioterapia i wszystkie możliwe cuda. Ból fizyczny i psychiczny. Przebywanie wśród wszechobecnej śmierci. Ale. Ale dzięki temu odkryłam, że mam najlepszą przyjaciółkę pod słońcem - Mamę moją. Odkryłam magię picia wspólnej kawy. Magię rozmów o pierdołach. Chodzenia po łące i zbierania kwiatów. Wspólnym odpoczynku i nic nierobieniu. Magię łapania promyków słońca. Siłę rodziny. Odkryłam, że możemy dać innym chęć do walki, nadzieję i być, po prostu być. Być z nimi i dla nich. To najlepsze, co możemy zrobić. Chwile razem, uśmiechy, rozmowy, miłość i szczerłość. To, czego wielu brakuje w dzisiejszym świecie.

Pomimo, że po raz 10 usłyszałam "on znów się pojawił", nigdy nie traci uśmiechu.

Zawsze niesie pomoc. Docenia. Jest! Na pytanie, jak leci, zawsze odpowie - "dobrze". Inni stękają, narzekają, umartwiają się, są cierpiętnikami.

Ona - nigdy.

Optymistyczna, uśmiechnięta, drobna platynowa blondynka w różowym swetrze. Ona, moja największa przyjaciółka - moja mama.

Jedynie, co mogę Ci obiecać, to że zawsze będę i nigdy nie pozwolę się poddać.

Was i nas otacza ten sam, a jednak inny świat. Mój uśmiech oznacza kolejny dzień, gdzie jest Ona. Kolejny dzień zwycięstwa.

Doświadczenia nas kształtują jako człowieka. Dobrego lub złego. To nasze wybory. Kochajcie się i nigdy nie traćcie nadziei.

O Niej jeszcze kiedyś przeczytacie, bo pisze książkę. Książkę o życiu, walce, nadziei i czerpaniu z życia tego, co możemy. O małych przyjemnościach, które budują naszą rzeczywistość.

O sobie. Dla innych.

&&&&&&

Czterolistna koniczyna - na szczęście...

Family - to rodzina zawsze jest z Tobą.

Skrzydła - bo jesteś jak mój anioł, zawsze ze mną i żebyś Ty też zawsze była pod opieką aniołów.

Kocham Cię.

Bransoletkę z takimi symbolami dostałam od córki na Dzień Matki. To piękne symbole. Zawsze są ze mną i we mnie. Muszę i chcę w nie wierzyć ze wszystkich sił. Są piękne jako symbole i jako materialny wytwór. Noszę ją. Symbole przenikają do mojego krwiobiegu, a on zasila moje serce i duszę. Kocham Cię. Kocham Was ponad własne siły, ponad własne życie.

To nie była jedyna niespodzianka.

- Mamuś, chodź przejedziemy się. Muszę zrobić zakupy.

- Dobrze, pojedę z tobą.

Wielokrotnie tak robiłyśmy. Droga jednak nie prowadziła do sklepów. Wyjechałyśmy z miasta.

- Elizko, gdzie chcesz robić te zakupy, co chcesz kupić - pytałam zdziwiona.

- Oj mamuś zobaczysz.

Jechałyśmy krętymi, wąskimi drogami. Wiedziałam już, gdzie.

Dzień Matki na samym szczycie Góry Szybowcowej. Pogoda była przepiękna, choć było trochę chłodno. Otuliła mnie kolorowym swetrem, który zabrała ze sobą. Tym, który tak bardzo mi się podobał. Usiadłyśmy na ławeczce. Nie było nikogo, tylko my skulone drobne postacie. Przed nami rozpościerała się wspaniała panorama miasta, a na horyzoncie majaczyły góry. Wyglądało to, jakby one tworzyły zamknięty krąg. Nasz krąg. Siedziałyśmy długo przytulone do siebie. Nie mówiłyśmy nic. W milczeniu, z dala od wszystkiego, na szczycie góry podziwialiśmy widoki, które wyglądały jak z nierealnej pocztówki. To był piękny dzień. POMIMO.





&&&&&&

Wpis Elizki

Miłość, bezpieczeństwo, rodzina, chwila. Miłość bez względu na wszystko, bezwarunkowa. Chęć dania poczucia bezpieczeństwa w każdej sytuacji.

Właśnie dla rodziny, dla moich bliskich, dla moich dzieci.

Co dzień ze wszystkich sił staram się być dla nich, być z nimi. Oni są całym moim światem.

większość z was nie zwraca na to uwagi. Dla mnie jest tu i teraz. To teraz mówię synowi, że go kocham. To teraz całuję córkę na dobranoc. To teraz mówię mężowi, że go potrzebuję. To teraz przygotowuję obiad dla rodziców. Mówię bratu, że zawsze jestem z nim i zawsze może na mnie liczyć. To dziś mówię Michałowi (Misiek, dop. autora), że walczę tak jak potrafię, że kocham, że tęsknię, że tęsknimy wszyscy, cała rodzina. Doceniajcie chwile. Zatrzymajcie się, przytulcie, pocałujcie, powiedzcie - kocham.

Kiedy ktoś jest poważnie chory, a ma taką wspaniałą rodzinę jak ja, która trzyma się razem, to cierpią wszyscy. Wszystkim jest trudno. Wszyscy walczymy z bezsilnością, która jest najgorszym uczuciem, jakie poznaliśmy. Każdy stara się funkcjonować jakoś w zaistniałej rzeczywistości.

Ilona (mama Miśka, dop. autora), ją już poznaliście, jest dzielna, jest w szpitalu, dba o Michała, jest z nim. Krzysiek, tata, który dzielnie walczy z życiem codziennym, kiedy oni są daleko, a w domu zostały córki. Każde osobno, a jednak razem. Każde z nich stara się poradzić sobie każdego dnia, a przy tym dawać poczucie bezpieczeństwa swoim dzieciom.

Dziadkowie, dla których choroba wnuka jest niezrozumiała i boli. Co powiedzieć, kiedy dzieciaki ze łzami w oczach mówią, że to niesprawiedliwe, że ktoś już tyle czasu jest w szpitalu. Przecież powinien być tu z nami na Wigilię, a nie ma go. Dla każdego z nas to trudne. Czasami sami nie wiemy, co sobie powiedzieć. Jak rozmawiać z bratem, hmm. Jak pomóc Michałowi, jak rozmawiać z nim (Miśkiem). Jak rozmawiać z własnymi dziećmi.

Powiedzenie - Będzie dobrze – jest tak banalne i piękne zarazem, że aż chce się w nie wierzyć. Kiedy pada deszcz, a ludzie są uśmiechnięci, uwierzcie, że trudno jest funkcjonować. Dlatego trzeba być przy kimś, a nie obok. To dodaje otuchy, chęci do walki. Wszystko, czego nie rozumie się w "normalnym" życiu, to błahе problemy, które ludzie sami sobie tworzą.

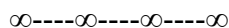
Doświadczenia sprawiają, że widzę/widzimy świat inaczej niż ty, niż wy. Inne rzeczy mają dla mnie/nas wartość. Inaczej funkcjonujemy każdego dnia. Tu nie ma RESETU, czy odpoczynku od poczucia bezsilności, niesprawiedliwości. Ono jest zawsze od rana do nocy. Rodzina, z której jestem dumna i cieszę się, że właśnie taką mam.

Ciesz się każdą chwilą. Przytulaj, doceniaj. Kochaj swoje dzieci, wybranka serca, rodziców, rodzeństwo i całą rodzinę, bo ona jest tak ważna w chwili, której nikt nie chciałby się znaleźć. Doceniajmy czas. Czas, który masz. Doceniaj ludzi, którzy są obok ciebie. Bądź wdzięczny za to, co dostajesz.

Ja jestem wdzięczna za rodzinę i za was tu obecnych. Każdy z was ma tu swój wkład i nigdy o tym nie zapomnimy.

27.01.2022 rok

(dop.autora:wpis w trakcie zrzutki na Miśka)



Już wiem, jak oswajać ból i strach. Stale się tego uczę. Staram się też uczyć tego swoich bliskich. Nie jest to łatwe. Rozmowa o NIM zawsze powoduje mimowolny skurcz mięśni. U mnie coraz łagodniejszy. U nich, niestety, coraz większy. Muszę ich uczyć, by potrafili rozmawiać swobodnie. Nauczyła mnie tego moja mama. Pamiętam pierwsze słowa, zdania, które wypowiadała. Powodowały u mnie natychmiastowe wycofywanie się. Gwałtowne i stanowcze:

- Mamuś, będzie dobrze. Nie ma o czym rozmawiać - mówiłam z drżeniem w głosie.

Okropnie się bałam takich rozmów. Mama była jednak wytrwała i cierpliwa. Co jakiś czas, kiedy nadarzył się odpowiedni "dobry" moment, powracała do rozmowy. Rozmiekczała mnie, przyzwyczajala. Za każdym razem mogliśmy rozmawiać coraz dłużej. Oswajałam się, a właściwie to ona oswajała we mnie strach mówienia o odejściu. Była bardzo chora. Ja nie chciałam tego do siebie dopuścić. Nastął moment, kiedy rozmawialiśmy swobodnie, choć długo do tego dochodziło.

Słuchałam, jak mówiła, że jest coraz słabsza, że zbliża się jej czas. Rozmawialiśmy o ubraniu, o tym, że będzie leżała razem ze swoim mężem. Moim tatą, który odszedł trzy lata wcześniej. Do końca była kobietą aktywną. Zawsze uśmiechniętą, pogodzoną z losem. Wiedziała, że nie jest sama, a wśród kochających i będących z nią osób. Mimo że bardzo cierpiała, choć starała się jak najbardziej to ukrywać, żartowała i śmiała się radośnie. Wiem, że robiła to dla nas. Każdy dzień, każda chwila były dla nas czymś wyjątkowym. W promieniach jesiennego słońca leniwie wystawialiśmy twarze ku niemu. Milczenie nie było dla nas czymś strasznym. Nie szukałyśmy na siłę tematów do rozmów. Obie siedziałyśmy szczęśliwe, nie obok siebie, ale razem ze sobą. Nauczyłyśmy też tego naszych najbliższych.

Tych radosnych promyków słońca tkwiących w niej.

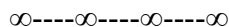
Jak odeszła?

W międzyczasie. Siedziałyśmy w trójkę wygodnie na kanapie. Moja córka, jej wnuczka, mama w środku i ja. Wtulone w siebie, spokojne i szczęśliwe, że jesteśmy. Nasze ciepło przenikało przez nas. Czuliśmy je prawie namacalnie. Rozmawialiśmy. Opowiadałyśmy, jak minął nam dzień, co planujemy na jutro i jak bardzo jesteśmy szczęśliwe, że możemy być razem. Tu i teraz. Nic więcej się nie liczyło. To był nasz mały, w tym momencie szczęśliwy świat. Każda z nas miała coś do powiedzenia. Żartowałyśmy i śmiałyśmy się wspólnie. Słowa mamy stawały się coraz rzadsze, a śmiech coraz cichszy. Wiedziałam, że jest zmęczona i musi odpocząć. Dałyśmy jej czas. Teraz my opowiadałyśmy jej o swoich sprawach, ale tych miłych, delikatnych, lekkich. Mama milczała.

- Chyba zasnęła na chwilę – pomyślałam.

W trakcie rozmowy, w pół słowa, odeszła na zawsze. Jak zwykle spokojna i uśmiechnięta, wśród nas, obok nas, razem z nami. Cicho i spokojnie. Taki był też ten nasz wieczór. Cichy i spokojny, by jej nie obudzić.

Tego samego chcę nauczyć i uczyć swoich najbliższych. Spokoju, błysku w oczach każdego dnia i radości z każdej chwili, bo one tak szybko uciekają. Powoli mi się to udaje. Dziękuję za to mojej mamie. To ona mnie tego nauczyła, a ja uczyć tego swoich najbliższych.



Kiedy idę po kolejny wynik, kiedy słyszę kolejną diagnozę, kiedy z bólu nie mogę normalnie funkcjonować, staram się z całych sił, POMIMO, ukryć i okłamać swoich. Okłamać ich, aby ich chronić.

Tak samo robiła moja mama. Skrętnie ukrywała, co się z nią dzieje. Nie umiałam jej "czytać", choć znałam doskonale cały alfabet. Była świetną aktorką. Chroniła mnie. Kiedy po pewnym czasie, czasem przypadkiem, czasem przez jej nieuwagę poznawałam prawdę, pytałam:

- Dlaczego, dlaczego mi nie mówiłaś?

Miałam do niej żal. Prosiłam:

- Mów mi, ja nie zawsze poznam po tobie, co się dzieje. Będę wtedy z tobą szczególnie.

Pomogę, wyręcę i na swój możliwy sposób ulżę.

- Dobrze – odpowiadała, patrząc prosto w moje oczy. Wierzyłam, a może chciałam wierzyć.

Teraz wiem, że robiła to dla mnie, dla nas. Kiedy po raz kolejny sytuacja się powtarzała, a ja kolejny raz pytałam:

- Dlaczego?

Ona brała mnie za rękę, patrzyła prosto w oczy. Potem przytuliła i mówiła:

- Córeczko, cieszymy się chwilą, chwilą piękną i szczęśliwą. Tylko takie zapamiętajmy.

Łzy zawsze ocierałyśmy ukradkiem. Wiedziałam, że kolejny i kolejny raz będzie grała pogodną postać i ukryje swoje cierpienie.

Jakże znakomicie ją dzisiaj rozumiem, przecież robię to samo. Już parę razy obiecałam najbliższemu, że o wszystkim będę mówiła, także o chorobie, ale po co. Po co dodawać im strachu i bólu. Wystarczy, że sama cierpię z bezsilności. To okropnie trudne powiedzieć:

- Znowu jest, kolejna terapia nie działa.

Przyrzekam kolejny raz i kolejny. Staram się dotrzymywać słowa, ale odwlekać jak najdłużej, godzinę, dwie... odpowiedź:

- Znowu jest.

Jestem taka sama jak moja mama i robię to samo, co mnie w niej irytowało - odwlekam. Tulę się do Niej, czując ich ciepło, pulsującą krew, głośno bijące serca i wstrzymywane oddechy.

Szeptę im do ucha:

- Pamiętajcie, nigdy się nie poddam, nigdy - POMIMO.

W tym jestem prawdomówna. Nigdy się nie poddam. Słowa dotrzymuję i dotrzymam. Przecież tyle pięknych chwil przed nami. Nie mogę żadnej przegapić. Nie wiem, co przyniesie jutro, więc muszę tego doczekać, aby sprawdzić i żyć, żyć, żyć - POMIMO.

∞-----∞-----∞-----∞

Maj 2022r

Szwy drenu w płucu zostały zdjęte. Co za ulga. Bardzo fachowo i delikatnie zrobiła to pielęgniarka. Śmiałam się, że doktor zacerował mnie granatową grubą nitką. Chyba pod kolor operacyjnego uniformu. Pielęgniarka trochę jeszcze pogrzebała w ranie, aby nie zostawić ani skrawka nici. Nie było tak źle. Rozmowa, wspólne żarty oraz śmiech spowodowały, że nawet się nie obejrzałam, jak skończyła. Ogromna ulga. Skóra już nie ciągnęła, a twarde i sterczące na baczność nici nie czepiały się ubrania. Czulałam się swobodna i jakaś lżejsza - POMIMO.

Dni w domu upływały szybko. Przepiękna pogoda, radosne spotkania i rozmowy o dniu dzisiejszym sprawiały, że każdy z nas żył tu i teraz. Jednak dobrze wiedziałam, że każdy z bliskich poszukiwał dalszego planu, drogi postępowania, jakiegoś dobrego rozwiązania. Ja też myślałam, co

dalej, co robić, którądy iść? Wielokrotnie próbowałam zarejestrować się do chemioterapeutki, znakomitej specjalistki prowadzącej badania kliniczne. Wymyśliłam sobie, że w niej pokładam nadzieję. Ona da mi tę nadzieję. Nie było to proste, kiedy za każdym razem słyszałam w telefonie:

- Niestety, pani nie możemy przyjąć, nie jest pani naszą stałą pacjentką.

Przecież wcześniej u niej byłam. Dlaczego teraz, kiedy jej tak bardzo potrzebuję, jest to niemożliwe? Nie dawałam za wygraną. Dzwoniłam, dzwoniłam i pytałam. Wreszcie, chyba dla świętego spokoju, wyznaczono mi termin wizyty. Jechałam – pędziłam jak na skrzydłach na wyznaczoną godzinę. Byłam dużo wcześniej, aby ani minuty się nie spóźnić. W poczekalni ogromna kolejka. Wyczerpane twarze kobiet wyczekiwały na wezwanie:

- Teraz panią proszę...

Podrywały się szybko, aby ich nikt nie uprzedził, choć to był ich czas, ich wejście. Po wejściu spytałam:

- Kto jest ostatni w kolejce?

Usłyszałam, że tacy jak ja, czyli czekający na wizytę w poradni, są dopiero po wszystkich tych, którzy czekają na chemię. Rozumiem to. Sama przecież byłam w takich sytuacjach, tylko dlaczego wyznaczono mi konkretną godzinę. Przecież mogłam przyjechać później. No cóż. Byłam przyzwyczajona do czekania. Cierpliwie siedziałam, jak zwykle obserwując ludzi. W poczekalni potworzyły się grupki osób. Opowiadały one o swojej chorobie, o swoich przejściach. Radziły sobie wzajemnie. Każda z nich uważała się za specjalistkę od raka. Dawały rady, żaliły się na swój los. Nikt z nich nie przeszedł tyle co ja. Sama się dziwiłam, że znalazłam się w tym gronie. Mój krąg był zupełnie inny, a właściwie wiele kręgów. Czekałam. Co jakiś czas kolejna pacjentka podrywała się z krzesła i z nadzieją w oczach szła pospiesznie do gabinetu. Następnie „uwiązana”, z leniwie sączącą się chemią, przemykała korytarzem, ciągnąc przed sobą metalowy stojak z wiszącymi woreczkami, które dawały nadzieję i ból. Znałam to doskonale. Rząd stojaków jak stojących na baczność żołnierzy na jednej nodze, podpierających ściany. To oczekiwanie wszystkich - kiedy podjedzie do mnie i uwiąże długą linką? Jakże doskonale rozumiałam te kobiety.

Gwar rozmów i poszczególnych słów dochodził do mnie jakby z oddali. Nie próbowałam zrozumieć ich znaczenia. Wszystko to znałam i pamiętałam, siedziałam przecież wielokrotnie godzinami w takich kolejkach. Kobiet było coraz mniej. Mijały kolejne godziny. Nie denerwowałam się, że to tak długo trwa, bo i po co? Wreszcie moja kolej. Poderwałam się jak i one. Z nadzieją w oczach spoglądałam na lekarkę. Widziałam, że jest już bardzo zmęczona. No, ale cóż, przecież to jej praca. Podałam jej wynik histopatu i ostatni wypis ze szpitala. Wyszukała w komputerze moje nazwisko:

- Pani już u mnie była – stwierdziła.

- Tak i stosowałam terapię, którą mi pani zleciła tylko u siebie – odpowiedziałam.

- No, dobrze – stwierdziła, nie patrząc na mnie.

Wpisała w komputerze moje kolejne drogi leczenia. Spojrzała jeszcze raz na wynik i powiedziała:

- Mam dla pani lek na pani nowotwór. Potrzebny jest tylko aktualny wynik tomografu - powiedziała spokojnie.

Uniosłam się na krzesło. Poczułam, że teraz już będzie z górki. Jest lek na mojego konkretnego raka z imienia i nazwiska, lek dla Boguśki ...

- Pani doktor, czekam właśnie na wynik badania - powiedziałam z nadzieją w głosie.

- Jak będzie, proszę zadzwonić i się umówimy – odpowiedziała.

Nie pytałam o nic więcej, choć wcześniej zapisałam wiele pytań. One były już nieważne. Jest lek, mój lek. Kawa, kanapki i zakupy - wszystko w szybkim tempie! Pędziłam do domu jak na skrzydłach. Wszyscy się cieszyli. Wynik TK był szybko. W płucach nie było zmian. Piersi nie było widać w obrazie, więc nie było opisu. Zaraz zadzwoniłam, z radością informując, że nie mam guzów w płucach.

- To chyba dobrze – pomyślałam.

Uprzejma pani pielęgniarka przyjęła to do wiadomości. Powiedziała, że przekaże pani doktor i dadzą mi odpowiedź. Z niecierpliwością czekałam na dźwięk telefonu. Wreszcie jest. Wyznaczona wizyta. Wreszcie zasiądę w fotelu i leniwie będę liczyła moje ukochane, wolno spadające krople chemii. Wiedziałam, co mnie będzie czekało, jakie będą skutki uboczne, ale co tam. Zabije to przecież mojego raka. Wreszcie.

W poczekalni jak zwykle tłok. Podałam wynik TK i czekałam. Długo czekałam, ale czas się dla mnie już nie liczył. Weszłam do gabinetu z młodą dziewczyną. Miałyśmy dostać taką samą chemię, więc wspólnie wysłuchałyśmy, co dostaniemy, co nas może czekać. No dobrze, wszystko wiem. Radość rozpieła mnie. Czułam coraz większy błysk w swoich oczach. Młoda kobieta została, bo trzeba było podać jeszcze jakieś dane - RODO, więc musiała zostać sama.

- Potem poproszę panią - zwróciła się do mnie lekarka.

Podano mi dokumenty, zgody do podpisania. Zrobiłam to bardzo szybko. Całe szczęście, że mam port, bo pielęgniarka postara się, aby przez niego od razu pobrać krew na wyniki. Już czułam zimne krople w krwiobiegu.

- Teraz panią poproszę.

Wstałam posłusznie i jak pensjonarka usiadłam na krześle. Oddałam wypełnione kwestionariusze. Czekałam wyprostowana i pewna siebie. Dostałam tabletki, które pozwolą przetrwać ten pierwszy wlew. Lekarka liczyła dawkę dla mnie. Wiedziałam, że jest to lek, którego nie można dostać. Jest on z listy refundowanej terapii. Kurczowo trzymałam w dłoniach tabletki, które zaraz będą zażywać.

- Proszę jeszcze raz o wynik badania TK – powiedziała lekarka, nie patrząc na mnie.

Spojrzała chłodnym wzrokiem na kartkę papieru i na mnie.

- Nie mogę podać pani tego leku – powiedziała.

Byłam pewna, że to nie do mnie, choć w gabinecie nie było nikogo więcej. Z trudem dotarły do mnie jej słowa.

- Jak to, dlaczego, przecież było już wszystko ustalone - mówiłam cicho.

- Nie ma pani guza w płucach, więc nie mogę podać.

- To lepiej go mieć? – spytałam.

- Przecież komórki rakowe krążą w moim organizmie, a chemie nie działają - mówiłam drżącym głosem.

- Po co pani go wycinała, po co pani robiła tyle operacji – mówiła.

Nie bardzo rozumiałam jej słowa. Czy miałam czekać, dać rakowi rosnąć i się rozprzestrzeniać? Dla mnie było to niezrozumiałe. Siedziałam jak nieobecna, ściskając tabletki w dłoniach, jakbym chciała sprawić, że zaraz je wezmę i będzie jak wcześniej, dostanę lek.

- To co teraz, pani doktor? - zapytałam smutnym głosem.

- Zrobimy PET i zobaczymy, co jest, jakie będą zmiany...

Nie czekałam na dokończenie jej zdania:

- To wtedy dostanę lek?
- Tak, jeśli jeszcze będzie - usłyszałam odpowiedź.

Odłożyłam tabletki na stół i wyszłam ze łzami w oczach.

Ludzie modlą się, aby zmian nie było, a ja chciałam, aby w pecie świeciły. Pewnie ktoś, a może wszyscy powiedzieliby, że jestem głupia, ale to była moja szansa na życie. Przecież rak był, tylko się dobrze ukrył. Taka ironia losu. Dalej bawił się ze mną i drwił ze mnie:

- No i co mi zrobisz? Znajdź mnie. To jak zabawa w chowanego - mówił do mnie.

Swoim czarem i osobowością szybko załatwiłam termin badania. W międzyczasie miałam zrobione USG piersi. Wyniki były prawie równocześnie. Cztery zmiany meta w USG. Tyle samo mocno świeciło w pecie. Zadzwoiłam do mojego onkologa chirurga, notabene świetnego specjalisty oraz człowieka, i umówiłam wizytę. Przy okazji pójde do lekarki chemioterapii. Przecież musi mnie przyjąć, są guzy i to nie jeden, przecież mi obiecała. Przyjęła mnie. Pokazałam wyniki badań i z niecierpliwością czekałam, bacznie obserwując zachowanie lekarki. Coś tam jeszcze pisała w komputerze o poprzedniej pacjentce. Spojrzała na wyniki i na mnie. Szybko powiedziałam, wyprzedzając jej słowa:

- Są zmiany, możemy się leczyć
- Niestety, nie mamy już tego leku - odpowiedziała obojętnie.
- No to jak, przecież można go zamówić - mówiłam szybko.
- Niestety nie, to była dawka limitowana dla określonej liczby osób – odrzekła.

Nasuwało mi się mnóstwo pytań, ale tylko niektóre mogłam zadać. Oczy były zaszkłone, a gardło ściśnięte. Z trudem mogłam rozmawiać, aby nie wybuchnąć płaczem z bezsilności.

- Pytaj! -słyszałam gdzieś z głębi mojego organizmu.
- Pytaj!

Każde następne pytanie dawało niemiłą, beznadziejną dla mnie odpowiedź. Widziałam, że była już zniecierpliwiona moimi pytaniami, dlatego też, aby zakończyć spotkanie, powiedziała:

- Jak dostaniemy lek, to do pani zadzwonimy.

Wiedziałam, że to nieprawda. Spytałam jeszcze o badania kliniczne. Okazało się, że nie kwalifikuję się do żadnych. Zbyt dużo chemii i zabiegów. Na koniec usłyszałam:

- Jest pani rozsziana...

Przecież wiem, ale chyba to nie oznacza, że nie ma dla mnie nadziei? a może tak było?...

To był mój drugi wyrok.

Z badaniami poszłam do poradni onkologicznej w tym samym miejscu, tylko w innym budynku. Szłam bardzo wolno, by opanować napływające kaskadą łzy. Z rozpaczą weszłam do gabinetu. Kolejny raz podawałam dzisiaj wyniki. Lekarz spojrzał na wyniki i na mnie. Miękkim i przyjaznym jak zawsze głosem powiedział:

- No dobrze, trzeba zrobić biopsję.

Jego łagodny i ciepły głos uspokajał mnie. Mogłam pytać i pytałam. Zawsze wyczerpująco, bez pośpiechu i zdenerwowania odpowiadał na moje wątpliwości. Widziałam, że jest zatroskany.

- To, kiedy ta biopsja grubo igłowa? – zapytałam.
- No, na nią to trzeba długo czekać, ja ją zrobię chirurgicznie – odparł.

Wyzaczył bardzo szybki termin. Poczułam się znowu bezpieczna i ważna dla lekarza.

Dni szybko minęły. Czekam w poczekalni na swoją kolej. Trochę się boję. Spoglądałam co chwilę na swojego syna. Siedział spokojnie, dodawał mi swoim milczeniem otuchy. Już się nie bałam. Weszłam do gabinetu. Jak zwykle, przemiłe i uśmiechnięte panie pomogły mi się przygotować. Czapeczka na głowę, ochronne buciki i kubraczek. Pomogły położyć się na stole. Najbardziej bałam się znieczulenia, bo w zasadzie nie było, gdzie wbijać igły. Przyszedł mój lekarz. Panie powiedziały, że jestem gotowa.

- A pani? – zapytał.

- Ja też – odpowiedziałam.

Mówił do mnie spokojnie i ciepło. Byłam już zupełnie spokojna. Wiedziałam, że jestem w dobrych rękach. Lęk pozostał za drzwiami. Znieczulenie działało. Nie czułam rozcinania skóry i dłubania w środku.

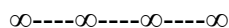
- Więcej nie mogę wyciąć, bo już widać płuca.

Nie wiem, żartował czy mówił prawdę. Nie wywarło to na mnie wrażenia. Wiedziałam, co mam pod skórą. Trochę krwawiłam i trzeba było przypalić tkanki. Przez maskę poczułam swąd spalenizny. No, wreszcie koniec. Założono szwy, niestety nie te rozpuszczalne. Założono opatrunek uciskowy.

- Koniec. Proszę się nie denerwować, to brodawczak, taka sama struktura jak wcześniej. Czekamy na wynik histopatu.

- Świetnie - odpowiedziałam.

Czułam się lekka. To tylko brodawczak, więc wszystko będzie dobrze. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę w poczekalni. Syn delikatnie wziął mnie pod rękę. Trochę kręciło mi się w głowie i byłam oszołomiona. Czułam się przy nim bezpieczna. Odetchnęliśmy świeżym powietrzem. Cieszyliśmy się, że już po wszystkim. Wracaliśmy do domu spokojni, z nadzieją, że to koniec problemów. Przecież to tylko brodawczak, a jego już dobrze znam.



Ostatni wynik z płuc wskazywał, że mój, jak to dziwnie brzmi, rak, się trochę zmienił. Miałam 20% ER + czyli w dwudziestu procentach jest hormonozależny. Jest to niewiele, jak mówią lekarze, ale dla mnie to ogrom. To lepsze niż ER -, zerowy. 20 % szansy na leczenie. Zdziwiło mnie, że może się trochę zmienić, ale jak się okazało, z medycznego punktu widzenia jest to możliwe. Pomyślałam, że skorupiakowi dziękuję. Może już znudziła się mu zabawa ze mną. Dawał mi jakąś nadzieję. Minimalną, ale zawsze to coś. Dostałam lek do codziennego zażywania rano. Jedna maleńka różowa tabletką. Z namaszczeniem ją popijałam małymi łykami wody, której nie cierpię. Znałam skutki uboczne Etruzilu, ale co to dla mnie. Ta odrobina różu to kolejny dzień życia, myślałam.

Każdy dzień był dla mnie wyzwaniem, bo trochę lek zaczynał mną poniewierać. Jak co dzień poranna kawa, planowanie dnia, przygotowywanie wnuczkom śniadania. Uwielbiam patrzeć, jak ze smakiem jedzą. Ubieram się, rozczesuję skołtunione włosy, spoglądałam w lustro. Jest dobrze. Mogę iść do ludzi i patrzeć swobodnie na bliskich. Poranne „pa!” przed wyjściem i życzenie wszystkim miłego dnia. W odpowiedzi słyszę to samo od ośmioletniej Julki, trzynastoletniego Wiktora i męża. To był, to jest nasz poranny rytuał. Wsiadam do auta, odwożę Julię do szkoły. Czasami, a właściwie zawsze, czekamy, aż ktoś nas wpuści do kolejki samochodów. Nie jest to wcale denerwujące. Zgadujemy, który kierowca to robi. Jest zabawnie. To taka nasza loteryjka. Julia wysiada, zabiera plecak i idzie do szkoły. Ja biorę głęboki oddech i ruszam do pracy, do ludzi, którzy nie wiedzą, co przeżywam każdego dnia,

jakie uczucia mną targają. Witam ich uśmiechem, życząc miłego dnia. Odpowiadają tym samym, choć czasami brakuje im uśmiechu. Niejednokrotnie słyszę słowa, jak świetnie wyglądam, przypuszczenia, że nie mam żadnych trosk i zmartwień, że jestem zdrowa i zawsze uśmiechnięta.

Odpowiadam, że właściwie tak jest, bo to mój kolejny dzień, który może sprawić miłą niespodziankę. Zdarza się, że sama ją sobie określam. To świetna herbata, to złote liście spadające z drzew za oknem, to współlistnienie z ludźmi bez względu na to, jacy są. Wszystko to dodaje mi sił. Czy w pracy znają prawdę? Oczywiście, że nie. To moja skrzętnie skrywana przed nimi tajemnica. Przez cały czas pracowałam i pracuję, teraz na 1/2 etatu. Moja koleżanka mówi, że jestem głupia, że nie siedzę na L-4. Może i tak, ale ja nie wyobrażam sobie innego życia.

Kolejne operacje to 28 dni zwolnienia i powrót do pracy. Tak przez kolejne lata. Biorąc chemię i poddając się codziennej radioterapii, przez cały czas pracuję, nie biorąc ani jednego dnia zwolnienia na ten cel. Dlaczego? To tak, jak bałam się głośno powiedzieć:

- Mam raka...

Tak i teraz, według mnie, ucieczka na L-4 to przyznanie się do tego, że się poddałam. Dopóki pracuję, działanie daje mi siłę do walki, jakby rak mnie latami nie trawił. Dawałam, daję i będę dawała radę. Jestem silna czy głupia? Nie wiem. Może jedno i drugie... Kiedy rozmawiam z kobietami, czekając w długich kolejkach, opowiadają, że jak tylko usłyszały diagnozę - rak - to natychmiast szły na długie zwolnienie lub urlopy zdrowotne. Przecież słyszę, że rak to nie wyrok, więc po co uciekać od codzienności, zatrząskiwac za sobą drzwi. Nie wiem, co w tym czasie robią, a może i wiem, bo mówią, że mają dużo czasu na rozmyślanie, obserwują swój organizm i z każdym nawet najmniejszym bólem, którego nie rozumieją, pędzą do lekarza. Ja ich nie oceniam, to ich wybór, ale nie moja droga.

Jak to jest, że o anginie, grypie i innych chorobach rozmawia się swobodnie, a o nowotworze - nie. Człowiek czuje się stygmatyzowany, a ja tego nie chcę. Przeżyłam to wcześniej. Teraz nie chcę stygmatyzacji o imieniu Boguśka. Żyję tak, jak chcę. Nikt nie patrzy na mnie nieobecny wzrokiem, nie ucieka od mojego uśmiechu. Nikt nie przerywa rozmowy, kiedy wchodzi. Jestem taka sama jak oni. No, może bardziej szczęśliwa, bo umiem znajdować szczęście każdego dnia w każdej chwili, nawet tej najgorszej. Wiem, że mam kochającą rodzinę, która mnie nigdy nie zawiodła, nie zawodzi i nie zawiedzie. Tego jestem pewna. To przy nich nauczyłam się być szczęśliwa POMIMO. To z nimi czuję się bezpieczna. Dziękuję im za to każdego dnia, w każdej chwili. Kocham ich. Kocham bezgranicznie i bezterminowo!!!

∞-----∞-----∞-----∞

Szkoda, że nie można żyć dla bliskich ponad życie. Dzisiaj dla mnie to określenie jest puste, bardzo bolesne i bez nadziei.

Nasz Michał (Misiak, Michaś, Panda - nasz wnuk) odszedł 25 marca 2022 roku, mając 18 lat.

Walczył ponad swoje siły, ale dawał radę POMIMO. Nawet sobie nie wyobrażam, jak cierpiał i jak cierpieli jego najbliżsi - mama i tata. Dla nas wszystkich to była jedna wielka huśtawka. Raz w górę, raz w dół. Każda godzina, każdy dzień przynosiły to nadzieję, to lęk i brak nadziei. Bliscy robili wszystko, zrobili wszystko, co mogli, ale wciąż się obwiniają, że może zbyt mało jeszcze. Niestety, nic więcej nie mogli. Dzisiaj wiem, że gdyby nie okrutne procedury i nasz system, to dzisiaj Michaś może

byłby z nami, jak zawsze radosny i uśmiechnięty. Niestety, tak się nie stało. Los zadrwił z niego, pisząc inny scenariusz. Przeszedł ogrom bólu, ale nigdy się nie skarżył. Na pytanie:

- Jak się czujesz?

Zawsze odpowiadał:

- Dobrze.

Obydwoje wiedzieliśmy, że to kłamstwo. Parł do przodu raz dużymi krokami, raz maleńkimi kroczkami. Był prawie dwa lata w szpitalu z ograniczonym jadłospisem, a przecież tak kochał smakować wszystkie potrawy. W trakcie bezwzględnej chemii zdał bardzo dobrze maturę. Dostał się na wymarzone studia na AGH w Krakowie. Od października 2021 roku był studentem. Studiował oczywiście zdalnie, podłączony do rurek. Dawał radę. Podziwiałam go i podziwiam. Kiedy trzeba było zrobić zbiórkę na leczenie zagraniczne, jedyną ostatnią nadzieję, potrafił zjednać całe nasze miasto – dotąd skłócone, nienawistne, zaborcze. W tym czasie wszyscy byli razem. Razem dla Miśka. Miał ogromną siłę, dar zjednywania wszystkich i - jak się okazało - w całym kraju. To było cudowne i niesamowite. Wszyscy razem POMIMO. Szybko została uzbierana cała kwota. Jechał z wiarą, że wróci. Niestety, sama wiara już nie wystarczyła. Litry właczanej przez miesiące chemii zniszczyły szpik i bardzo osłabiły organizm. Mimo że ziścił się plan leczenia i Michaś dostał wszystko, co było zaplanowane, jego organizm nie poradził sobie. Jemu samemu zabrakło paru dni. Wrócił. Jest z nami, ale jedynie w naszych krwawiących sercach i naszej pamięci. Nie mogę się z tym pogodzić.

Prosiłam:

- Ja jestem też chora na raka. Przeżyłam dużo. Zabierz mnie zamiast niego. Weź moje życie, a jemu daruj wyrok.

Byłam na to gotowa.

- Weź mnie. On ma całe życie przed sobą, piękne marzenia, które przyniosą radość innym i jemu samemu.

Moje prośby na nic się nie zdały. Nie można się zamienić. Każdy ma swój czas, swoją drogę i swój wyrok, którego nie można anulować i zamienić się z kimś innym. Niestety...

∞-----∞-----∞-----∞

Sierpień 2022 rok po biopsji

Oczekiwanie na wynik biopsji. Były wakacje, piękna pogoda i przeświadczenie, że to tylko brodawczak... wszystko to sprawiało, że nie czułam lęku. Dwa, trzy tygodnie, góra trzy i wszystko będzie na papierze. Minęły trzy tygodnie. Niestety, wyniku jeszcze nie było. No, może coś się przedłużyło, myślałam. Przecież był okres urlopowy. Mijały kolejne dni już z odrobiną strachu. Coś musi być chyba nie tak. Żartowałam, że lekarze tak długo muszą mnie oglądać:

- Taka jestem ciekawa? - pytałam ze śmiechem pielęgniarki.

Nie wiedziały, co odpowiadać. Kolejny 4 i 5 tydzień czekania. Po następnych telefonach z pytaniem:

- Czy już jest?

Słyszałam wciąż tę samą odpowiedź. No, chyba się zagalopowałam. W szóstym tygodniu usłyszałam:

- Proszę dostarczyć próbki z ostatnich badań histopatologicznych z płuc tego roku.

- W jakim celu? - spytałam.

- Dla porównania - odpowiedział głos w telefonie.

Zapytałam, czy sami nie mogą wypożyczyć próbek, przecież to parę przecznic dalej, a dla mnie kolejny cały dzień poza domem. Okazało się, niestety, że muszę zrobić to osobiście. Dziwne to dla mnie. Cóż, procedury, a z nimi, wiem, że się nie wygra, więc szkoda nerwów. Szybciutko wszystko załatwiłam i czekałam dalej. W siódmym tygodniu, ogromnie długo, mój wynik był gotowy do odebrania. Dosyć szybko zostałam zapisana do mojego lekarza w gabinecie onkologicznym. Jak zwykle ciepły i przyjazny.

- No, nie jest to dobry wynik. Skieruję panią na konsylium - powiedział spokojnie.

Właściwie spodziewałam się takiego wyniku, choć przez cały czas się okłamywałam i uspokajałam swoich najbliższych, że to wakacje, że to urlopy i inne (wymyślane przeze mnie) powody. Chyba mi nie wierzyli, choć mówili, że pewnie tak jest. Wiem, że mnie też uspokajali. Okłamywaliśmy się nawzajem. No cóż, świetnie nam to już wychodziło. Nauczylismy się tego znakomicie. Nadszedł czas konsylium. Miałam wyznaczoną godzinę, lecz, jak zwykle, czekałam długo na swoją kolej. Okazało się, że w moim przypadku to nie było konsylium, a tylko komisja. Cóż, niech będzie i komisja. Parę godzin na krzeselku, wśród tłumu kobiet i ich partnerów z papierami w rękach i nadzieją w oczach. Ich oczy widzę każdego dnia, gdy muszę czekać w poczekalni. Ich strach i drżące dłonie. Całe szczęście, że trzeba nosić maseczki, bo nie widać całej twarzy. Oczy jednak mówią wszystko. W końcu zostałyśmy tylko my, dwie pacjentki z nadzieją, cierpliwie czekające na spotkanie z gronem specjalistów. Żartowałyśmy, która z nas wejdzie pierwsza. Nawet chciałyśmy rzucać monetą. To długie oczekiwania powodują taką „głupawkę”. Trzeba w jakiś sposób rozładowywać napięcie... Kiedy czekałam na swoją kolej, intensywnie myślałam, że bardzo nie chciałabym spotkania ze swoim „ulubionym” chemioterapeutą, który cztery lata temu wydał na mnie wyrok. Podobno jest wspaniałym specjalistą. Ja tego nie kwestionuję. Może to taki nasz traf, taka rosyjska ruletka. Los jednak bywa przewrotny.

- Zapraszam panią – usłyszałam.

Wstałam powoli z krzesła i weszłam do gabinetu. Widziałam twarze znanych mi już osób, lekarza, pielęgniarki, no i tego mojego „ulubionego” na pierwszym planie.

- Myśmy się jeszcze nigdy jeszcze nie spotkali – stwierdził.

- Niestety, doktorze, to nasze kolejne spotkanie - odpowiedziałam łagodnym, choć stanowczym głosem.

- Ja pani nie pamiętam – odpowiedział, omiatając mnie wzrokiem.

- Ale ja doskonale pamiętam – odpowiedziałam, wymownie patrząc mu prosto w oczy.

Zakończyłam dyskusję, pytając o mój wynik. Przekazywane mi dane były dla mnie dziwne i niezrozumiałe. Pierwszy raz widziałam taki opis, a przecież to mój kolejny i kolejny. Rozmowa nie była miła. Lekarz podawał zdawkowe informacje. Tak właściwie to nie odpowiadał na moje pytania, mówił o przebytych operacjach, chemiach. To wszystko przecież wiedziałam. Powiedziałam, że cztery lata temu pewien lekarz nie dawał mi szans na życie. Tak właściwie powinnam nie żyć, a żyć POMIMO. Pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.

- To niemożliwe, naprawdę? – zapytał.

Pominęłam to milczeniem. Dalej dociekałam, chciałam uzyskać odpowiedzi na moje pytania, lecz bezskutecznie. Zapytałam również, jakiego mam raka na podstawie opisu. W odpowiedzi usłyszałam:

- Po co to pani wiedzieć? - odpowiedział ze zdenerwowaniem w głosie.

Nikt z komisji nie zabrał głosu. Każdy z nich milczał. Pewnie myśleli, że kłótniwa baba z pretensjami dyskutuje i domaga się czegoś. Z drugiej strony - co mieli mówić. Trochę ich rozumiałam. Mój „ulubiony” stracił już cierpliwość i pisząc coś na kartkach, powiedział:

- Widzę, że pani nie jest zadowolona z naszej rozmowy.

- No nie, bo przecież niczego ona nie przyniosła.

- To niech pani idzie do innego lekarza - powiedział ze zniecierpliwieniem, jakby odpędzał natrętną muchę.

- Oczywiście, że pójdę - odpowiedziałam stanowczo, dodając:

- Tym lekarzem, który mnie skazał cztery lata temu, to był właśnie pan!

Zobaczyłam oczy pozostałych członków komisji. Chyba byli zdziwieni lub zszokowani, albo mi się tylko tak zdawało. Może sama chciałam, aby tak było. Wysłam z gabinetu, nie czekając na reakcję „ulubionego”. Jak to jest, że wiele osób chwali go za profesjonalizm, za empatię, a ja musiałam trafić na jego zły dzień? A może to była kolejna próba mojej wytrzymałości? Z pewnością tak było. Niech dobrze prowadzi inne zdezorientowane pacjentki, niech nie ma już takich dni i chwil. Wysłam powoli z budynku. Chłodny wiatr studził moje emocje. Pożerałam każdy łyk powietrza, który docierał do wnętrza mojego organizmu, jakbym chciała, aby wyparł wszystko to, co we mnie tkwiło. Żal, bezsilność, brak nadziei. Po raz kolejny nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Trwało to tylko chwilę. Zamknęłam oczy, wzięłam kolejne głębokie oddechy. Jest już wszystko ok. Wracam do rzeczywistości. Lekki krok, uśmiech już wyćwiczony i spokojny głos.

- Idziemy na nasze ulubione śniadanko, robimy rundkę po sklepach, łyk pysznej kawy i wracamy do domu - mówiłam spokojnie.

- No, na komisji było normalnie, jak zawsze. Spotkałam „ulubionego”, mam brać lek wcześniej zapisany.

To wszystko, co chciałam powiedzieć. Nie chciałam wracać do tego, co było. Chciałam iść dalej do przodu, a nie cofać się w opisywaniu wszystkiego, czego doświadczyłam. Niech to będzie moja, tylko moja tajemnica.

Rundka sklepowa była dosyć kosztowna. Kupiłam parę ciuchów, nawet ich zbytnio nie mierząc. To było moje odreagowanie stresu. Żartuję, że dzięki niemu mam sporo fajnych ciuchów.



Powrót do domu jak zwykle był dla mnie trudny. Zawsze boję się pytać

- I co?

Powinnam się już do nich przyzwyczać, przecież miałam wyćwiczone warianty odpowiedzi. Dobrze jednak wiedzieliśmy wszyscy, że to tylko zasłona dymna. W końcu będę musiała stanąć twarzą w twarz z uporczywymi pytaniami. Musiałam, na szczęście było to dla mnie już mniej stresujące, opowiadać o szczegółach rozmów na komisji. Nie były one zrozumiałe dla moich bliskich. Ja też do końca wszystkiego nie rozumiałam. Cóż, czas dla lekarzy był cenny, a ja w końcu chciałam usłyszeć odpowiedzi na moje pytania. Niestety, ich nie uzyskałam, po co więc miałam marnować swój czas i swoje nerwy. Niczego bym już więcej nie osiągnęła. Opuściłabym już, nie miałam już sił na kolejne domaganie się odpowiedzi. Nie opuściła moja Elizka. Dla niej te wyniki były niejasne, choć w tym względzie miała sporą wiedzę. Chciała je zrozumieć. Długo poszukiwała odpowiedzi. Brakowało oznaczeń receptorów i pewnie innych danych, bardzo istotnych dla nowotworów. Dotarła do badań,

które okazały się niekompletne. Rozmawiała z lekarzami spokojnie i grzecznie z prośbą, aby uzupełnić badanie i wyjaśnić obecny wynik. Spotykała się z ogromnym murem. Nikt nie chciał zrozumieć, że to nie pretensje i oskarżenia, ale jedynie pragnienie rozwiania wątpliwości osób, walczących o moje życie. Swoim uporem i konsekwencją doprowadziła (do tej pory jestem pełna podziwu, jak się jej to udało!) do uzupełnienia badań. Oczywiście, nie stało się to szybko. Rozumiem, to procesy chemiczne. W tym czasie lekarz „ulubiony” rozmawiał z moim lekarzem prowadzącym, pewnie się trochę obawiał wyniku, a może nie. Może opowiadał o namolnej, kłótlivej babie. Przez cały czas brałam codziennie lek na raka hormonozależnego, czyli w skrócie mówiąc, dodatniego. Jest wynik. W poniedziałek jestem na wizycie u mojego chemioterapeuty. Lekarz uśmiechnął się ciepło:

- Mamy wynik, jest ujemny.

A więc Elizka miała rację. Walczyła i walkę wygrała.

- Proszę odstawić Etruzil, zaczynamy kolejną chemię - powiedział.

Ten Etruzil był chyba niepotrzebny, nie na mojego raka. Ponad dwa miesiące go brałam. Czy będzie jakiś skutek?

Nie wiem.

Nie roztrząsam tego, bo zwariuję.

Wynik mam odebrać osobiście w gabinecie we wtorek, czyli jutro. No dobrze, pojedę. Wzięłam wolne z pracy. Około godziny 14.00 dzwonek telefonu, znany mi dobrze numer. Pani miłym głosem poprosiła, abym jutro nie przyjeżdżała, bo wyniki poszły jeszcze do konsultacji. Czyli co, obawa przed przyznaniem się do błędu, a może udowodnienie, że są tacy dokładni. Teraz wiemy, że to był ich błąd, a może raczej niedopatrzenie czy efekt zwykłej rutyny. No cóż, kolejny tydzień czekania. Zgubiłam już rachubę, który. Wiem, jaki jest wynik. Zaczęłam przecież już leczenie. Kolejna chemia, chyba szósta czy siódma. To już nie ma znaczenia. W międzyczasie powstały 3 nowe zmiany w miejscu piersi. Oczywiście tej samej. Nie mam zielonego pojęcia, jak i gdzie znajdują kolejne miejsca. Wciskają się kolejno między żebra, jakby chciały uniknąć chemicznego gradobicia. Są chytne i przebiegłe. Nie będę ich już mogła usunąć, nie ma takiej możliwości. Jestem nieerekcyjna, jak określają lekarze. To one będą się panoszyć. To one wygrały walkę na poligonie, ale jeszcze nie wojnę. Będą następne starcia. Są, widzę je, czuję fizycznie i namacalnie. Psychikę wyłączyłam na dłuższy czas.

Tydzień szybko minął. W międzyczasie był wyjazd do Warszawy, ale o nim napiszę oddzielnie. W poniedziałek kolejna chemia. W tym tygodniu zniosłam ją dobrze. Tak będzie dalej!!! Kiedy czekałam na swoją kolej, mój lekarz prowadzący z radością obwieścił, że jest program lekowy na mojego raka.

- Biorę - bez zastanowienia odpowiedziałam.

- To nie takie proste, ale będziemy robili wszystko, aby się udało - odpowiedział z uśmiechem.

Do tej pory widzę jego błysk w oczach. No, wreszcie będę miała mój, na mojego raka lek. Przetrwam tę chemię, aby tylko ją dostać, aby zakwalifikować się do programu. Byłam rozpromieniona. Znowu moja huśtawka była w górze. Nie wiedziałam tylko, że tak szybko opadnie. Nadszedł czas odbioru wyniku. Jedziemy. Tym razem nie odbiorę go sama, choć bardzo chciałam. Była ze mną ONA. Nie czekałyśmy długo, bo po odbiór wyniku jest wyznaczona godzina. Weszłyśmy do gabinetu. Nasz lekarz, ten pierwszy, u którego rozpoczynałyśmy leczenie, podał nam opis. Spojrzałyśmy na niego. Były dodatkowe oznaczenia receptorów.

- No i co, doktorze, stanęło na moim? – stwierdziła łagodnie Elizka.

- Tak - odparł z zażenowaniem.

Nie był w komfortowej sytuacji. To on na prośbę córki wystąpił z oficjalnym pismem o rozszerzenie badań, a to nie jest komfort dla lekarza. Cóż, nie miał wyjścia. Tylko on nam pomógł w tym zakresie. Być może miał albo będzie miał kłopoty. Zrobił jednak to, co dla pacjentki było nieodzowne. Może darował mi trochę czasu? Pewnie tak. Pytałyśmy o wiele rzeczy. Starał się rzeczowo odpowiadać, ale było to dla niego trudne i niezręczne. Myślę, że chodziło o lojalność lekarską. Nie będę już opisywała szczegółów, bo wizyta była dosyć długa. W każdym razie została wymuszona wizyta u szefowej chemioterapii. Nie rozmawiał przy nas, nie wiem, jakich użył argumentów. W każdym razie, kiedy wrócił do gabinetu, powiedział:

- Proszę iść pod gabinet ..., pani doktor was przyjmie.

No to sukces. To bardzo mądra i światowa kobieta. Zna się bardzo dobrze na rzeczy. Z ostatniej wizyty u niej nie byłam zbyt zadowolona. To ona najpierw dała mi nadzieję, a potem gwałtownie odebrała. Wiem, procedury niestety są bezduszne.

Stwierdziłyśmy, że ja na rozmowę nie pójdę. Byłam bardzo zmęczona i głodna. Elizka czekała długo w prawie pustej poczekalni. Ja w tym czasie zjadłam bardzo późne śniadanie i chłonołam jesienne promienie słońca. Chciałam już wracać. Owinąć się ciepłym kocem i zasnąć. Miałam dosyć dobijania się do kolejnych pokoi bez klamek. Ona nie dawała za wygraną. Czekala, choć z pewnością też miała już dosyć. Czas powoli się sączył jak w zepsutej klepsydrze. Z zadumy wyrwał mnie dzwonek telefonu.

- Mamuś, musisz przyjść, bo bez ciebie lekarka nie będzie rozmawiała - oznajmiła z troską w głosie.

Szybko, jak na mnie, zebrałam się i weszłam do gabinetu, zasapana, jakbym przebiegła część maratonu. Usiadłam, z trudem łapiąc powietrze. Spojrzała na mnie uważnie.

- Pamiętam panią, ale dzisiaj gorzej pani wygląda - powiedziała lekarka rzeczowo.

Wiem, że już sporo informacji przekazał mój lekarz. Spokojnie czekałam na jej słowa, nie pytając o nic. Wiedziałam, że wszystkie pytania zostały już zadane albo będą zadane. Pani doktor była bardzo miła. Szukała rozwiązań, dzwoniła do wielu poradni, pytając o możliwość alternatywnego leczenia. Niestety, nie kwalifikowałam się. Bez zniecierpliwienia słuchała pytań, odpowiadała wyczerpująco na każde pytanie. Byłam zdumiona jej reakcją. Nie popędział jej czas ani nerwy, choć nasze spotkanie stawało się coraz dłuższe. Padło pytanie o program lekowy, który wchodził w listopadzie 2022 roku. To chemia na mojego skorupiaka. Ożywiłam się bardzo. Może tutaj będzie szybciej. Wykonała telefon, w skrócie relacjonując mój przypadek.

- Niestety, nie kwalifikuje się pani. To jest program drugiej i trzeciej fazy. Pani to już chyba piąta czy szósta. Przykro mi, ale nic nie można z tym zrobić – mówiła, wyjaśniając jeszcze, dlaczego oraz jakie są procedury.

Znowu pozbawiła mnie nadziei, a raczej zrobiły to bezduszne procedury. Co to znaczy drugiej i trzeciej fazy? To dla pacjentek, które przyjęły dwie lub trzy linie chemii i nie przyniosły one rezultatu. To lek dla nich, które w zasadzie dopiero zaczęły swoją drogę leczenia. A ja, na którą kolejne linie chemii nie zadziałały i każda kolejna to loteria, zostałam pozbawiona skutecznego leczenia? Mojego leczenia? Dziewięć operacji na pierś i płuca, litry chemii spowodowały, że takim osobom jak ja państwo nie daje nadziei? To tak, jakbym usłyszała kolejny raz:

- Pani już dziękujemy.

Tylko nie wiem, za co. Po raz kolejny usłyszałam, że to nowotwór potrójnie ujemny z bardzo nietypowym i nieobliczalnym przebiegiem. Nietypowym, czyli jakim? Tak rzadkim i

nieprzewidywalnym? Tak, to wiem. Każdego roku to słyszę. Miałam nadzieję, że skoro on taki niezwykły, to się nim ktoś zainteresuje tak naprawdę, tak mocno. To tylko jedynie moje myślenie. Może ta unikalność powoduje, że szkoda na niego czasu, bo tak choruje mały procent osób. Dotarło jednak do mnie, że nie mogę tak myśleć. Zaczęłam kolejną walkę na linii frontu. Może małymi kroczkami POMIMO będę parła do przodu. Nawet wtedy, gdy będę się potykała i boleśnie upadała. Wstanę i kolejny, i kolejny raz zrobię ten następny krok. Kiedy już opadnę z sił i góra przede mną będzie niemożliwa do pokonania, na krwawiących kolanach wdramię się na nią i wstając na jej szczycie, na chwiejnych nogach, usłyszę:

- Jutro będzie dobry dzień, nie możesz go przegapić i zmarnować. Musisz go przeżyć razem z nimi. Widzisz, dałaś radę pokonać niemożliwe, jutro też to zrobisz.

- To mój, to nasz kolejny dzień. Chwile dla mnie i dla was. Nie, właściwie kolejność odwrotna. To nasz czas, to mój czas. To chwile dla was i dla mnie. Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia. Ja powiem tak:

- Moja nadzieja nie umiera nigdy!!!!

∞-----∞-----∞-----∞

Skąd Warszawa?



Człowiek w trudnych, często w beznadziejnych sytuacjach szuka pomocnych sposobów. Czasami poza systemem. Najczęściej poza systemem. Nie jestem zwolenniczką takich rozwiązań. Zbyt dużo słyszy się o różnych szarlatanach. Znaleźliśmy, a właściwie córka z synem znaleźli człowieka/lekarza, który może wspomagać leczenie. Moi bliscy przez cały czas poszukują wsparcia dla mnie. Oczywiście, Internet poszedł w ruch. O tym lekarzu pisano różnie, pojawiały się nawet bardzo skrajne opinie. Poczytałam też o specyfikach, które oferuje, oczywiście są płatne i brak na nie oficjalnej zgody.

Na wizytę z tym kontrowersyjnym specjalistą namawiali mnie najbliżsi.

- Co ci szkodzi spotkać się z nim, porozmawiać. Jak ci się nie spodoba, to na tym poprzestaniesz - mówili.

Dla świętego spokoju umówiłam się na wizytę. Dla mnie było to duże wyzwanie, bo trzeba było jechać aż do Warszawy, a to duża logistyka. Nigdy nie wyobrażałam sobie, aby tam częściej jeździć. Jednak pojechałam dla świętego spokoju. Spotkanie było w poniedziałek. Chciałam, aby ten wyjazd był dla nas czymś więcej niż tylko wizytą w gabinecie. Pojechałyśmy już w sobotę. To były przepiękne trzy dni w stolicy. Okazało się, że jest ona wielkim i głośnym miastem. Cudowna pogoda sprzyjała naszym spacerom. Elizka pokazywała mi wspaniałe miejsca. Gworny bulwar nad Wisłą, Stare Miasto z Zygmuntem na środku, zabytkowe i urokliwe zakątki Warszawy. Chłonełam obrazy, zapach miasta i chwile z nią. Byłam nienasycona. Zrobiłyśmy mnóstwo zdjęć na pamiątkę, aby nic nam nie umknęło.





Co do wizyty miałam sceptyczne nastawienie. Czego jednak nie robi się dla spokoju najbliższych... Czekamy w poczekalni na swoją kolej. Przyjemnie i przytulnie. Atmosfera bardzo miła. Uśmiechnięte, sympatyczne panie i ten wszechobecny przepiękny zapach.

- Proszę, teraz panie – usłyszałam.

Oczywiście, zrobiłam dobrą minę, przyjazną. Umiałam to robić.

Za biurkiem siedział, na moje oko, młody mężczyzna.

- Proszę usiąść - usłyszałyśmy ciepły głos.

Usiadłyśmy. Podałam dokumentację. Spojrzał na nią i na nas. Zapytał:

- Kto kogo przywiózł?

Odpowiedziałam bez wahania zgodnie z prawdą

- Cóрка, to jej pomysł.

- To widać – odpowiedział.

Zastanawiałam się, gdzie widać, przecież dobrze udawałam zadowolenie i zainteresowanie. A jednak, doskonale wypatrzył, co było we mnie wewnątrz... Analizował dokumentację, odpowiadał na wszystkie pytania córki, a była bardzo dociekliwa i świetnie przygotowana. Nie czułyśmy w nim żadnego zdenerwowania czy niecierpliwości. Tłumaczył wszystko, wspierając się obrazami w komputerze. Zaproponował mi dwa specyfiki - kwas salinomycyny i DCA w formie wlewów co dwa tygodnie. Niczego nie obiecywał, do niczego nie zmuszał i nie namawiał. Wyjaśnił, że on może spowolnić proces łączenia się komórek nowotworowych w guzy. Mogą być bardziej leniwe. Chodziło o komórki macierzyste.

Wysłuchałam z uwagą tego, co mówił. Było to interesujące i rzeczowe. Znałam też koszty. Na zakończenie spotkania powiedział:

- Proszę się zastanowić, przemyśleć, poczytać i spokojnie podjąć decyzję.

Elizka już wiedziała, jaka ta decyzja powinna być, ja - nie do końca. Sam specyfik był obiecujący, oczywiście poczytam jeszcze w Internecie, ale ta droga, intensywność wyjazdów, sama logistyka była dla mnie ogromnym wyzwaniem. Wiedziałam, że w tym względzie muszę liczyć na rodzinę. Rozumiałam, że zrobią dla mnie wszystko, ale nie chciałam ich aż tak angażować. Tak bardzo chciałam być samodzielna, ale zdawałam sobie sprawę, że samodzielne wyjazdy do Warszawy są poza moim zasięgiem.

- I co, mamuś, jesteś zadowolona z wizyty? Widzę, że chyba nie bardzo - wyrwały mnie z zamyślenia ciche słowa.

- Jestem, Elizko, nawet bardzo. Był rzeczowy, spokojny i do niczego nie namawiał. To były jego propozycje. Tym zyskał moją przychylność – odpowiedziałam.

- Jaka jest twoja decyzja, będziesz to brała? Przecież wiesz, że będziemy z tobą jeździć. Tym się wcale nie martw, tylko się zgódź. To może być naprawdę dobre.

- Dobrze, Elizko, daj mi się zastanowić. Chodźmy teraz coś fajnego zjeść - odpowiedziałam spokojnie, ale stanowczo.

Oczywiście znalazłyśmy fajną knajpeczkę z nieznanymi dla nas potrawami. Zamówiłyśmy, każda coś innego, aby wymienić się smakami. Były dla nas nowością. Z pewnością będziemy próbowały łączyć różne smaki w domu. Nie wiem, czy nam się uda, ale będziemy próbowały. To był cudownie spędzony czas. Czas tylko dla nas.

Miałam się nad czym zastanawiać. W drodze powrotnej jak zwykle złapała nas głupawka. Robiłyśmy głupie miny, żartowałyśmy i śmiałyśmy się do łez. Ja nawet robiłam pokaz mody. Czas szybko mijał. Nie myślałam o chorobie. Podziwiałam piękne krajobrazy. Choroba była poza mną.

Jestem w domu. Zdałam pozostałym relację. Pytali:

- I co, jaka jest twoja decyzja?

- Nie wiem, dajcie mi czas.

Wiedzieli, że naciski w moim przypadku na nic się nie zdadzą. To miała być moja, tylko moja decyzja. Nie było mi łatwo. Odległość, koszty, zaangażowanie całej rodziny, powodowały duży dyskomfort, choć wiedziałam, że zrobią dla mnie wszystko POMIMO. Umówiłam pierwszą wizytę w Warszawie. Całe szczęście, że można w soboty. Rodzina odetchnęła z ulgą. Ja niestety wciąż miałam obawy, chciałam i chcę być samodzielna i samowystarczalna. W międzyczasie szukałam informacji o specyfikach, które zaproponował mi warszawski lekarz. Salinomycyna. Literatura i badania okrzyknęły ją „koniem trojańskim” w leczeniu nowotworów. Niestety, cały czas pozostaje w fazie badań. U nas w Polsce niemożliwa do podania. Zakaz. Rozmawiałam z naukowcami (nawet mi się udało), którzy robią takie badania na skalę światową, przeczytałam wiele naukowych artykułów. To było coś wielkiego dla mnie, moja nadzieja.

"Ktoś kiedyś napisał, że macierzyste komórki nowotworowe to posłańcy śmierci – czekają w ukryciu, by zaatakować, a jak już do ataku dojdzie, to nie ma przed nimi ucieczki. Zmienić to mogą badania prowadzone przez zespół profesora Adama Huczyńskiego z Wydziału Chemii, między innymi odkrycia dokonywane przez dr Michała Antoszczaka. Jego „przeciwnowotworowe konie trojańskie” mogą okazać się skuteczną bronią w walce z rakiem."

[Dr Michał Antoszczak. Przeciwnowotworowe konie trojańskie - wywiad Krzysztofa Smura]

Reasumując, wyczytałam, że salinomycyna jest aktywna w wielu rodzajach nowotworów. Może okazać się przełomem w terapii nowotworów chemoopornych.

Kwas DCA - może również niszczyć komórki rakowe. Obiecujące informacje. Cieszyłam się. Pomoże mi, myślałam. Niestety, moja nadzieja szybko ostygła.

- W Polsce nikt pani tego nie zleci i nie poda - słyszałam - u nas specyfik nie jest dopuszczony. Jest w fazie badań pozaustrojowych.

No to jak, skoro daje takie rezultaty w badaniach, to dlaczego? Myśli kołatały w mojej głowie. Byłam przyzwyczajona do porażek. No cóż, za parę ładnych lat może inni skorzystają z tego specyfiku. Oby doczekali!

Ja już podjęłam decyzję. Będę próbowała.

∞-----∞-----∞-----∞

Nasz pierwszy wyjazd do stolicy po nadzieję. Byłam trochę zdezorientowana, bo nie wiedziałam, co i jak. Obawy okazały się płonne. Przemiełam panie, życzliwa atmosfera. Usiadłam w fotelu. Całe szczęście, że mam port, więc nie trzeba było szukać uciekającej lub pustej żyły (stwierdzenia pielęgniarek). Opisano mi, jakie mogą być skutki: drżenie mięśni, złe widzenie, mroczki w oczach.

- Taka reakcja może, ale nie musi nastąpić - powiedziała pielęgniarka.

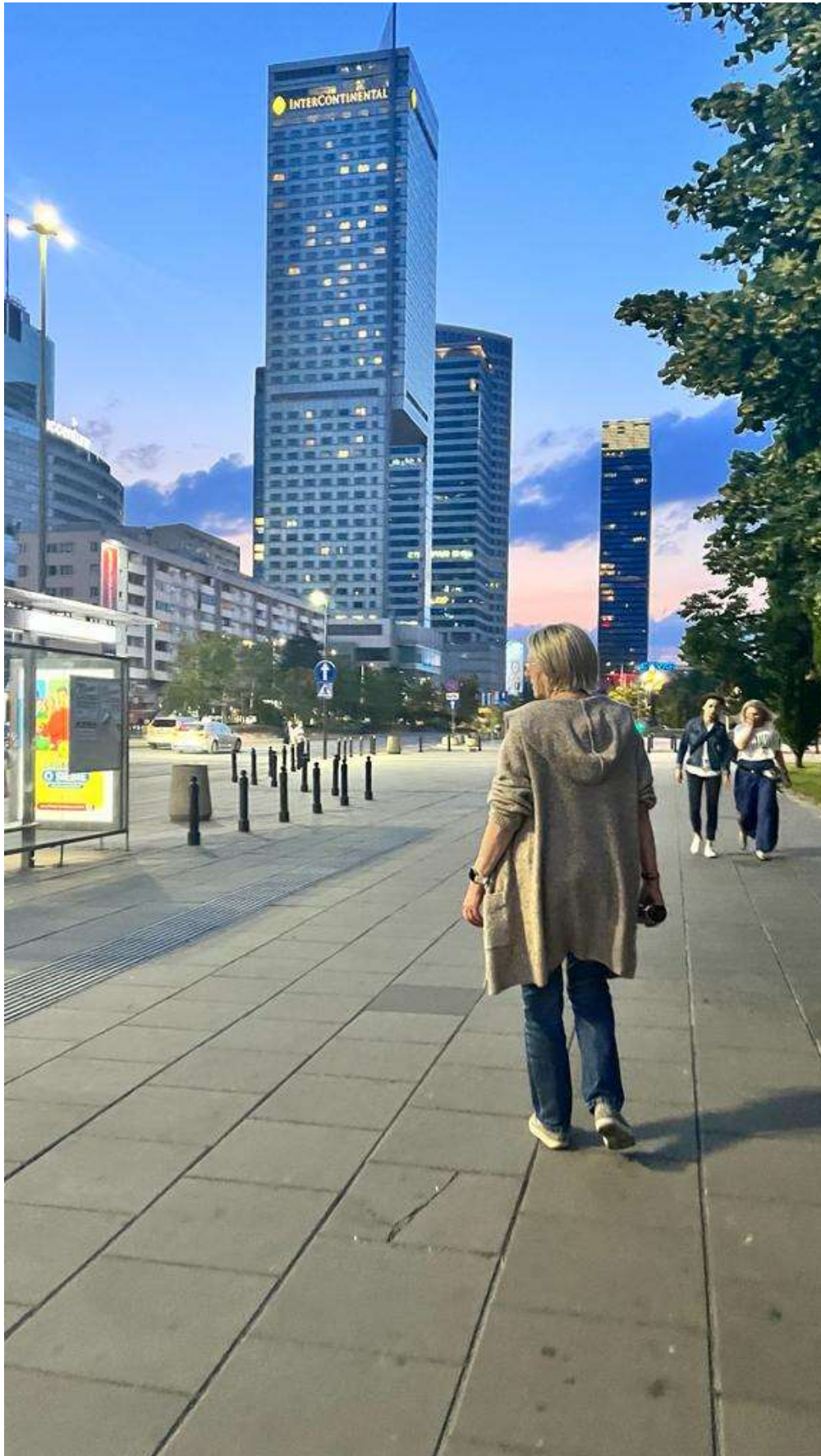
Znając siebie, wiedziałam, że będę miała wszystkie. Tak też było. Bardzo dziwne uczucia i niezbyt przyjemne, ale przyjemności były przed nami. Szykował się cudowny wieczór. Krótki spacer, obiad i wizyta w Teatrze 6 piętro, mieszczącym się w Pałacu Kultury. To prywatny teatr Michała

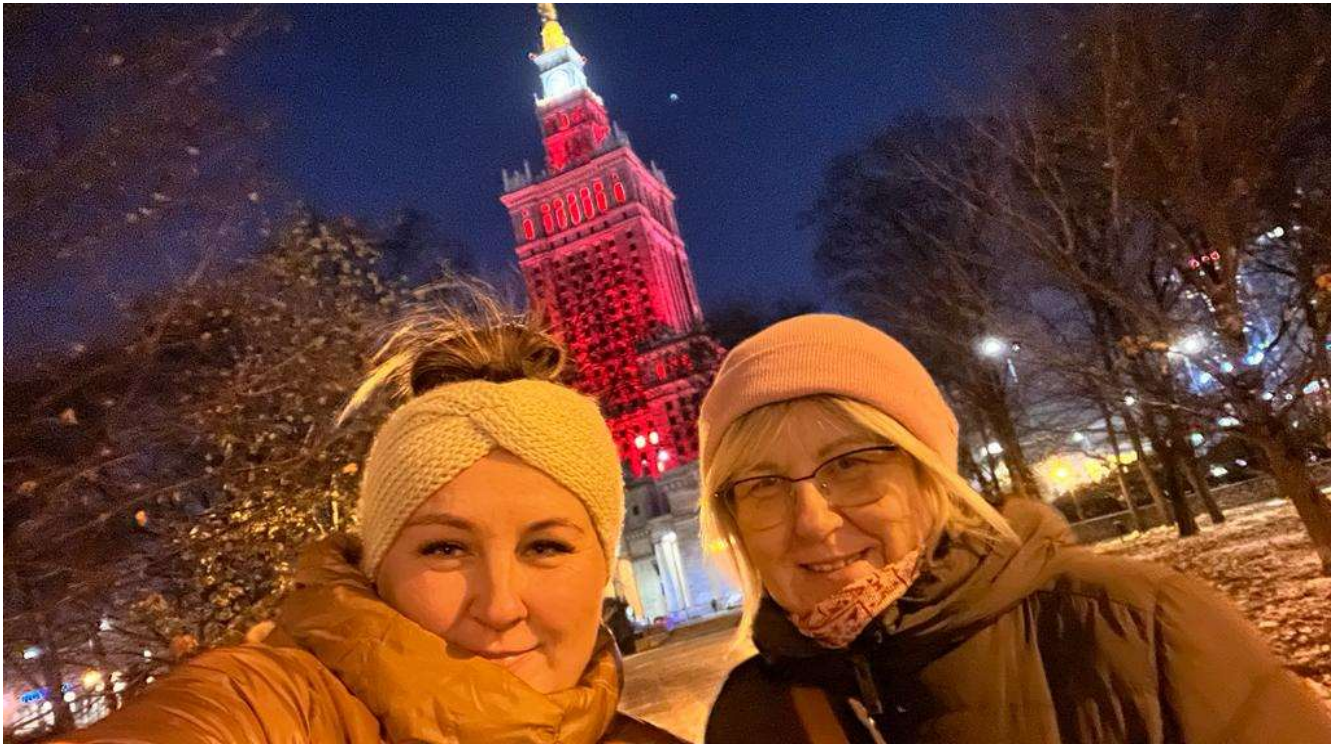
Żebrowskiego. Szliśmy na komedię „Piękna Lucynda” z doborową obsadą, którą znam tylko ze szklanego ekranu. Aktorzy na wyciągnięcie ręki. Siedziałyśmy blisko sceny.



Całą rzeczywistość zostawiłam poza zamkniętymi drzwiami teatru. Świetna komedia. Śmiałyśmy się do rozpuku. Po zakończeniu zrobiłyśmy sobie sesję zdjęciową na ścianie. Był przepiękny wieczór. Spacerkiem wracałyśmy do hotelu, podziwiając Pałac Kultury, rozświetlony różnymi barwami oraz inne pięknie oświetlone wieżowce. To było jak magia pełna kolorów, zapachów lata i szemrzącej wody w fontannie. Już wiedziałam, że bez Warszawy nie będę mogła żyć. To ona przykuwała mnie do siebie, mówiąc:

- Musisz do mnie przyjeżdżać. Czekają na ciebie różne niespodzianki i przemiłe chwile...
- Słyszałam to w swojej głowie.
- Obiecuję, że tak będzie. Tak będzie co dwa tygodnie, więc do spotkania.





Listopad 2022rok

Jesteśmy dzisiaj z kolejną wizytą w Warszawie. Cieszę się, bo to już nasze dziesiąte spotkanie w Instytucie i salinomycynę mam w gratisie.

- To taki prezent - mówię - musimy przyjechać na kolejny dziesiąty wlew, który będzie gratisowy. To taki bonus, mówiłyśmy z uśmiechem. To dla mnie jako bodziec. Muszę dotrzymać słowa i chcę kolejnego prezentu. To takie miłe. Zatem przed nami kolejne wyjazdy. Coraz łatwiej rozmawia się mi z Elizką o odejściu, ceremonii, o mojej prośbie. W drodze do stolicy, a jedzie się dosyć długo, rozmawiałyśmy o tym zupełnie już bez nerwów z jej strony i stresów.

- Nie cierpię czerni i żałobnej trąbki - mówiłam spokojnie.

Słuchała w milczeniu. Wiem, że było to dla niej bardzo trudne.

- Chcę ładnie wyglądać, w moich włosach, ładnym makijażu i z uśmiechem na twarzy. Z pewnością w żadnych ciemnych kolorach. Coś przygotuję. Na rękach delikatne rękawiczki. Mam wyglądać, jakbym tylko zasnęła na chwilę. No, na dłuższą chwilę... Chcę, aby czerń nie dominowała, może nie czerwień czy róż, ale dobre pozytywne kolory. Chciałabym, aby w mojej obecności wspominać fajne, śmieszne chwile. Żadnych rozpaczy, szlochania czy ogromnych łez. Oczywiście, można ich trochę uronić, bo oczy mają wtedy blask – mówiłam, spokojnie obserwując jej twarz. Wiem, że to bardzo trudna prośba i jeżeli się nie uda, to nic się nie stanie. Słuchała w milczeniu. Po chwili dołączyła do rozmowy zwyczajnie, jak o zwykłych rzeczach. Uczylałam ją tego długo.

- Mamuś, zabiorę odrobinę ciebie do siebie - stwierdziła.

- Naprawdę chcesz? - zapytałam ze zdziwieniem.

-Tak, oczywiście. Chcę, abyś zawsze była ze mną i przy mnie - odpowiedziała z zapytaniem w oczach.

- No dobrze, jak chcesz. Ja i tak zawsze będę z wami - odpowiedziałam.

Rozmawiałyśmy jeszcze o szczegółach. Bardzo cieszyłam się, że już mogliśmy o tym rozmawiać spokojnie. Każda z nas myślała, wiedziała i chciała, aby był to bardzo odległy czas. Niech tak będzie, bo nigdy nie wiadomo, co fajnego się nam przydarzy jutro, za miesiąc, za rok, a plany mamy przecież świetne. Kolejne wyjazdy do Warszawy, wspólne obiady, radosny uśmiech wszystkich wnucząt, ciepło płynące od nich. Wspólne uroczystości i święta z całą rodziną. To jest teraz ważne. Tak nauczyłyśmy się, właściwie uczymy się wszyscy żyć. Tu i teraz.

Niestety, dzisiaj nie udało się nam zarezerwować stolika w naszej ulubionej świetnej, małej restauracji z pysznym jedzonkiem - w Mozaice. Wszystkie miejsca były zajęte. Szkoda, bo miałyśmy jasno skryształizowane plany, co każda z nas zje nowego. No cóż, plan to tylko plan. Powstał nowy. Na dworze okropnie zimno, więc ze spaceru nici. Pojechaliśmy do hotelu, aby się trochę rozgrzać i zaplanować, co dalej. Uwielbiam to nasze „nic nierobienie” – wtedy na bieżąco robimy, co zechcemy. Tak było i tym razem. Z tego względu, że było naprawdę bardzo zimno, nie wybrałyśmy się nawet na krótki spacer. Wynałazłyśmy kolejną małą knajpkę blisko hotelu, z nowymi dla nas smakami. Te wyjazdy to dla nas poznawanie za każdym razem czegoś nowego - kolejny nasz rytuał. Tak było i tym razem. Zarezerwowałyśmy stolik. Oczywiście, w drodze do knajpki musiałyśmy przejść przez Zarę. Uwielbiam białe koszule, więc kupiłam sobie kolejną w innym fasonie, ale również super i przecenioną. Elizka kupiła w przecenie ciepłą zimową kurtkę. Bardzo ładnie w niej wyglądała.

Nadszedł czas na nasz stół. Zasiadłyśmy wygodnie. Wybrałyśmy miejsce przy szklanej witrynie. Wertowałyśmy kartę dosyć długo, bo było mnóstwo potraw dla nas nieznanych. Pani kelnerka, bardzo miła dziewczyna, co jakiś czas pytała, czy już może przyjąć zamówienie. Nie mogłyśmy się jednak na nic zdecydować.

- No wystarczy, mamuś, zastanawiania się, musimy coś już wybrać - powiedziała stanowczo Elizka.

Ona zawsze była bardziej zdecydowana niż ja. Oczywiście wybrałyśmy różne dania, aby się nimi dzielić. Były to dla nas nowe połączenia smaków i składników. Podczas oczekiwania na jedzenie obserwowałam ludzi pędzących za oknem po chodniku. Wszyscy opatuleni, szybcy, patrzący pod nogi. Wyglądali niesamowicie. Jak zjawy w świetle ulicznych latarni. Zastanawiałam się, dokąd tak się spieszą, co myślą. Pędzą, bo zimno ogarnia całą postać. To tak samo jak my przemykałyśmy szybko chodnikiem, ukradkiem spoglądając na witryny sklepów i restauracji. Oni pędzą opatuleni, a my siedzimy w ciepłku, napawając się swoją obecnością. Wreszcie są nasze dania. Śliczne i pachnące, aż szkoda niszczyć ich konstrukcję. Przez chwilę cieszyłyśmy oczy kunsztem kucharza, by za moment zabrać się do delektowania się potrawami. Każdy kęs to nowy smak. Dziwne połączenia. Z pewnością będzie próba powtórki w domu. Mnie zapewne się nie uda, ale jej na pewno tak. W trakcie jedzenia planowałyśmy, co dalej będziemy robiły.



- Dzisiaj jest okropnie zimno i wiatr smaga po twarzy, więc nigdzie nie będziemy szły - mówiłam.

W sklepach widziałyśmy obłęd ludzi, potykających się o siebie. Każdy jak w transie chodził od stoiska do stoiska, nie zważając na innych. Poszturchiwanie i tłum to nie dla nas, więc wieczór spędzimy w pokoju.

- Kupimy sobie maseczki na twarz i pod oczy. Zróbmy sobie takie nasze małe spa - zaproponowałam.

- Świetny pomysł - odpowiedziała z błyskiem w oczach.

- Gdy będziemy wracały, to kupimy sobie coś fajnego - odpowiedziała.

Wybór kosmetyków był ogromny. Szybko zdecydowałyśmy, co chcemy i prędko poszłyśmy do pokoju. Było ciepło i przyjemnie. Kolejne łyki ciepłej herbaty rozplýwały się powoli po całym naszym ciele, rozgrzewając jego najdalsze zakątki. Ogarniało nas błogie lenistwo. Przygotowałyśmy maseczki i położyłyśmy się na łózkach. Och, jak było cudownie, lekko, w zapomnieniu, liczyła się tylko ta obecna chwila. Chwila rozkoszy i nudy. Nie musiałyśmy nic mówić. Wiedziałyśmy, że jesteśmy razem. Czułam jej obecność i troskę. Wieczór zakończył się bardzo przyjemnym relaksem. Naszym wspólnym relaksem. Ciekawa jestem, ile lat mi ubyło po maseczce?

∞-----∞-----∞-----∞

Niedziela tradycyjna. Stare Miasto, Zygmunt i może dzisiaj bez Magdy... (restauracja Magdy Gessler).



Był przepiękny słoneczny dzień. Wystawiałyśmy twarze do ciepłych promieni słońca. Mijałyśmy setki ludzi, leniwie spacerujących traktem Starego Miasta.

- Mamuś, patrz, wieża widokowa. Z jej szczytu będzie przepiękny widok na całą Warszawę – powiedziała, spoglądając na mnie.

- Z pewnością warto go zobaczyć. Idź, ja zaczekam - odpowiedziałam stanowczo. Poszła, oglądając się na mnie. Po chwili zawróciła.

- Mamuś, chodź, będzie przepięknie - mówiła ciepło - Damy radę, ty dasz radę - mówiła dalej.

Długo się wzbraniałam, bo to dla mnie ogromny strach i paniczny lęk.

- Boję się, nie dam rady - upierałam się, patrząc na małe postacie na wieży.

Ogarniał mnie paniczny lęk - z jednej strony, a z drugiej pomyślałam sobie, że tyle walczę, tyle wyroków usłyszałam i daję radę, więc ze schodami nie dam rady? Była wieża widokowa mnie pokona? Może już nigdy nie będzie mi dane oglądać takich widoków?

- Bierz się, Boguśka, w garść. Co to dla ciebie taka wieżyczka, osiągasz wyższe szczyty - mówiłam sobie w duchu.

- Chodź, idziemy - powiedziałam szybko, aby nie zmienić zdania - Niech to już będzie poza mną, przecież przez cały czas oswajam strach - mówiłam.

Popatrzyła na mnie z pytaniem w oczach. Odpowiedziałam jej tym samym gestem.

- Idziemy!

- Dasz radę? Na pewno? Ja będę z tobą - mówiła ciepło i z troską w głosie.

Weszłam do środka. Mały półmrok i chłód starych murów. Głęboki oddech, który zabijał strach. Spojrzałam do góry. Wąskie, strome i zimne schody. Weszłam na pierwsze stopnie i kurczowo złapałam się za cienką i zimną poręcz. Jej chłód przenikał do najmniejszej komórki mojego ciała. Kurczowo trzymałam zimną stal, powoli pokonując kolejne wąskie i kręte schody wieży.

- Tylko nie patrz w górę ani w dół - myślałam.

To stwierdzenie wciąż trwało w moich myślach. Nie mogłam ani na moment o nim zapomnieć. Słuchałam go jak mała dziewczynka, miarowo podchodząc w górę. Jeszcze jeden kolejny stopień i kolejny. Już chyba zaraz szczyt. Chłód ścian orzeźwiał mój umysł. No, jeszcze jeden zakręt i już koniec. Czas jakby się zatrzymał. Każdy krok, każdy stopień to wielki wysiłek. Mniej fizyczny. Bardziej psychiczny. Ostatni stopień, wysoki próg i jestem na platformie widokowej. Mocno przywarłam plecami do ściany z daleka od barierki, koło których spacerowali turyści. Tutaj duzi, rzeczywisci, a nie jak widziani z dołu - mali i nierzeczywisci. Głęboki oddech i małe kroczki do przodu.

Elizka przyglądała mi się z uwagą i niepokojem. Widziałam, że była ze mnie dumna. Dałam radę. Przewyciężyłam lęk, strach i ból. Czując jej ciepło, trzymałam się kurczowo jej ręki. Widok był cudowny. Przepiękna panorama całej Warszawy.



Cudowne promyki słońca łaskotały nasze twarze. Powoli mój uścisk malał. Byłam coraz pewniejsza i śmielsza. Szłam powoli, coraz bardziej zbliżając się do barierek. Są. Mam je. Mocno ściskam chłodny metal.



Patrzę w dół. Malutkie postacie tłumnie przemierzają świątecznie przystrojone Stare Miasto. Jest cudownie.



Robimy sobie selfie z wielką perspektywą za nami. Pomyślałam sobie, że to może jakiś znak. Pokonałam strach i ból, a w podzięce przepiękna perspektywa. Odległa panorama. Cudowne, ciepłe promyki słońca. to może moja przyszłość. Moje kolejne tygodnie, miesiące, lata życia. To moje kolejne pełne niespodzianek przeżycia. Dzisiejsze, jutrzejsze... Czy mogę się ich pozbawić? Nigdy, bo nie wiem, co przyniesie kolejny dzień, jaką niespodziankę mi szykuje. Mimo dużego zmęczenia wracałyśmy do domu z nowymi aniołami i nową nadzieją, szczęśliwe, dumne, bo obie pokonałyśmy strach. Wracałyśmy z nową nadzieją i aniołami.





Grudzień 2022

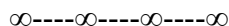
Szykuję się do kolejnego wyjazdu do Warszawy. Pogoda okropna. Zimno, mglisto i ślisko. U nas spadł śnieg i droga była bardzo trudna. Jechaliśmy, tym razem z synem, jak po lodowisku. Samochód ślizgał się po drodze. Krzysiu jechał bardzo ostrożnie, aby nas nie ściągnęło do rowu czy na pobliskie drzewa. Za Bolkowem było już ok. To inny świat, to inny klimat. Jakby odgraniczony grubą kreską. U nas zima, a za nią wiosna. Droga w miarę dobra aż do samej stolicy. Dzisiaj jestem w sali z młodymi ludźmi. Cisza jak makiem zasiał, aż w uszach dzwoni. Młodzi, oczywiście, zatopieni w telefonach. Nikt się nie odzywa, nikt nie patrzy na siebie. Są w innym wirtualnym świecie. Co się dziwić. To współczesny świat młodych. Zatopieni w ekranach swoich telefonów, nieobecni, wirtualni. Dziwne czasy. Są tu, ale jakby obok siebie. Trudno mi się przyzwyczaić. Też siedzę cichutko jak myszka pod miotłą, aby ich nie obudzić, aby brutalnie nie wyrwać ich z wirtualnego świata. Sen na moment został przerwany, młodzi zaczęli rozmawiać. Ciekawa rozmowa o życiu, nadziejach, optymizmie i tym, co się dzieje tu i teraz. Mówili o padającym za oknem śniegu, zamkniętych ulicach z powodu jakiegoś przemarszu. Nagle, jakby za dotknięciem czarowanej różdżki, nagle znowu cisza. Znowu zatopieni w swoich telefonach. Cisza. Może znowu za chwilę usłyszę ich głos. Może to ich ucieczka od rzeczywistości do świata, który sami sobie wybierają. Na mnie działa już płyn, który sączy się leniwie do moich żył. Gorzej widzę. Drga cały organizm. Na siłę przytrzymuję drgające ręce i nogi. Nazywam to totalną trzęsawką.

Dziwne uczucie. Mam nadzieję, że będę mogła w miarę dobrze funkcjonować. Oprę się na silnym ramieniu mojego Krzysia i udamy się do naszej ulubionej knajpeczki na obiad. Stolik oczywiście wcześniej zarezerwowany. Ciekawe, co sobie wybierzemy... Kończę na ten moment pisanie, bo coraz gorzej widzę. Mroczki w oczach nie pozwalają mi widzieć dobrze liniatury, a trzęsąca się ręka wzbrania się przed pisaniem. Stan jak zawsze. Pijana matka wspierająca się na ramionach dzieci. Tak czasami to wygląda po wlewach. Tak mogą odczytywać to ludzie, patrzący na nas z boku. Pewnie też tak bym pomyślała.

Nareszcie koniec. Trzęsawka trwa, ale staram się za wszelką cenę opanować drgania każdego mięśnia. Ukradkiem spoglądam na Krzysia. Udaje jak zwykle, że mi wierzy. Wspieram się na jego ciepłym i silnym ramieniu i idziemy na obiad. Stolik już na nas czeka. Usiedliśmy wygodnie w tłumie ludzi, ale jakby tylko we dwoje. Nikt mnie nie obchodził. Nie potrafiły mi zepsuć tych chwil nawet bardzo głośne rozmowy, rubaszne śmiechy. Moją uwagę przykuli ludzie siedzący nieopodal nas. Wcześniej urodzeni (to znaczy starsi) może mieli po 50, 60 lat. Co chwilę dyskretnie zerkałam w ich stronę. Stanowili piękną parę. Od czasu do czasu stykał się ich wzrok, a wtedy twarze ich promieniały. Kiedy jedli, co jakiś czas, niby niechcący, niby mimochodem dotykały się ich dłonie. Wtedy, jak zakochane nastolatki na pierwszej randce, szybko odsuwali je od siebie. Spuszczali wzrok i w skupieniu jedli dalej. Piękny widok. Nie mogłam się na nich napatrzeć, a musiałam to robić dyskretnie, aby nie spłoszyć ich zauroczenia, a może miłości. Kiedy skończyli jeść, ich dłonie delikatnie i powoli spletały się ze sobą - niby liany oplatające pnie drzew. Już nie ukrywali tego. Patrzyli na siebie, czując ciepło i

drzenie swoich rąk. To niespotykane w dzisiejszych czasach, ale tym samym jeszcze bardziej przepiękne i niezwykle.

Zamówiliśmy dla siebie nowe dania. Delektowaliśmy się ich smakiem, nieoczywistością i swoim towarzystwem, w gwarным tłumie, ale odizolowani od innych. Sami ze sobą. Uwielbiam takie chwile. To był dobry wyjazd, to był dobry dzień POMIMO.



Kolejne cykle chemii, co drugi dzień, znoszę w miarę dobrze. Każda z namaszczeniem wyjmowana z opakowania tabletki znika w mojej buzi. Może się uda tak na całość, tak na full wygrać do końca walkę, a nie tylko bitwę. Mam dopiero za miesiąc wyznaczoną wizytę w poradni radiologicznej we Wrocławiu. Długo, ale dla mnie czas już inaczej płynie. To tylko miesiąc, to tuż, tuż.

W poczekalni nie było zbyt dużej kolejki do mojego gabinetu. Cierpliwie czekałam na swoją kolej, przecież znakomicie to znałam. Obserwowałam, jak zwykle, otaczających mnie ludzi. Jedni byli spokojni, inni nerwowo kręcili się na twardych krzesłach, jeszcze inni spacerowali w tę i tamtą stronę, przemierzając wąski korytarz. Nareszcie wyświetlił się mój numer. Weszłam z uśmiechem, chyba to już był mój odruch bezwarunkowy, myślę, że nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Proszę usiąść - usłyszałam ciepły głos lekarza.

Już wiedziałam, że będzie to miła wizyta. Ciepły, empatyczny lekarz analizował moje dokumenty.

- Dostała już pani sporą dawkę promieni radio. Spróbujemy się zastanowić, co dalej – mówił, patrząc na mnie.

- Czytałam o brachyterapii, może ona będzie dla mnie? – zapytałam.

- Niestety, nie, zmiana nie jest w odpowiednim do tego miejscu. Muszę to wszystko skonsultować z kolegami radiologami i brachyterapeutami. Proszę dać mi parę dni. Komisyjnie zastanowimy się i postanowimy, co dalej. Zrobimy wszystko, aby pani pomóc. Proszę czekać na telefon, zadzwonię - powiedział na zakończenie.

Wyszłam spokojna, jak zwykle pełna nadziei, kolejnej nadziei. Nauczona doświadczeniem, nie czekałam z utęsknieniem na telefon, mogło to przecież długo potrwać. Bardzo się myliłam. Zgodnie z obietnicą lekarz szybko zadzwonił.

- Proszę dać mi jeszcze trochę czasu, konsultujemy pani przypadek. Proszę czekać na telefon, zadzwonię jak najszybciej i przekażę decyzję - powiedział.

Nie czekałam ze zniecierpliwieniem, wiedziałam, że zadzwoni. W międzyczasie kontynuowałam chemię. Lekarz zwiększył mi dawkę, bo jako tako dawałam radę i wyniki miałam poprawne. Powiedziałam, że dam radę też ze zwiększoną. Jakże się jednak myliłam.

Dzwoni telefon. Patrzę na numer. Wiem, że to obiecana rozmowa.

- Dzień dobry. Dzwonię zgodnie z umową. Zdecydowaliśmy, że w pani przypadku spróbujemy kolejnej radioterapii, mimo że pani ją już przyjmowała. Trzeba spróbować jeszcze raz - mówił spokojnie.

- Dziękuję, doktorze, za informację, ale czy właśnie w moim przypadku nie będzie to zbyt ryzykowne? - pytałam - Przecież ja nie mam piersi ani mięśni, tylko pergaminową skórę, zebra i płuca - dodałam.

- Trzeba rozważyć zyski i straty. Zyski, które mogą być, no a straty są wpisane w ryzyko. Trzeba wybrać. Umówiłem panią w zakładzie radioterapii w pani miejscowości. Wszystko przekazałem lekarzom, to nasi specjaliści. Proszę być dobrej myśli i nie tracić nadziei - powiedział na zakończenie.

Wierzyłam mu bardzo. Bardzo tego chciałam.

Poszłam na wyznaczoną wizytę. Młoda, miła pani doktor wiedziała już wszystko. Wyjaśniła mi „za i przeciw”, drogę leczenia i skutki uboczne radioterapii, które mogą wystąpić. Długo ze mną rozmawiała, bez zniecierpliwienia i presji czasu. Spytałam, czy promienie nie uszkodzą już i tak zmasakrowanych płuc, bo przecież są prawie na wierzchu. Pomyślała chwilę i powiedziała: - W pani przypadku zrobię wyjątek. Co prawda, napromieniowanie na wdechu robimy tylko po lewej stronie, aby chronić serce, ale u pani zrobimy to również po prawej stronie, aby ochronić płuca. Proszę się nie denerwować. My mamy swoje sposoby, aby napromieniowanie było jak najbardziej bezpieczne. Zrobimy tomograf, a technicy nauczą panią odpowiednio oddychać - powiedziała z uśmiechem.

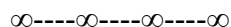
Byłam dla niej ważna! Urosły mi skrzydła u ramion. Faktycznie trzeba było nauczyć się oddychania. Nie było to dla mnie łatwe. Długo i cierpliwie mnie uczyli. Wreszcie potrafię, umiem, dam radę. Wyznaczono mi termin pierwszego zabiegu. Wiedziałam, że będę tu codziennie przychodziła przez pięć tygodni. Doskonale wiedziałam, jak będzie. Codzienny rytm wyznaczony promieniami. Przecież to już przeżyłam i doskonale znałam drogę, budynek i ludzi. Cykl zaczyna się powtarzać.

Nie jest źle. Za każdym razem na twardym jak skała stole coraz lepiej mi się oddycha. Gdy nabieram powietrza do płuc, czuję, jak żebra mi się rozsuwają, a mięśnie usiłują wdrzeć się między nie. Dla mnie to duży ból, ale dam radę. Coraz dłużej mogę wstrzymać oddech. W głowie już tak bardzo się nie kręci. Nabieram wprawy. Okazało się, że moja terapia będzie trwała o tydzień dłużej, czyli przez sześć tygodni, oczywiście, jeżeli moje ciało na to pozwoli i da radę. Denerwuję się coraz częściej. Mam coraz mniej siły. Szybko się męczę, a jestem przyzwyczajona do swojej aktywności. Moi lekarze mówią, że muszę teraz być bardzo tolerancyjna i wyrozumiała wobec siebie. Ja to wiem, ale jest to niezmiernie trudne, by aż tak zwolnić, gdy jest się w ciągłym biegu, szybkim biegu. Jestem przez cały czas na zwiększonej dawce chemii. Coraz gorzej mi ją znosić. Myślałam, że tabletki są lepsze, łagodniejsze. To nie jest tak. Pałący żołądek, ból brzucha i najmniejszych mięśni. Zawroty głowy, wymioty i okropne nudności. Nie chce mi się jeść. Na samą myśl o jedzeniu aż się wzdrygam.

Chemia i radio to trudny dla mnie duet. To trudny dla mnie czas, ale dam przecież radę jak dotychczas. Szykuję się do kolejnego wyjazdu do Warszawy. O tym teraz tylko myślę. Świąteczna stolica, nocleg w naszym ulubionym hotelu i radość w oczach Julki (najmłodszej wnuczki, córki Elizki). Ona tak uwielbia z nami jeździć. Mamy już cały wspaniały plan. Tym żyję i odmierzam dni. Tylko niech nie będzie gorzej. Wymyśliłam sobie, i już to widzę, że kupię dla naszej trójki świąteczne piżamy i wspólnie pod ciepłą kołderką będziemy czytać, rozwiązywać zagadki, „nicnierobić”. Uwielbiam to nasze określenie. Rano zjeść spokojnie śniadanie i wędrować świątecznym traktem Starego Miasta. Czekam na ten wyjazd. Julia też. Plan planem, a życie życiem. Jest mi coraz gorzej. Już wiem, że piżam nie kupię, więc z pewnością śmieszne świąteczne, ciepłe skarpety. Sześć nóg, trzy pary stóp, odtańczą dziwny taniec radości, leżąc wygodnie na łóżkach. Uwielbiamy się przecież wygłupiać i śmiać do rozpuku z byle powodu. Już słyszę perlisty śmiech Julki. Na dwa dni przed wyjazdem pokonały mnie skutki chemii. Sponiewierały mnie okrutnie. Nie mogę się ruszyć, bo tracę równowagę, ból panoszy się w całym ciele i te ciągłe nudności...

- Weź się w garść, Boguśka, przecież za dwa dni piękna przygoda. Weź się w garść. Wszystko zaplanowane. Przecież na samą myśl o wyjeździe świecą ci się oczy. Nie marudź, Boguśka - słyszałam, jak własne słowa dudnią w moim umyśle.

Zamykam oczy, głęboko oddycham. Nie myślę o swoim ciele. Wśród świątecznych dekoracji miasta jestem poza nim. Niestety, ten wybieg się nie udał. Kolejnej dawki chemii nie wzięłam. Nie dałabym rady z nią walczyć. Pokonała mnie. Bezwzględna i okrutna. Mam nadzieję, że dla NIEGO też. Nie zobaczymy świątecznej Warszawy, ale będziemy się snuły traktem Starego Miasta w pierwszych dniach nowego roku. Taki jest nasz kolejny plan. Tym razem się uda i będziemy świętować Nowy Rok razem z Zygmuntem na środku Starego Miasta. Mam nadzieję, że pogoda dopisze.



Mój organizm się trochę normuje. Chemii nie biorę. Muszę odpocząć i dojść na swój sposób do siebie. Muszę POMIMO. Moje imieniny grudniowe miały być w Warszawie przy przepysznym obiadku. W następnym roku tak będzie.

Dzisiaj jest piękny dzień. Moje imieniny. Tak właściwie to imienin nie obchodzimy, ale życzenia zawsze są. Moi najbliżsi zawsze o nich pamiętają, więc i tym razem co jakiś czas słyszę dzwonek telefonu. Piękne życzenia składane osobiście - dostaję je od wnucząt, córki, syna, synowej i zięcia. Od męża oczywiście stacjonarne. Czułam się spokojna i było mi bardzo miło. Słyszając ich głos w telefonie, widziałam ich uśmiechnięte oczy, pełne miłości. Tak mocno ich kocham i tak bardzo się o nich boję.

Położyłam się, przykryłam kocem i usilnie zmuszałam się, aby choć na chwilę zasnąć. Potrzebowałam tego jak tlenu. Mocno zaciskałam oczy, liczyłam baranki. Nic to nie dało. Czułam, że muszę się zdrzemnąć, ale organizm przewrotnie mówił, że na to nie pozwoli. Paskudnie się ze mną obchodzi. Mimo że nie mogłam zasnąć, odpoczywałam i dochodziłam do siebie. Z nicości wyrwał mnie dźwięk domofonu. Musiałam wstać.

Nie pytając, kto tam, nacisnęłam przycisk otwierający drzwi klatki. Nigdy obcych nie wpuszczam, jeżeli nie wiem, kto to, ale tym razem nie miałam siły pytać. Niech wchodzi, kto chce. Teraz wiem, kto chciał. To oni z życzeniami. Mój mąż mówi, że przy dzieciach dostaję szwunku. Tak było i tym razem. Sen, zmęczenie i niemoc gdzieś umknęły. Teraz byłam ja, pełna sił POMIMO. Za każdym ich ciepłym uściskiem wracały mi siły. Byłam jak naelektryzowana. Pełna sił, wigoru i niepamięci. Moja Julka, Klara, Maja i Wiktor, moje wnuczeta dające mi chęć do życia, siłę do pokonywania tego Czegoś. Nie chcę o tym głośno myśleć i tego nazywać, bo wtedy udaję, że Jego nie ma.

Pełna chata. Wiem, co to znaczy i czym jest dla mnie. Cudownie spędzone popołudnie. Te głosy: „babciu, mamuś, Bogusik” (tylko Ilonka tak do mnie mówi), słyszę bardzo często w swojej głowie. Zwłaszcza wtedy, gdy zaczynam mieć wszystkiego dosyć. Dzieci i dorośli wokół mnie. Czy mogę pozbawić się takich chwil, takich oczu pełnych wiary, mówiących:

- Daj radę, dasz radę. Przecież potrafisz. My znowu przyjdziemy do ciebie następnym i następnym razem... Czekaj na nas, bo nigdy nie wiesz, kiedy wpadniemy na dłużej lub tylko na krótką chwilę.

Dlatego muszę być i czekać na nich, choć potem opadam z sił, ale warto. To takie piękne uczucie, więc czy mogę się go pozbawić, poddając się?

∞-----∞-----∞-----∞

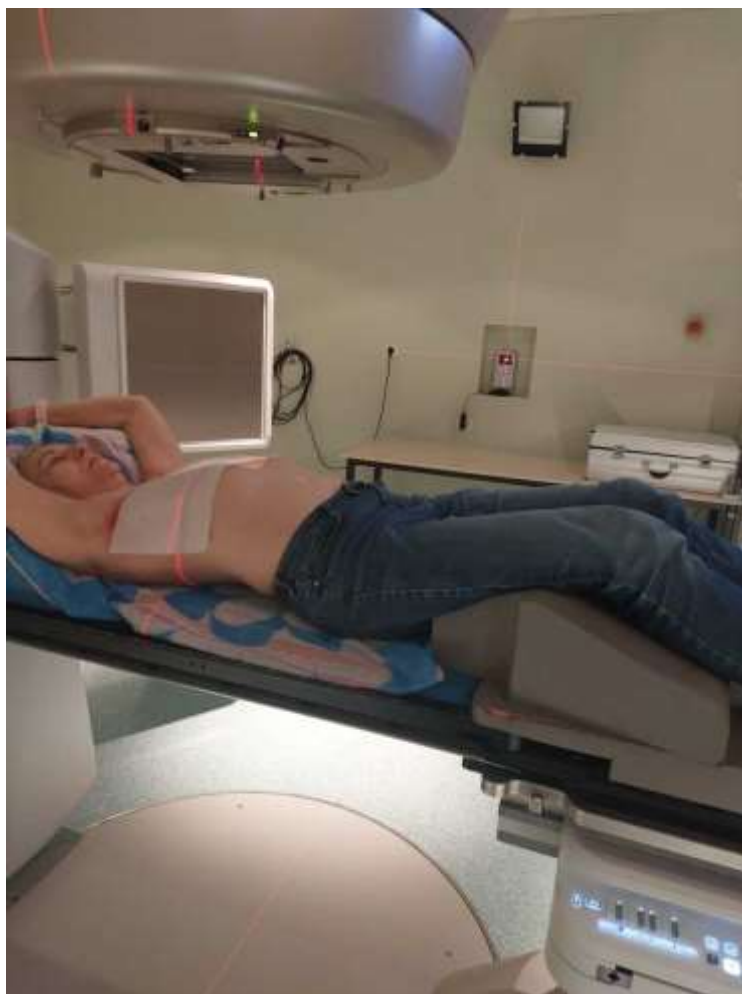
Kolejne dni radioterapii i chemii. Do chemii jestem już przyzwyczajona. Co dwa dni dawka. Wiem, co po niej może się dziać, ale zbytnio się tym nie przejmuję, nie analizuję, nie czuwam, bo i po co. To kolejne dni - raz lepsze, raz trudniejsze. W parze z radioterapią trochę trudniej, bo się czasem nakładają skutki uboczne. Chemia co dwa dni, radio codziennie. Taki mam teraz rytm życia. Powoli wpada mi to w nawyk – to taka rutyna. Czuję się jak zaprogramowany robot. Coraz lepiej rozpoznaję szmer maszyny wysyłającej promienie. Raz szemrze, raz buczy, a innym razem bezgłośnie przesuwa po mnie swoje wiązki. Od czasu do czasu czuję chłodne powiewy powietrza. Pewnie mnie chłodzi. Oto rytuał kolejny. Przychodzę do poradni, skanuję swój kod i siadam w kolejce. Słucham, o czym rozmawiają ludzie. Młodszy i starsi, ale temat ten sam - choroba. Wiem, każdy musi się wygadać. Pacjenci chcą, by ich słuchać, więc ja też słucham z uwagą, od czasu do czasu przytakując i kręcąc głową ze zrozumieniem. Z jednostajności wyrywa mnie głos:

- Pani Bogusława, proszę.

Wstaję i z uśmiechem wchodzę do pracowni. Odkładam dokumentację - rejestr naświetlań - i idę długim korytarzem na miejsce. Wieszaczkę, krzeselko i długie, twarde łóżko z ogromną lampą nad nim. Rozbieram się do połowy i półnaga, z ulubionym ręcznikiem, zmierzam do łóżka. Z namaszczeniem układam ręcznik, ma być mi wygodnie. Powoli układam się. Głowa w odpowiednim miejscu, reszta wzdłuż stołu.

- Nóżki do góry, proszę...

Posłusznie je podnoszę, by wsparły się na podglówku i odciążyły kręgosłup. Wyciągam się jak struna w łuku. Ręce za głową trzymają się kurczowo dwóch drążków. Reszta ciała posłusznie czeka na dopasowanie do tabeli, siatki naświetlań. Posłusznie poddaję się rytmowi ułożenia. Czuję szarpnięcie ręcznikiem - to z jednej strony, to z drugiej... Teraz już wiem, że nie mogę tego wspomagać, więc moje ciało bezwładnie poddaje się zabiegom. Wreszcie jestem gotowa. Wiem, że od tej pory nie mogę się poruszyć, więc leżę nieruchomo jak kłoda w bezwietrzny dzień.



Wiem, że za chwilę wyląduję na mojej klatce zimna, żelowa galaretką. Już się przyzwyczyłam do jej chłodu podczas pierwszych sekund spotkania z rozgrzanym ciałem. Jeszcze przytwierdzenie kostki, która monitoruje mój oddech. Zostaję sama. Łóżko przesuwają się do tyłu. Mam zamknięte oczy, choć nikt nie mówił, że muszę to robić. Dla mnie jest tak bezpieczniej. Słyszę szmer maszyny, lampy, która zdaje się mówić:

- No, Boguśka, zaczynamy. Upieczemy tego raka.

Leżę spokojnie i czekam na komendy.

- Proszę nabrać powietrza.

Nabieram i staram się jak najdłużej je utrzymać.

- Proszę wypuścić i spokojnie oddychać.

Staram się uspokoić oddech i wprowadzić w rytm regularnego oddychania. Już oddycham równo i miarowo.

- Proszę nabrać powietrza i nie oddychać.

Robię to po raz kolejny, słysząc nad sobą szmer przesuwającej się lampy. Od czasu do czasu omiata mnie chłodne powietrze na zmianę z uczuciem przyjemnego ciepła. Coraz lepiej oddycham i udaje mi się coraz dłużej być na wdechu. Początki jednak nie były takie łatwe. Kręciło mi się w głowie. Czułam, że krew nie dochodzi do mojego mózgu. Teraz już wiem, jak oddychać, aby nie mieć takich odczuć. Nie są przyjemne. Zapala się światło. Widzę to przez zamknięte oczy. Chwilę ciszy przerywa

chrobot przesuwającej się lampy. Wiem, że to już koniec, ale cierpliwie czekam, kiedy wysunę się spod maszyny. Lekkie drgania. Jadę do przodu. Pielęgniarka, a właściwie to technik, odkleja kostkę. Wreszcie zdejmują nagrzaną od ciała galaretkę. Czuję lekki chłodek w tym miejscu. Podglówek zabierany jest spod nóg. Powoli siadam i czekam, aż przestanie mi się kręcić w głowie. Bezwiednie zakrywam dłońmi moje nagie piersi, a właściwie pierś i miejsce po drugiej. To jest odruch. Nie wiem, może ktoś pomyśli, że głupi. Z pewnością będzie miał rację. Przecież przed chwilą leżałam półnaga... To jest silniejsze ode mnie. Chyba każda kobieta tak reaguje, choć o to nie pytałam, bo i jak mam zadać pytanie:

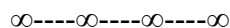
- Czy pani zakrywa swoje nagie piersi?

Tyle razy obnażałam się przed lekarzami w trakcie badań, na stołach operacyjnych, w trakcie zmian opatrunków i zdejmowaniu szwów. Tyle razy, ale za każdym razem ten sam odruch - zasłonić jak najszybciej, gdy nie potrzeba. Dla lekarzy to norma, ale dla mnie to duże przeżycie. Za każdym razem jest tak samo.

Mój najbardziej wystający guz jest jak kameleon. Raz jest czerwony, by po chwili zblednąć. Raz granatowy lub bordowy. Bawi się ze mną? Nie zastanawiam się, czy to dobrze, czy źle. Po prostu tak jest, taka reakcja na naświetlania.

Coraz częściej odczuwam syndrom bliźniaczej piersi. Opisywałam go już chyba wcześniej. Miejsce naświetlań czasami bardzo boli i piecze, ale daję radę. Chcę tylko dotrzymać do końca i przyjąć w całości 30 frakcji. Moja bliźniacza pierś - zdrowa - daje takie same odczucia, ból i pieczenie.

Wiem, że w niej nic się nie dzieje, ale tak właśnie reaguje. Ból podwójny. Syndrom bliźniaczej piersi działa i jest bardzo realny. Nie wiem, czy inni tak odczuwają. Żadna pacjentka o tym nie mówiła, więc tak może działa tylko u mnie? Taka nietypowość i dziwna reakcja organizmu. Syndrom bliźniaczej piersi - tak nazwałam tę właściwość u siebie. Może nazwa wejdzie do kanonu medycznego?



Pisałam, że życie wśród ludzi dodaje mi siłę, dlatego też przez cały czas pracuję. Daję innym radość, poczucie bliskości oraz wiarę, że nie są sami. Są ważni dla mnie i dla innych bez względu na to, kim są. Wiem, że tak jest. Widzę to w ich oczach, uśmiechu i zachowaniu.

Grudzień to pora na takie działania. Okres przedświąteczny. Dla niektórych szczęśliwy, dla innych pełen smutku, bo są sami, schorowani, bez nadziei na życzliwość innych. To dla nich przygotowałam spotkanie „Wspólne kolędowanie”. Wymagało to ode mnie dużo pracy, ale cóż, warto było. Przygotowałam śpiewnik z kolędami i pastorałkami dla każdego uczestnika spotkania. Zaprosiłam zespół, z którym mieliśmy wspólnie śpiewać. Dziewczyny i panowie z zespołu to cudowni ludzie, seniorzy. Wielokrotnie z nimi współpracowałam. Zawsze uśmiechnięci, pełni energii i szczęśliwi, że mogą dać radość innym. Przyszli wcześniej, by zrobić ostatnią próbę w pięknych świątecznych strojach. Przygotowałam salę i z niepokojem czekałam na gości - kto zechce przyjść i zasiąść na krzesłach? Niepokój jest zawsze. Zbliżał się czas. W oddali usłyszałam gwar. Już wiedziałam, że są, przyszli pełni nadziei. Seniorzy, niektórzy schorowani, zmartwieni, smutni i zrezygnowani. Wśród nich znalazło się kilkoro młodych, sceptycznie nastawionych osób. To duże wyzwanie dla mnie, aby miło spędzili ten nasz wspólny czas. Wiedziałam, że niektórzy byli z Domu Pomocy Społecznej, inni samotni bez rodzin i przyjaciół. Muszę dać im odrobinę szczęścia i pokazać im, że są dla mnie bardzo ważni.

Wzięłam głęboki oddech i rozpoczęłam spotkanie, wspólne kolędowanie. „Witam państwa bardzo ciepło i serdecznie. Jest to szczególny czas - czas, w którym spotykamy się przy wspólnym stole z najbliższymi. Dla niektórych z nas jednak jest to bardzo trudny moment, bo wiemy, że nie wszyscy zasiądą przy wspólnej Wigilii. Nie będzie ich z nami, bo los zdecydował inaczej. Odeszli i zostawili nas w bólu. Wiemy, że nigdy już ich nie przytulimy, nie pocujemy ich ciepła, ale wiemy, że zawsze pozostaną w naszych sercach. Dla nich zawsze jest nakrycie przy stole i krzesło z różą na siedzeniu. Z nimi też podzielimy się opłatkiem, pozostawiając go na ich talerzach”. Głos załamywał mi się coraz bardziej. Zamilkłam i krople łez pojawiły się na moich policzkach. Przy moim stole też zabraknie najbliższych, w tym Miśka - osiemnastolatka, który odszedł w tym roku.

Każdy z obecnych przeżyje podobną sytuację, więc potrzebny był ten wstęp, aby wiedzieli, że będę cierpiała tak jak oni. Będę w tym czasie jedną z nich. Gdy milczałam i ocierałam łzy, obserwowałam obecnych. Byli zamyśleni, nieobecni w tej chwili, jakby przeżywali ten nadchodzący czas. Wielu z nich ocierało łzy, początkowo dyskretnie. Potem już spontanicznie bez obaw, że ich ktoś nie zrozumie. To było tak jak ze mną - silniejsze od nas. To było nasze oczyszczenie. Mogłam kontynuować spotkanie. Wzięliśmy wszyscy głęboki oddech. Przeżyliśmy ten trudny moment. Zaczęłam mówić dalej. Już spokojna, z uśmiechem na twarzy i w oczach.

„- Jestem szczęśliwa, że zechcieliście spędzić ze mną czas. Bardzo proszę zostawić za drzwiami wszystkie troski. Nie myśleć o tym, co jest za nimi. Zamykam te drzwi. Jesteśmy tylko tu i teraz. Razem wszyscy dla siebie. Trzymam w ręce gałązkę świerkową, jeden z symboli świątecznych. Proszę zamknąć oczy, wziąć głęboki oddech i poczuć jej zapach. Czy czujecie państwo jej woń, zapachy potraw świątecznych, rozchodzące się wokół?”

Przestałam na chwilę mówić. Zobaczyłam ich przymknięte powieki. Z rozkoszą wciągali pełną pierś powietrze, jakby faktycznie czuli te wszystkie zapachy. Z pewnością wyobrażali je sobie, a być może wspominali przygotowania świąteczne. To był cudowny widok. Wiedziałam już, że będzie to udane spotkanie. Spotkanie dla nich i z nimi. Choć gałązka świerkowa faktycznie pięknie pachniała, umorusała mi ręce żywicą, wcale mi to nie przeszkadzało, choć dłonie bardzo mi się kleiły. Kiedy oddechy obecnych się uspokoiły i stały się miarowe, a na twarzach niektórych pojawiły się pierwsze uśmiechy, kontynuowałam wypowiedź:

- Mówiłam, że ta gałązka świerkowa z kroplami żywicy cudownie pachnie. Daję ją państwu, abyście poczuli jej prawdziwy zapach i dotyk.

Podawałam ją pierwszej osobie w rzędzie. Długo napawała się jej zapachem. Przytuliła do swojej piersi. Widziałam, że oczy się jej zaszklily. Po chwili podała ją dalej ze słowami:

- Proszę, niech ona wróci do mnie.

Kolejne osoby podawały ją sobie. Każda z nich z namaszczeniem chłoneła jej zapach. Nikomu nie przeszkadzało, że kłuła, a żywica sklejała palce. Odczekałam chwilę. Dałam im czas. Nie spodziewałam się takiej reakcji. To było piękne. Gałązka wróciła do pierwszej pani. Tulila ją jak najpiękniejszy prezent, a to przecież tylko darowana, otulona żywicą, gałązka świerkowa. Zawołała mnie do siebie i powiedziała cicho:

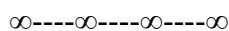
- Dziękuję, zabiorę ją ze sobą. Ten zapach będzie mi przypominał dzisiejsze spotkanie.

Uścisnęła moją dłoń. Była ciepła i cała drżąca. Przez moje ciało przeszedł żar aż do serca. Chwilę stałam pochylona nad nią. Po chwili przytuliłam ją do siebie, oddając jej swoje ciepło. Czułam jej spokojny oddech i krople łez na swoich dłoniach. Wydawało mi się, że ta chwila trwa długo. Odczekałam, aż jej uścisk złagodnieje, aż wypuści mnie ze swojego świata.

Śpiewaliśmy wspólnie kolędy. Początkowo nieśmiało i nieliczni. Z czasem cała sala dołączyła się do śpiewu. Jedni śpiewali cicho, niepewnie, inni głośno, pełną piersią. Na ich twarzach malował się coraz piękniejszy uśmiech - uśmiech szczęścia, radości i zadumy. To był piękny wieczór dla nich i dla mnie. Wiem, że nie będą się już czuli samotni, przecież umówiliśmy się na kolejne spotkanie. Na zakończenie powiedziałam:

„- Dziękuję, że byliście. To wy mi dajecie siłę do walki, więc musicie być na kolejnym naszym spotkaniu.”

Wiem, że to stwierdzenie nie było dla nich zrozumiałe, ale dla mnie było ważne. W tych trudnych czasach potrzeba tak niewiele, aby kogoś uszczęśliwić, dać poczucie spokoju, pewności siebie i wiary w drugiego człowieka. To tylko uśmiech, błysk w oczach, szczere spojrzenie na drugą osobę. To przecież nic nie kosztuje, a jest tak bardzo deficytowym dobrem. To jest w zasięgu każdego z nas, więc może warto?....



Kolejne święta u córki z całą rodziną. Czekam na nie z utęsknieniem. Wiem, że będzie cudownie i Elizka stanie na wysokości zadania. Tak też było. W kominku płomyki tańczące na drwach. Migająca choinka i wszechobecne ozdoby świąteczne. Stół bardzo elegancki i wszędzie unoszące się zapachy i te cudownie kolorowe pierniczki, które przygotowywali z całą rodziną.





Na moment wyłączyłam się. Wszystko jest jakby w oddali, poza mną. Aż dziwne, że nauczyłam się to robić. Z zamyślenia wyrrywają mnie głosy dzieci. To syn ze swoją rodziną. Robi się gwarno i ciepło. Uwielbiam takie chwile, kiedy są wszyscy, kiedy mogę ich tulić, czuć ich zapach, ciepło i słuchać ich głosu. Rozpromienione twarze wszystkich bliskich i ten błysk w oczach dzieciaków w oczekiwaniu na prezenty. Z drugiej strony ukradkiem wyzierające z oczu dorosłych żal, złość, niezmierny smutek. Te święta są dla nas trudne, bez Miśka. W takich chwilach czujemy nasze krwawiące serca. No, ale cóż, trzeba żyć dalej dla dzieci i dla nas samych.

Przepyszna kolacja. 12 potraw, tradycyjnie, liczyłyśmy je z Julą, także jest symboliczne sianko pod obrusem. Łamanie się opłatkiem i składanie życzeń. Życzeń nadziei. Nikt z nas, dorosłych, nie umie jeszcze powstrzymać napływających łez, więc lecą leniwie, ukradkiem po naszych twarzach. Jest to silniejsze. Nie umiemy jeszcze normalnie funkcjonować. Myślę, że nigdy to nie nastąpi, więc niech nasze łzy i łamiące się głosy dadzą odrobinę oczyszczenia. Niech lecą. Łez nie można się wstydzić i ich powstrzymać. Te chwile szybko mijają i wspólnie celebруем piękny czas, nasz czas.

Dzieciaki wprowadzają radosny nastrój. Rozdają prezenty, a my, dorośli, siedzimy przy stole i z zachwytem przyjmujemy podarki. Po chwili zapada spokój. Słysząc tylko rozrywany papier i odgłosy zachwyty. Cudownie jest patrzeć na szczęśliwe dzieci. To był cudowny wieczór POMIMO.

∞-----∞-----∞-----∞

2023 rok

Otrzymałam życzenia świąteczne i noworoczne.

"Boguniu moja kochana, zawsze znajdziesz coś takiego, że mi serce ściska. To Ty zasługujesz na wszystko, co najlepsze, bo to Ty myślisz tylko o innych, a nie o sobie. To, co robisz dla siebie, to zawsze jest spowodowane myślami o innych. Chcesz być zdrowa dla innych, dla dzieci, dla rodziny... Życzę Ci, abyś chciała być zdrowa dla siebie, bo trzeba żyć i korzystać z życia tyle, ile się da. Życzę Ci jak zwykle siły i wytrwałości. Zawsze jestem i będę, wystarczy jedno słowo, a będę przy Tobie. Pamiętaj."
Jola D.

∞-----∞-----∞-----∞

Nowy Rok to nowe rozdanie kart, to na nowo wysłany kupon loteryjny. Może tym razem wygram w pełni, choć przez cały czas wygrywam, bo jestem i jestem kolejny miesiąc, kolejny rok. Zostawiam w Starym Roku strach, ból, beznadziejność. Niech będzie to tylko już przeszłością. Pierwszy dzień Nowego Roku. Jaki będzie ten rok? Nie wiem. Mam nadzieję, że łatwiejszy. Nie powiem, lepszy czy gorszy, bo to dla mnie nie są jednoznaczne pojęcia. Niech będzie łatwiejszy. Niech da mi siłę, wytrwałość i poczucie pewności, że będzie w miarę dobrze. Moim bliskim spokojem i małym zmartwieciem z mojego powodu. Tak ma być, tak będzie POMIMO.

∞-----∞-----∞-----∞

Pierwszy dzień Nowego Roku. Staję rano przed lustrem. Widzę w nim dwie Boguśki obok siebie. Takie same, choć różne w środku. Jedna delikatna, ze strachem w oczach. Druga silna, twardo stąpająca po ziemi. Rozpychająca się łokciami przez życie, tak trudne i bolesne dla niej. Nie daje za wygraną POMIMO.

Muszę coś zmienić od tego roku. Postanowiłam, że będę pisała ze swojej perspektywy o sobie. Cokolwiek to znaczy. Czyli ONA to JA.

∞-----∞-----∞-----∞

Pierwszy dzień nowego roku. Przepiękny, choć chłodny poranek. Słońce nieśmiało przedziera się przez chmury. Da radę. Rozbłyśnie na błękitnym niebie. Jak każdego dnia, poranna kawa podana do łóżka rozbudza zmysły po nieprzespanej nocy. Długo delektuję się jej smakiem i aromatem.

- Jak spędzić ten pierwszy dzień? Musi być fajny, aby takie były też następne - pomyślała. Zaproponowała wycieczkę do parku w Bukowcu. Uwielbiała go. Jego zakamarki, kręte ścieżki, zza

których za każdym razem odkrywała coś ciekawego, innego, niesamowitego. To był dobry pomysł. Jechała powoli, podziwiając krajobrazy, choć doskonale je znała. Rozpocząła nowy, kolejny rok. Przyjechali na miejsce. Zaparkowała w swojej zatoczce. Rozejrzała się wokół. Było niewiele samochodów, więc i spacerowiczów też.

- Świetnie, nikt nie będzie mnie trącał. Będzie cisza i spokój - powiedziała cicho. Dzisiaj nie chciała tłumów, choć uwielbiała ludzi, ale dzisiaj chciała być sama ze sobą.

- Idź na swoje pagórki, ja nie dam rady chodzić po nich. Zostanę na dole. Idź, dam radę sama - powiedziała stanowczo do męża.

Doskonale znała wąskie i kręte ścieżki. Wiedziała, gdzie chce iść. Słońce przedzierało się przez nagie konary rosnących drzew. Jedne dumnie stojące, wyprostowane, inne pochylone, jakby kłaniały się przed nią. Jeszcze inne, zdawało się, że wyciągają swoje konary jak ręce, dłonie, mówiąc do niej:

- Chodź, przytulimy cię, ochronimy, schowamy. Chodź, to będzie piękny dzień.

Wolno szła. Nie miała siły na szybki spacer, a może tak właśnie chciała. Z rozkoszą wciągała rześkie powietrze. Co pewien czas zatrzymywała się. Zamykała oczy, a jej twarz szukała ciepła promieni słonecznych. Po chwili szła dalej, a razem z nią jej myśli. Z uwagą omijała korzenie drzew, które jak żyły i tętnice ludzi wiły się, wystając ponad grząski grunt, omijając kamienie i pnie drzew. To był niesamowity widok. Korzenie drzew jak krwiobieg rysowały przedziwne obrazy. - Szkoda, że nie umiem rysować. Byłby to piękny obraz malowany naturą - pomyślała z żalem. W oddali błyszcząca tafla wody. Szła w jej kierunku. Wiedziała, że są to splecione ze sobą stawy, otoczone falującymi trzcinami. Słyszała ich szelest. To on ją prowadził. Pod stopami chrząścił żwir, którym wysypane były ścieżki. Za każdym krokiem inaczej. Ciszej, głośniejszy, gwałtowniej lub rozciągając się w czasie. Lubiła taką muzykę.

Dotarła wreszcie nad brzeg stawu. Stała z dala od niego. W oddali majaczyły sylwetki pierwszych spacerowiczów. Ruszyła brzegiem, słuchając szelestu gęstych trzcin, który stawał się coraz głośniejszy.

- Chodź, nie bój się. Posłuchaj naszej muzyki, przecież ją sama tworzysz w swojej głowie. Podamy ci nowe tony do twoich utworów.

Poddała się chwili. Szła wolno, ale coraz pewniej. Była już bardzo zmęczona. Musiała odpocząć, ale w pobliżu nie było żadnej ławeczki. Z daleka, zza zakrętu dostrzegła majaczącą drewnianą ławkę. Była zbita z paru desek opartych na pieńkach drzew.

- No, świetnie, będę mogła odpocząć - powiedziała do siebie cicho.

Kiedy była już blisko niej, zdała sobie sprawę, że stoi nad samą skarpią, za którą widniała toń wody.

- Zbyt blisko, nie usiądę, grunt mokry, skarpa stroma. Mogę wpaść - myśli kołatały się w jej głowie.

Tak bardzo bała się wody, choć sama nie wiedziała, skąd w niej taki strach. Stała w bezpiecznej odległości. Spoglądała na tafnię wody, w której nurzały się promienie słońca. Wzięła głęboki oddech.

- Przecież drewniana ławeczka nie może mnie pokonać. Z warszawską wieżą dałam radę, więc i tu muszę dać - mówiła w duchu.

Zbliżyła się do niej. Złapała za nagrzane słońcem drwa i ostrożnie usiadła, trzymając się mocno. Bała się spojrzeć pod swoje nogi, więc spojrzała przed siebie. Zobaczyła stada kaczek, bawiących się na wodzie. Obok nich dwa dumnie płynące łąbędzie, splecione miłością do siebie. Pilnowały się, aby żadne z nich zbyt nie oddaliło.





Przypominali jej parę z kawiarni Mozaika. Hałaśliwe kaczki przypominały o sobie. Co chwilę nurkowały, pokazując swoje kuperki. Inne odlatywały, by osiąść w innym miejscu. Siedziała coraz pewniej. Coraz mniej bała się czeluści wodnej.

- Przecież jest pięknie. Nie może mi się nic stać - myślała.

Na początku skulona i spięta, coraz bardziej się rozluźniała, chłonęła piękno i życie przed nią. Zamknęła oczy, odchyliła się lekko do tyłu. Wyprostowała plecy i dumnie siedziała na drewnianej, oblanej blaskiem słońca ławeczce, ławeczce, która rzuciła jej wyzwanie. Pewna siebie oddychała, chłonąc z rozkoszą każdy łyk powietrza. Słuchała muzyki traw, przekomarzających się kaczek i nawołujących się łabędzi. Jej twarz, oświetlona ciepłem promieni słonecznych, była bardzo spokojna, rozpromieniona i gorąca. Czowała spokój, rozpluwający się po jej organizmie. Z nostalgii wytrącił ją gwar zbliżających się ludzi i radosny śmiech dzieci.

- Pora wstać i iść dalej. Dalej ku słońcu - powiedziała do siebie.

Wstała pewnie i lekko chwiejnym krokiem ruszyła dalej. Zbliżał się czas powrotu do domu. Pojawiało się coraz więcej spacerujących i głośno zachowujących się ludzi, a tak było pięknie. Wiedziała jednak, że każdy z nich chciał spędzić ten dzień w parku pełnym tajemnic. Wracając do samochodu, słyszała rozmowy w różnych językach.

- Niech spacerują. To piękny, słoneczny dzień, dający nadzieję wszystkim, niezależnie od tego, kim są i w jakim języku mówią.

- Miłego dnia - mówiła do nich w myślach i z uśmiechem na twarzy.

To był piękny dzień, nie tylko dlatego, że świeciło słońce, ale dlatego, że mijający się ludzie uśmiechali się do siebie, skłaniając głowę w powitaniu. Więc jednak można być obok, a zarazem z innymi. Oby tak było przez kolejne dni roku. Może ludzie staliby się lepsi? Bardziej przyjaźni dla innych i dla siebie?

Wrócili do domu. Zrobiła gorącą herbatę z cytryną. Piła małymi łykami. Ciepło docierało do każdego zakątka jej ciała. Robiło się coraz cieplej. Wzięła swoją ulubioną poduszkę i ułożyła wygodnie na kanapie. Otuliła się ciepłym kocem. Czowała się bezpiecznie, jak w kokonie, ciepłym i oddzielającym od świata zewnętrznego. Skuliła się jak jeszcze nienarodzone dziecko. Odetchnęła głęboko. Zamknęła oczy. Zasnęła, pozostając w swoim wymiarze bez bólu i troski o siebie, a właściwie i najbliższych. Jak się potem dowiedziała, jej twarz jaśniała spokojnym uśmiechem.



Dni szybko mijały, wyznaczone rytmem codziennych naświetlań, co drugim dniem chemicznym i co dwutygodniowymi wyjazdami do Warszawy. Wiedziała, jaki jest dzień tygodnia. Poniedziałek, środa, piątek - chemia. To weszło w jej nawyk. Żartowała czasami, że nie można ich pomylić i zapomnieć, bo organizm się tej toksyny domagał. Bywało różnie, ale zawsze z uśmiechem odpowiadała na pytania:

- Boguniu, jak się czujesz?

- Jak zwykle świetnie - odpowiadała.

Często taka odpowiedź denerwowała innych.

- No, ale powiedz prawdę, nie denerwuj mnie. Mów, jak jest - słyszała często.

Co miała odpowiedzieć, że ma już dosyć, że nie ma miejsca na jej ciele, którego nie odczuwa. Jak miała określić swój ból - mały, średni czy duży. W jakiej skali miała go określać. Nie umiała, a raczej nie chciała o tym mówić, więc zawsze czuła się świetnie POMIMO.

Piąty tydzień naświetlań zbliżał się do końca coraz bardziej, dając o sobie znać. Naświetlana przecież była połowa klatki piersiowej. To duży obszar. Niektóre miejsca po raz drugi. Przez cały czas myślała, że żelowa nakładka chroni, osłania skórę. Myliła się. Wypytała techników, jaki to rodzaj naświetlań i co daje ten żel. Usłyszała bardzo rzeczowe wyjaśnienia:

- To napromieniowanie na głębokim wdechu DIBH z wykorzystaniem Bolusa (to ta żelowa nakładka).

Mogła wcześniej spytać, a może podświadomie nie chciała, bo i po co. Łatwiej było mieć przeświadczenie, że to ją chroni. Jeszcze dokładniej to radioterapia radykalna z bramkowaniem oddechowym fat 6 MeV. Nowe dla niej sformułowania. Czym był ten Bolus?

"Bolus - materiał stosowany w radioterapii megawoltowej w celu wyrównania rozkładu dawki w ciele pacjenta, zwiększenia jej wartości w strukturach ciała pacjenta położonych płytko, dla których krzywa procentowej dawki na głębokości jest na głębokości narastania. Bolus jest przykładany bezpośrednio na skórę pacjenta" (Wikipedia). Krótko mówiąc, żel zwiększał dawkę promieni na skórze. Przecież miała ją cienką i delikatną, a pod nią żebra i płuca. Teraz już wiedziała, dlaczego zaczynała z trudem znosić naświetlania. Skóra była bordowa, pokryta licznymi bąblami, które co jakiś czas pękały i pojawiały się w innych miejscach. Sączyła się z nich przezroczysta ciecz, która przyklejała się do bielizny. Miejscami sączyła się ropa. Paskudny widok. No, ale cóż, dawała radę. Każdy ruch powodował odrywanie skóry od przewiewnej koszulki, która jak opatrunek przez cały czas przyklejała się do ropiejącego ciała.

Zaciskała zęby i dawała radę, tak jak ona to potrafiła, nie dając poznać innym, co się dzieje faktycznie. Nie mogła nosić biustonosza, bo przecinał ciało zmęczone naświetlaniami. Powodował dodatkowy ból. W domu go nie nosiła, zakładała obszerne swetry, ale do pracy musiała opasać się biustonoszem. To było dobre dla jej psychiki. Klatka piersiowa wyglądała normalnie. Zaczął się szósty tydzień pochłaniania promieni. Szła codziennie powoli do przychodni, jakby chciała odwlec czas naświetlania. Przecież to było niemożliwe. Wiedziała o tym. Miała wyznaczoną godzinę, więc nie mogła się spóźnić. Posłusznie powtarzała czynności kończące się ułożeniem na stole/łóżku w pracowni radiologicznej. Miejsce naświetlań wyglądało brzydko, a nawet bardzo nieładnie. Nie chodziło o estetykę, ale o skutki uboczne. Często słyszała pytania:

- Daje pani radę? - mówiła techniczka szczerym, zatroskanym głosem, czyniąc swoje procedury.

- Coraz gorzej, nie wiem, czy dam radę do końca - odpowiadała spokojnie.

- Proszę próbować dotrzeć do końca. Wiemy, że to dla pani ogromny wysiłek, ale przecież jest pani uparta i tyle trudnych rzeczy pokonała. Proszę dotrzeć i nie przerywać zabiegów - mówili. Odetchnęła głęboko i stanowczym głosem odpowiadała:

- Oczywiście, dam radę. Dam radę kolejny i kolejny raz.

Uśmiechali się do niej ciepło i z uznaniem. Wiedzieli, co czuje za każdym razem. Tym uśmiechem dodawali jej siłę, więc leżała i wyobrażała sobie wylegiwanie się na plaży. Jeżeli miałyby powiedzieć, co było najgorsze, odpowiedziałyby, że wieczory i poranki.

Dlaczego?

Co wieczór zamykała się w łazience, aby się wykąpać, oczyścić rany i zasmarować je maścią ze sterydami. Ktoś może spytać, dlaczego się zamykała? Nie był to widok dla innych. Wystarczyło, że sama go codziennie oglądała. Po co taka „przyjemność” serwowana najbliższym. Będą przerażeni, a mnie nie pomogą. Nie będą w stanie, no bo i jak? Więc po co im pozwalać na takie emocje. Mówiła im,

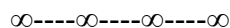
jak to wygląda, ale nie pokazywała. Nie chciała, aby w ich oczach, pamięci pozostawał taki widok i uczucie bezsilności.

Woda łagodnie i powoli spływała chłodnym strumieniem po jej ciele. Wzięła gazę i delikatnie myła ropiejącą rozległą ranę. Znała to uczucie doskonale. Krople wody zatrzymywały się w zakątkach zmian. Błyszczały jak krople rosy w porannym słońcu. Wiedziała, że będzie je musiała osuszyć. Delikatnymi dotknięciami białej gazy zbierała krople wody. Na gazie już nie błyszczały tak bardzo. Nie było ich wcale. W zamian pozostawały fragmenty skóry. Wiedziała, że musi to zrobić dokładnie, by na jej miejscu odradzała się nowa. Za jaki czas? Nie wiedziała.

Wieczorny rytuał dobiegał końca. Jeszcze maść. Delikatnie rozsmarowała ją na swoich dłoniach, by po chwili przenieść na swoje ciało. Nie mogła rozsmarowywać, zbyt duży ból, więc łagodnie, niemal z miłością, dotykała dłońmi swoich ran, przenosząc maść na ich powierzchnię. Gdy kończyła, na dłoniach pozostawały kawałki spalonej skóry. Nie przyglądała się im, bo i po co. Umyła dokładnie dłonie i półnaga położyła się na łóżku. Musiała poczekać, aż maść wsiąknie. Potem nakładała ostrożnie bawełnianą obszerną koszulkę.

- Teraz tylko szybko zasnąć - myślała.

Wzięła tabletkę nasenną i spokojnie czekała, aż oczy same zaczną się zamykać. To było dla niej cudowne uczucie, kiedy powoli odpływała i, już w półśnie, słyszała dalekie odgłosy życia. Coraz spokojniej oddychała. Coraz mniej czuła. Zapadała w sen. W sen, który był dla niej wybawieniem.



Jej sen nie był zbyt długi. Spała coraz krócej. Może jej organizm już przyzwyczał się do tabletek, choć były dość mocne. Nie chciała brać silniejszych. Chciała panować nad sobą, a te mogłyby ją otumaniać, więc tłumaczyła sobie, że tyle snu jej potrzeba. Spała głęboko 2, 3 godziny. Reszta nocy to taki senny letarg. Może być. Leżała nieruchomo, ciągle zamykając wciąż otwierające się oczy.

- Nie, jeszcze śpię. Proszę mnie nie budzić. Jeszcze parę godzin - mówiła w myślach. Zdarzało się, że oczy niekiedy słuchały, to chyba powodowała siła woli; zamykały się cicho, stawały się ciężkie i kleiste... To, dlatego nie mogła ich rano otworzyć. Były jak sklezione zapomnieniem...

Trzeba było już wstawać, bo zaraz zacznie się gwar roześmianych wnucząt, które ranki spędzają u nich przed lekcjami. Musiała być pierwsza, by być uśmiechniętą i zadowoloną babcią. Powoli rozciągała swoje skulone, senne ciało. Czuła, jak kolejne miejsca odrywają się od koszuli. No, już chyba całość. Zdejmuje piżamę. Na jej wnętrzu, jak zwykle, dostrzegła ostatnie resztki odklejonej skóry, zaschniętej ropy i coś jeszcze. Nie przyglądała się. Wrzuciła ją do prania. Każdego dnia trzeba nakładać nową. Poranna toaleta, maść i uśmiech na twarzy. Zajęta jest już tylko dziećmi. To one są ważne w tym momencie. Zapomina o bólu, a tak właściwie to nie jest on w tej chwili najważniejszy. Umiała to robić. Poranna krzątania z dziećmi. Uwielbiała to robić. Uwielbiała patrzeć, jak ze smakiem jadły śniadanie. Mogła się tego pozbawić z powodu grymasu bólu na twarzy? Młodzi do szkoły, a ona do pracy. Uśmiechnięta i lekka dla innych. Zamyka się w swoim pokoju. To jej azyl. Zabiera się do pracy. Czas szybko mija podczas planowania kolejnych wydarzeń służbowych. Nie jest lekko, ale już tam, w pokoju, może zdjąć maskę zadowolenia i lekkości. Jej twarz szarzeje, a uśmiech

znika z twarzy. Co jakiś czas pojawia się grymas bólu, złości i bezsilności. To jednak nie przeszkadza jej solidnie pracować.

Już czas na kolejne naświetlanie, oczywiście po pracy. Zbiera się w sobie i idzie do samochodu. Usadawia się wygodnie i bezpiecznie. Pasy uwierają ranę, a obolała ręka i bark utrudniają prowadzenie auta. Każda zmiana biegów to duży wysiłek, ale potrafi sobie z nim radzić i bezpiecznie jechać. Przecież jedzie i dojedzie wszędzie tam, gdzie potrzebuje. Po raz kolejny poddaje się procedurze, zaciskając mocno dłonie na drążkach za głową.

Po naświetlaniu następuje wizyta u lekarki, która ogląda zmiany i współczująco kręci głową:

- No, nieładnie to wygląda. Duże skutki uboczne – mówi.

- Tak, pani doktor, nie jest fajnie. Mam już dosyć. Czasami, a właściwie codziennie, nie dają już rady. Może skrócimy naświetlania? Może te parę ostatnich dni to nic takiego? – mówiła, patrząc prosto w oczy lekarki, jakby czekała, że odpowie:

- Dobrze, możemy skrócić i przestać.

Niestety, tego nie usłyszała.

- Szkoda przerywać. Dobrze jest przyjąć całą dawkę. Niech pani spróbuje dać radę jeszcze jeden dzień. Jutro zobaczymy - mówiła ciepło i spokojnie.

- Dobrze, pani doktor, jeszcze jutro i zobaczymy - odpowiadała.

- Przecież nie jestem tchórzem. Jeszcze jutro i zobaczymy - powtarzała w myślach.

Tak było za każdym kolejnym i następnym dniem.

- Jeszcze jeden dzień. Szkoda, tyle już pani dała radę. To już końcówka. Proszę. Damy radę - mówiła lekarka, patrząc prosto w jej oczy.

Wytrzymała całe sześć tygodni zbawiennych dla niej lamp, ale czy na pewno zbawiennych?...

Rany, jak zwykle u niej, szybko się goiły, choć pierwsze dni po zabiegach były bardzo trudne. Gdy koleżanka ją spytała:

- Boguniu, jak się czujesz?

- Gdybym wiedziała, jaka będzie końcówka, to nie wiem, czy bym się na to zdecydowała - odpowiadała.

Teraz jest już coraz lepiej. Pozostał granatowy, wystający, spory guz. Z pewnością ugotowany, ale dający duży dyskomfort i oczywiście, jak zwykle, paskudny ból, który rwał, palił, targał, kłuł punktowo lub na połowie klatki.

- Czy to możliwe, aby cały czas żyć z nim jak z nieproszonym gościem? – myślała.

- Tak, można, jeżeli o tym gościu potrafimy czasami zapominać, pozostawiając go w innym pomieszczeniu - odpowiadała sama sobie.

∞-----∞-----∞-----∞

Zbliżał się Dzień Babci. Zastanawiała się, czy przyjdą wnuczeta, czy może tylko zadzwonią z życzeniami. Podświadomie wiedziała, że przyjdą, tylko nie wiedziała, czy pojawią się wszyscy razem. Odpoczywając, w półśnie, usłyszała na klatce schodowej tupot małych i dużych stóp. Wiedziała już, że to oni. Szybko wstała, poprawiła swój wygląd. Spojrzała w lustro. Ach, jeszcze błysk w oczach i uśmiech. Wiedziała, że nie może być zbyt duży, bo ciepło dzieci zwielokrotni go. Musi się zmieścić na twarzy. Małeńki, ciasny już dzisiaj przedpokój (dzieci bardzo urosły!), wypełnił się gwarem,

uśmiechami i radością gości. Młodszych i starszych, ich rodziców. Słuchała przepięknych życzeń. Chłoneła każde słowo, by je zapamiętać jak najdłużej. Gorące przytulanki, wszechobecny uśmiech i ich ciepło. Po pewnym czasie spontanicznie potworzyły się podgrupki. Starsi, młodszy. Julia z Klarą i młodzież - Maja z Wiktorem. Rozpierzchli się po całym małym mieszkaniu. Julia wymyśliła słowa piosenki i w tajemnicy z Klarą układały melodię, a potem dały wspaniały występ. To była ich i nasza premiera.

Słowa piosenki:

Moja Babcia ukochana, ciasta, rosół robi i do szkoły odwozi.

Wie, co tam w świecie dzieje się, bo dobrze zna się na Internecie.

Ref: Moja Babcia ukochana, rozbawiona, roześmiana, teraz ja zrobię obiad i pyszne naleśniczki.

Tu, Tu...

Mój Dziadek ukochany odprowadza mnie do szkoły, kupuje mi ciasteczka i pierniczki.

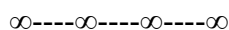
Ref: Mój Dziadek ukochany, rozbawiony, roześmiany, teraz ja zrobię obiad i pyszne naleśniczki.

Tu, Tu...

- Muszę przyznać, że piękne słowa i świetna melodia. Dziewczynki dały radę - powiedziała rozbawiona.

- Szkoda, że nie zapisałam nut, chociaż wszystko mamy nagrane, więc będę mogła do tego wracać - mówiła z promiennym uśmiechem w głosie.

Popołudnie było cudowne. Cała rodzina w komplecie, razem ze sobą. Czy mogła się tego wcześniej pozbawić, nie walcząc o siebie? Z pewnością nie! Trzeba walczyć do utraty tchu właśnie dla takich chwil, dla siebie i swoich najbliższych.



Na grudniowym spotkaniu obiecała seniorom kolejne wspólnie spędzone popołudnie. Spotkanie przy muzyce karnawałowej. Czy musiała dotrzymać obietnicy? Na pewno tak. Dla nich, dla ich ufego spojrzenia, dla wiary w ludzi. Jeśli ktoś im coś obieca, to powinien dotrzymać słowa. Nie mogła nie dotrzymać słowa. Nie mogła postąpić inaczej, nie ona.

Przygotowała materiały do robienia masek karnawałowych. Długo wyszukiwała w sklepach różnorodne świecidełka. Zdobyła ich całą masę.

Termin spotkania dużo wcześniej był zaplanowany - na 25 stycznia. Nie mogło być gorszej daty na ten moment.

Ostatnia dawka radio. Wiedziała, że będzie bardzo trudno.

- Ostatni raz - myślała.

- Ostatni dzień naświetlań, potem już tylko z górki - mówiła do siebie szeptem, ale stanowczo.

Przygotowała dla siebie ubranie na imprezę. Strój musiał być elegancki i kolorowy. Zabrała go ze sobą. Weszła do poradni. Rozejrzała się. Było jeszcze mało ludzi. Usiadła na krzeselku i czekała na wezwanie. Skóra paliła jak ogniem. Bała się gwałtowniej poruszać, bo bluzka odklejała się z bólem od ciała.

- Pani Bogusławo, prosimy- usłyszała miły głos.

Wstała i posłusznie, ale wolno, weszła, Jak zwykle mimowolny uśmiech, drobny żart rzucony mimochodem, sprawiały, że czas wolniej płynął, albo tak jej się zdawało. Rozebrała się wolno i, jak

zwykle, z namaszczeniem układała swój ulubiony ręcznik. Wygodnie, jeśli tak można powiedzieć, ułożyła się po raz ostatni na długim twardym łożu. Czekwała na rozpoczęcie, aby wszystko było szybciej poza nią. Tym razem nie nakładano bolusa. Całe szczęście, bo miejsce było zmasakrowane.

- Jeszcze przykleić kostkę i jazda do tyłu – myślała, kurczowo trzymając drążki za głowę. Głęboki oddech i procedura rozpoczęta.

- Proszę nabrać powietrza.

- Proszę wypuścić.

Jakże doskonale знаła te komendy. Zamknęła oczy. W jej wyobraźni już trwało spotkanie karnawałowe, były uśmiechnięte i ufne twarze ludzi oraz wypełniająca pomieszczenie wspaniała muzyka karnawałowa. To jej ucieczka. To pozwalało jej nie czuć naprężającej się klatki piersiowej. Ze spotkania wyrwał ją drgający blat, na którym leżała. Powoli wysuwał się spod lampy. To koniec. Uf. Cudowna chwila i duma z siebie. Wstała i wolno ubierała się. Już myślała o przejmujących chwilach z ludźmi.

- Teraz już tylko przebrać się i czekać – myślała.

Z delikatnością i namaszczeniem nakładała biustonosz. Długo go nie nosiła, bo nie była w stanie. Dzisiaj musi, a jak musi, to da radę.

- Jest ok - wmawiała sobie.

Skóra piekła od nacisku. Ścisrane zebra nie pozwalały swobodnie oddychać, choć biustonosz był dość luźny.

- Nie ma co skupiać się na tym, przecież przede mną wspaniałe popołudnie - mówiła sobie.

Wszystko gotowe. Teraz tylko czekała na nich.

- Czy faktycznie przyjdą, czy będą kolejny raz chcieli się spotkać ze mną i ze sobą, aby spędzić popołudnie - myśli kołatały w jej głowie.

Podświadomie wiedziała, że przyjdą, ale zawsze był element niepewności. Już słyszała ten gwar i stukot obcasów na schodach. Są uśmiechnięci z błyskiem w oczach. Przygotowane serpentyny zaczęły ożywać w ich dłoniach. Tworzyły ozdoby na ich eleganckich strojach. Wyglądali wspaniale. Każdy z nich na swój sposób przywdziewał serpentynowo-karnawałowy strój. Czas zaczynać. Wszyscy są, zespół muzyczny gotowy.

Przeszła przez salę, powoli omiatając wzrokiem każdego z uczestników. Twarz jej przykrywała tradycyjna karnawałowa maska. Stała na środku. zdjęła maskę i obdarzyła wszystkich szerokim, szczerym uśmiechem. Odwzajemnili jej tym samym.

Zacząła swoją opowieść związaną z karnawalem. Kiedy mówiła o balach karnawałowych, muzyce i strojach, podeszła do jednej z pań. Podała jej rękę zapraszając do tańca. Wstała dumna. Rozejrzała się dookoła, czy wszyscy widzą, jak została wyróżniona. W tanecznej pozie skłoniły się wzajemnie. Tanecznym krokiem odprowadziła ją na miejsce. Opowiadając o białym walcu, podobnie zrobiła ze starszym panem. Ochoczo wstał, podał rękę i sam poprowadził na środek sali. Czekał na taniec. Nie przewidziała takiej reakcji i takiego zapału. Widać było, że bardzo to przeżywali wszyscy. Wyjaśniła, że to tylko symbol.

- A gdzie muzyka, chcę z panią zatańczyć walca - powiedział z nadzieją w głosie.

- Niestety, muzyka będzie później, tańców nie przewidzieliśmy, ale pomyślimy następnym razem i pierwszy taniec zatańczę z panem - odpowiedziała ciepło.

Szarmancko odprowadziła go na jego miejsce. Usiadł, ale i tak był szczęśliwy, że mógł choć na chwilę stanąć w świetle reflektorów. Skąd wiedziała? Powiedział jej o tym na pożegnanie.

- Następnym razem muszę pomyśleć o walcu czy polonezie, rozpoczynając spotkanie - pomyślała.

Za każdym razem uczyła się czegoś nowego... zgodnie z oczekiwaniami innych. Przepiękny koncert. Fortepian, skrzypce, klarnet opowiadały o karnawale poprzez dźwięki muzyki. Zgromadzeni odbyli wspaniałą podróż od Sewilli przez Paryż, Wenecję, by zakończyć go w Warszawie na wielkich salonach balowych. Obserwowała ludzi. Uwielbiała ich spontaniczne reakcje. Siedzieli zasluchani w muzyce. Niektórzy przymknęli oczy. Pewnie przeżywali swoje pierwsze bale, pierwsze miłości, wspomnienia. Byli w innym, swoim minionym świecie. Sama też była zasluchana.

Uwielbiała muzykę, a ta faktycznie przenosiła w inne czasy.

Zadano jej kiedyś pytanie:

- Czy panie wie, czy pani ma świadomość, że gdy zaczyna mówić o sztuce, muzyce, to pani twarz się zmienia? Gdy rozmawiamy, jest zwykła, codzienna, ale gdy opowiada pani o sztuce, pojawia się na twarzy uśmiech, a cała twarz jakby promienieje. Potem, gdy wracamy do tematu powszedniego, staje się codzienna.

- Nie, nie mam takiej świadomości. Nie miałam o tym pojęcia, że tak się dzieje. To mimowolne, niezależne ode mnie - odpowiedziała ciepło.

- Coś w tym musi być. Naprawdę opowiadam o tym, co czuję, co robię i jaką pasją jest dla mnie sztuka.

Gdy koncert się skończył, na moment zapanowała zupełna cisza. Jakby nikogo nie było w sali. Wiedziała, że musieli ochłonąć i wrócić do rzeczywistości, by po chwili wielkimi brawami podziękować artystom za przepiękny koncert. Brawa były gromkie i długie, więc delektowaliśmy się jeszcze jednym utworem.

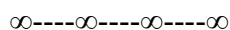
Jak zwykle, tradycyjnie wręczyła artystom w podziękowaniu symboliczny kwiat, tym razem porcelanowy.

- Za każdym razem będą państwo dostawali kolejny i kolejny porcelanowy kwiat, wykonany w pracowni Piąta Pora Roku przez moją synową, aby powstał niezniszczalny bukiet, przypominający chwile spędzone z nami – powiedziała.

- Aby tematycznie zakończyć nasze spotkanie i wrócić do domu z maskami karnawałowymi, zapraszam państwa do samodzielnego ich wykonania. Wszystko zostało przygotowane - dodała z uśmiechem.

Nie myślała, że będą pracowali z tak wielkim zapałem. Powstały świetne prace. Każdy z nich chwalił się swoją, prosząc, aby zrobić pamiątkowe zdjęcie. Oczywiście, wszyscy zakładali maski i pozowali do zdjęć. Byli tak zaaferowani pracą, że nie zważali na mijający czas. Ona też ich nie pospieszała.

Wróciła do domu bardzo zmęczona, ale szczęśliwa. To był piękny dzień POMIMO.



Rany po radioterapii, ku zdumieniu lekarzy, goiły się dość szybko. Pozostał guz najbardziej wystający jak góra na płaskowyżu - ciemny, wyzywający jak w najgorszą jesienną pogodę. Jak wulkan, który co jakiś czas straszy możliwymi erupcjami. Zdawało się, że zaraz wybuchnie, pęknie i płyn wytoczy się ze wzgórza. Nawet lekarz mówił:

- On zaraz pęknie, trzeba uważać.

Za każdym razem wydawało się, że zrobi to w innym miejscu, taki przewrotny. Nie pękał. To i bardzo dobrze, bo byłaby otwarta duża rana. Do widoku guza można się było przyzwyczaić, ale jego wzrost powodował silny ból, który targał, kłuł, narywał, szarpał. Cierpienie ukazywało różne odcienie z pozoru jednego bólu. Czasami czuła, jakby był gorzki. Bardzo dziwne uczucie. Sama się dziwiła, że taki smak może mieć jej ból. On był nieustanny. Nie dawał o sobie zapomnieć ani na chwilę. To uczucie i rak byli dla niej jak niechciany kochanek, który co wieczór powraca i otula ciasno jej ciało chłodnymi rękami. Czuła chłód i mocno przywierające dłonie. Zdawało się, że słyszała jego głos:

- Nie opieraj się, jestem tutaj i będę każdego dnia, wieczoru i nocy. Przecież czujesz mnie. Nie odrzucaj mojej miłości i przywiązania. Jestem przecież z tobą tyle czasu. Nie chcesz mnie, a ja i tak przychodzę i przychodzę jak powracająca poranna mgła, która otula wszystko wokół ciebie.

Zakrywała uszy i zamykała ciasno oczy, aby nie słyszeć i nic widzieć. Głos jednak rozlewał się jak krew krążąca po całym organizmie. Dawła sobie z tym radę na swój wyuczony sposób. Łagodnie, z uśmiechem rozmawiała z nim. Wiedziała, że złość i gniew na nic się nie zdadzą, więc dobrocią łagodziła jego skutki. Czy się udawało? Pewnie tak. Nauczyła się tego doskonale. Wchodziła do innego wymiaru, do swojego innego świata, który sama stworzyła.

Kontrolna wizyta po radioterapii. Pani doktor stwierdziła, że bardzo ładnie i szybko goiła się skóra. Niepokoiła ją jedynie ciemna góra.

- Nic z guzem nie możemy zrobić. Nie możemy dać kolejnej dawki promieni. Dam pani skierowanie do poradni paliatywnej.

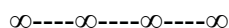
Dreszcz przeszedł po jej całym ciele. Paliatywna. Wiedziała, co to oznacza. Przecież słyszała je wielokrotnie przy różnych okazjach, ale nigdy nie w związku ze sobą. Nie kojarzyło się dobrze.

- Pani doktor, czy to potrzebne? -zapytała niepewnie.

- Ja nic więcej nie mogę zrobić - odpowiedziała ciepło.

Rozumiała ją. Więcej naświetlań nie mogła otrzymać, a lekarka była przecież specjalistką od radioterapii.

Wzięła skierowanie. Schowała je dokładnie w swoich dokumentach, aby przez przypadek nie wypadło. Wyszła na dwór. Zdjęła maskę, przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech. To jej zawsze pomagało w trudnych chwilach. Po drodze zarejestrowała się na TK, choć wiedziała, że jest jeszcze za wcześnie, ale dostała również tam skierowanie. Nie zarejestrowała się do poradni paliatywnej, choć znajdowała się ona w tym samym budynku. Musiała oswoić się z tą myślą.



Ciemniejący guz na coraz bardziej jasnej skórze i „płaskowyzu” ciała stawał się coraz bardziej dokuczliwy i niebezpieczny.

- Trzeba go usunąć - powiedział lekarz.

Oddała się w ręce swojego chirurga, który doskonale znał ją i jej niebywałą historię. To on wykonywał coroczne operacje. Znał ten obszar jak zły szeląg. To były już tylko skóra i zebra. Nic więcej. Wyzначył bardzo szybki termin zabiegu. Pojechała razem z córką. Starła się jak najbardziej ukrywać swoje zdenerwowanie, strach i obawy, choć wiedziała, jak to będzie. Robiła to przecież wiele razy. Nerwy były jednak za każdym razem takie same, choć może za każdym razem jednak coraz większe. Czy udawało się tłumić lęk? W każdym razie robiła dobrą minę do złej gry...

Nie czekała zbyt długo w poczekalni.

- Pani Bogusławo, proszę - usłyszała jak zwykle miły i ciepły głos. Spojrzała na córkę, uśmiechnęła się uśmiechem „wszystko będzie dobrze, nie denerwuj się” i weszła do środka.

Jak zawsze było miło i szybko. Panie pomogły się przebrać i położyć na chłodnym stole. Po raz kolejny leżała wyciągnięta jak struna. Była gotowa. Zawołano lekarza. Przyszedł jak zwykle miły, ciepły i uśmiechnięty. Widać to było w błysku jego oczu, bo przecież miał maseczkę. Ufała mu bezgranicznie, dlatego też strach i niepokój pozostały poza drzwiami. Okryto ją jałowym, operacyjnym pledem, pozostawiając wolne miejsce do zabiegu. Zrobiło jej się ciepło i bezpiecznie. POMIMO. Ostre światło ogromnej lampy zmusiło do zamknięcia oczu. Odwróciła głowę i czekała. Znieczulenie nawet tak bardzo nie bolało, a tego się bała.

- No to co, zaczynamy - usłyszała głos lekarza.

Co jakiś czas pytał, czy nie czuje bólu, czy wszystko w porządku.

- Jest wszystko ok - odpowiadała zgodnie z prawdą. Łzy bezwiednie zaczęły lecieć po jej policzkach. Sama nie wiedziała, dlaczego. To było poza nią, bez jej woli...

Słyszała polecenia lekarza i rozmowy z panią anestezjolog. Nie czuła lęku. Wiedziała, że wszystko zrobią doskonale. Lekarz oczyścił z płynu ranę. Okazało się, że na żebrze jest mały lity guzek.

„Wyskrobał” go.

- No to koniec, szyjemy.

Podawał komendy w kwestii grubości nici, ucinania ich i rozmieszczania szwów.

- Czy zewnętrzne będą rozpuszczalne? – spytała.

- Niestety nie. Tak do końca to nie wiemy, czy uda się zszyć, czy nie trzeba będzie przeszczepić fragmentu skóry.

Rana goiła się, choć z pewnymi oporami, jednak na szczęście skóra wytrzymała. W oczekiwaniu na wynik zdecydowała się już zarejestrować do poradni paliatywnej. Trochę to trwało. Trudno było się z tym oswoić. Wyznaczono nawet niezbyt odległy termin. Na wejście do gabinetu oczekiwały tylko trzy osoby. Była druga. Nie pasowała do pozostałych, którzy nie mogli już samodzielnie przyjść. Zamiast nich byli inni. Nie zrezygnowała. Czekala na swoją kolej. Pielęgniarka wyszła i rozdała do wypełnienia ankiety z zaznaczeniem, w którym imieniu przyszli. Tej rubryki nie wypełniła. Pielęgniarka poprosiła o jej wypełnienie.

- Ja jestem w swoim imieniu - odpowiedziała.

- Przepraszam panią, nie wiedziałam - powiedziała z troską.

Czas się bardzo dłużył, a może jej się tylko tak zdawało. Nadeszła jej kolej. Weszła nieśmiało.

- Proszę usiąść.

Usiadła posłusznie. Lekarz analizował, a może tylko czytał, przebieg jej choroby. Siedziała bez słowa, choć zazwyczaj dużo mówiła. Lekarz też bez słowa patrzył w ekran komputera. Kiedy skończył, spojrzał na nią i spytał:

- Jak sobie pani radzi, jak radzi sobie z bólem?

- Daję radę. Nauczyłam się już tego. Staram się brać jak najmniej środków przeciwbólowych – wyliczyła, jakie przyjmuje.

Zapisał informację w komputerze. Zapytała, czym może się wspomagać oprócz chemii. Podał jej ulotkę z suplementami, mówiąc, że są sprawdzone przez pacjentów i wspomagają organizm w walce z chorobą. Słuchała uważnie wszystkiego, co mówił, ale sama rozmowna nie była.

- Zapiszę panią do kolejki do hospicjum domowego.

Po raz kolejny tego dnia przeszedł po jej ciele dreszcz, jakby poraził ją prąd.

- Hospicjum domowe? Przecież ja przez cały czas pracuję i jakoś sobie radzę - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią łagodnie.

- To długa kolejka. Warto w niej stać, bo być może będzie potrzebne, a pani będzie poza jego zasięgiem. Proszę być spokojną i żyć jak do tej pory.

Patrzyła na niego. Chciała już wyjść na świeże powietrze. Czekala jeszcze na wypis ze spotkania. Wychodząc, schowała go skrzętnie do pozostałej dokumentacji. Jak zwykle, na dworze zdjęła maskę i wzięła głęboki, długi oddech. Całe szczęście, że nie musiała spieszyć się do pracy ani do domu. Trudno byłoby jej ukryć swoje emocje i smutek w oczach.

W pracy, jak zwykle, uśmiech na powitanie i czym prędzej do swojego pokoju. Nie chciała, aby ktokolwiek ją wypytywał:

- Co słyhać? Wszystko u pani dobrze, jak widać...

Korytarz był pusty, więc nie musiała kłamać. Weszła do pokoju i od razu zabrała się do pracy, aby nie myśleć. Teczka z dokumentacją, choć schowana w torbie, nęciła i nie pozwalała się dostatecznie skupić. Odłożyła na chwilę swoją pracę. Zrobiła swoją ulubioną herbatę, usiadła przy stole i wyjęła wypis. Przeczytała pobieżnie opis. Przecież знаła swoją historię choroby. Z uwagą i powoli przeczytała końcową jego część „Pacjentka zapisana w kolejce do hospicjum domowego”. Złożyła dokumenty i ponownie schowała do teczki. Zamknęła kolejny rozdział swojej wędrówki. Rodzinie powie dopiero wtedy, gdy będzie znała datę pierwszego spotkania. Dla bliskich same te nazwy też mogły być szokiem, choć nie o ich znaczenie chodziło, ale tego, kogo dotyczyło.

- Koniec, kropka. Zamykam drzwi i - póki co - nie wracam. Czekam w kolejce.

∞-----∞-----∞-----∞

Życie toczyło się dalej. Jedyne niepokój budził wynik histopatu. Co jakiś czas pytano ją, czy już jest?

- No, jeszcze nie ma. Mają dużo pracy, więc trzeba cierpliwie czekać - odpowiadała łagodnie, ale stanowczo.

Zbliżały się święta wielkanocne, więc nimi trzeba było się zająć.

- Mają być spokojne i rodzinne - wmawiała sobie.

Badania już przekroczyły swój bezpieczny czas. Czowała, wręcz miała pewność, że nie będzie to dobra wiadomość. Coraz częściej dopytywano ją o wynik.

- Przecież już powinien być, czas minął. Wiesz coś? - pytano.

Tuż przed samymi świętami wiedziała, że badania się skończyły i będzie można je odebrać, ale dopiero po świętach. Podświadomie znała ich wynik, choć nikt z rozmówców telefonicznych nie mógł nawet niczego zasugerować.

- Jest już wynik. Jest wszystko ok - mówiła z radością w głosie.

- Skąd wiesz, przecież go nie masz, a nikt telefonicznie nie może nic sugerować.

- Mam swoje sposoby - odpowiadała.

- Tak więc możemy świętować i cieszyć się sobą.

Święta minęły w pięknej rodzinnej atmosferze, choć z różnymi wspomnieniami i tęsknotą za Miśkiem. Spokojnie, na luzie, bez strachu w ich oczach. To był cudowny czas i ukojenie dla jej serca.

Wyznaczono termin odbioru wyniku.

- Mamuś, pojedę z tobą.

- Nie, nie trzeba. Nie ma takiej potrzeby.

- Dasz radę? Naprawdę pojedę z tobą.

- Nie, kochanie, dam radę.

Jechała niebywale spokojna, bez nerwów i strachu, przecież oswajała go.

W poczekalni jak zwykle ogrom kobiet. Wszystkie czekające ze strachem i nadzieją. Usiadła wśród nich. Słuchała ich rozmów, jednak sama nie zabierała głosu, chyba że ktoś pytał o numer gabinetu,

stanu kolejki, czy jak szybko idzie. Czas wolno się sączył. Jej wyznaczona godzina dawno minęła. Gdy pielęgniarka wołała kolejną osobę, podeszła do niej i spytała:

- Przepraszam, ja po odbiór wyniku, a moja godzina dawno minęła.
- Proszę czekać. Poprosimy panią - usłyszała stanowczy głos.

Co miała robić, usiadła i czekała nadal. Sama się sobie dziwiła, że jej to nie denerwowało. Wchodziły i wychodziły kolejne osoby.

- Pani Bogusławo, proszę - usłyszała.

Wstała i niespiesznie weszła do gabinetu. Zanim usiadła, spojrzała na twarz swojego lekarza. Znała jego emocje. Wiedziała już, co jej powie. Powoli wziął do ręki dokument. Wstał i podchodząc do niej powiedział:

- To nie brodawczak.

Wzięła kartkę papieru. Spojrzała na zapisane tam litery i liczby. Znała ich znaczenie.

- To znowu potrójnie ujemny – powiedziała, spokojnie patrząc prosto w oczy lekarza.

Głos jej lekko drżał.

- Tak, to ten sam. Chirurgicznie nic tu już nie możemy zrobić - odpowiedział łagodnie.

Zdawała sobie sprawę, że jej pergaminowa skóra w tym miejscu nie pozwoli na żadną interwencję, a poza tym to raczysko zostało zeskrobane z żebra na tyle, ile było to możliwe. Nie było więc żadnego innego sposobu, aby dalej tam grzebać, bo i gdzie? Przecież były widoczne płuca, a to byłoby zbyt niebezpieczne. Znowu ten potrójnie ujemny. Który to kolejny raz?... To jak wróg nie z wyboru, ale z przymusu, z którym choć bardzo nie chcesz, musisz żyć. Jest to niezmiernie trudne, może nie fizycznie, choć czasami daje się porządnie we znaki, ale psychicznie. Ze świadomością, że jesteś wobec niego zupełnie bezsilna. Co pół roku to samo. Ten sam jej niechciany lokator.

- Panie doktorze, co robimy z drugim widocznym guzkiem? - spytała cicho.

- Wytniemy go i zobaczymy, co to jest.

- Dobrze, tylko kiedy, tradycyjnie we wtorek?

- Niestety nie. We wtorek mam dużo zabiegów. Nie dam rady.

- Dobrze, to ile trzeba będzie czekać. Pewnie długo? - spytała.

Popatrzył na nią łagodnie, uśmiechnął się ciepło i powiedział:

- A w poniedziałek może być?

- W ten najbliższy, za niecały tydzień? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak, w ten poniedziałek na godzinę 9.00.

- Dziękuję, będę - odpowiedziała.

Z jednej strony „dostała po głowie” wynikiem, z drugiej – uzyskała szybki termin kolejnego zabiegu. Wyszła z gabinetu. Było jej niezmiernie ciężko. Będzie musiała po raz kolejny przekazać informację o potrójnym. Nie spieszyła się. Powoli ubrała się, przespacerowała po szpitalnym parku i wzięła telefon do ręki.

- Cześć, jestem już po. Idę zrobić rundkę po sklepach - powiedziała pewnie i radośnie.

- Jaki jest wynik, taki sam jak mówiłaś wcześniej?

- Wiesz, trochę źle słyszę, pogadamy, jak pójdziemy coś zjeść – odpowiedziała, szybko wyłączając telefon.

Krok jej stawał się coraz wolniejszy. Przeszła przez bramę i wiedziała, że będzie bacznie obserwowana, dlatego zawsze chciała sama jeździć, aby mieć więcej czasu dla siebie, dla „nic

niemyślenia”, „nic niemówienia”. Zawsze miałyby czas na odwiekanie, bo duża kolejka, bo jeszcze nie ma wyniku w gabinecie, bo...

- No, idziemy na śniadanko i porozmawiamy, wszystko powiem, a teraz już chodźmy. Zamówili swoje ulubione kanapki i usiedli przy swoim stoliku. Wiedziała, że dłużej nie mogła kłamać i przeciągać tej chwili. Między jednym a drugim kęsem powiedziała:

- No, niestety, to po raz kolejny potrójny.

- Co to znaczy?

- No, jak co, stwierdzono raka mojego wciąż tego samego, potrójnego.

- No i co teraz? – zapytał.

- No nic, dalej się będzie leczyło. Za tydzień wycinamy kolejną zmianę - mówiła łagodnie, jakby rozmawiali o pogodzie czy zakupach.

- Dzwoniłaś do dzieci?

- Jeszcze nie, mam czas. Po co im już teraz psuć nerwy.

Chciała to zrobić po swojemu, bez presji czasowej. Spokojnie zjedli śniadanie, chwilę posiedzieli w milczeniu. Tłumy ludzi, wycieczek szkolnych przewijały się po obszernym korytarzu. Uradowane i roześmiane dzieciaki oraz nerwowo rozglądający się i pędzący, nie wiadomo, po co, dorośli. Trzeba kończyć odpoczynek. Wzięła telefon. Bała się tej rozmowy. Wiedziała, jaka będzie reakcja po drugiej stronie. Robiła to przecież wielokrotnie, dzisiaj, niestety, po raz kolejny.

- Cześć, kochanie. Jestem już po. Zjedliśmy śniadanie i idziemy do auta - mówiła spokojnie.

- Mamuś, a co z wynikiem. Wszystko jest tak, jak mówiłaś? - pytała Elizka z nadzieją i strachem w głosie. Co miała odpowiedzieć i tak długo nie dzwoniła.

- Nie jest to dobry wynik. To znowu potrójnie ujemny - powiedziała wolno.

Zapanowała cisza, bo i co można było mówić. Widziała jej twarz i szkliste oczy.

- Mamuś, wracajcie uważnie do domu - usłyszała po chwili cichy głos.

- Dobrze, słoneczko. Nie martw się, damy radę. Wiesz, że się nigdy nie poddam. POMIMO. Nie poddamy się. Wszyscy.

- Kocham cię - usłyszała na koniec.

Zadzwoiła do syna i przekazała taką samą niechcianą informację.

Do domu wracała w milczeniu. Czas mijał nadzwyczaj szybko. Czekają ją spotkanie z najbliższymi. Wiedziała, że wszyscy dadzą radę. Przytulili ją mocno i ciepło. Rozumieli, co oznaczał ten uścisk. Niepotrzebne były żadne słowa.

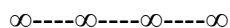
Czas dzielący od zabiegu wycięcia drugiego guzka szybko minął. Już tak bardzo się nie bała. Posłusznie poddała się procedurom.

- Już więcej wyciąć nie mogę - usłyszała głos lekarza.

Przypalił krwawiące naczynia, zaszył ciasno ranę i to wszystko. Wiedziała, co ma dalej robić. Rytualna kawa, jedzonko i drobne zakupy. Starają się, każda na swój sposób, spędzić normalnie te wspólne chwile. Nie myśleć, nie czuć. To był ich czas, a zabieg to tylko tak przy okazji. Wracały do domu, żartując i, jak zwykle w trasie, złapała je głupawka.

- Kolejny rozdział został zamknięty - pomyślała.

Nie bała się tego wyniku, bo jeśli poprzedni to potrójnie ujemny, to ten tradycyjnie musi być brodawczakiem.



Czekała na wyznaczoną wizytę u swojego onkologa. Miała również zaplanowane USG, ale musiała je odwołać, bo rana krwawiła. Podała lekarce wynik, raz przyjmował ją on, a raz ona.

- Tak, znam go, dzwoniła pani wcześniej do doktora.

- Pani doktor, co teraz. Znaczy to, że kolejna chemia i radioterapia nic nie dały? - pytała bez nadziei w głosie.

- Pani Bogusiu, raka u pani nie wyleczymy, ale będziemy pomagali z nim żyć. W dalszym ciągu proszę brać chemię. Dość dobrze ją pani znosi.

- Nie mam szans na program lekowy? - zapytała, choć wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

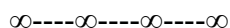
Już wcześniej dano jej do zrozumienia, że dla niej go nie będzie. Pewnie była przypadkiem, dla którego szkoda marnować leków z programu lekowego.

No cóż, pogodziła się już z tym. Nie miała wyjścia. Zastanawiała się kolejny i kolejny już raz, czy nie można go zabić raz a dobrze. Czy to znaczy, że się tak rozpanoszył i uodpornił, że są bezsilni? To możliwe? Nie warto próbować i szukać jakiegoś nieoczywistego wyjścia? Mówi się, że człowiek przegrał walkę z rakiem i odszedł. Chyba to jednak nie tak. To nie człowiek przegrał walkę, a medycyna, system, procedury, lekarze. Człowiekowi nie dano już żadnej amunicji, bo nie chciano, bo jej nie było, bo procedury, a może już się nie opłacało? To medycyna się poddała, wydając wcześniejszy wyrok na człowieka.

A może to wina firm farmaceutycznych?

Wiedziała, że nie warto tego roztrząsać, choć takie pytania co jakiś czas pojawiały się w jej głowie. Program lekowy nie dawał gwarancji na wyleczenie, więc może i dobrze, że się nie kwalifikowała. Nie wiadomo, jak zareagowałyby. Może nie miałyby tyle czasu co teraz?

Różne były przypadki. Tak więc nie będzie powracała do tego tematu. Z pewnością tak ma być. Cieszyła się tym, co miała – дарowanym czasem, miłością, szczęściem...



Rana nie chciała się goić. Wiedziała, że tak może być. W zrastającym się cięciu pozostała mała szparka, z której powoli sączyła się mała strużka krwi, odmierzająca kolejne doby. Spokojnie zmieniała zakrwawione wieczorne opatrunki. W duchu pytała:

- Dlaczego?

Jednak nigdy nie myślała „Dlaczego ja”? Sama się temu nieraz dziwiła, bo przecież większość na początku zadaje sobie to retoryczne pytanie - dlaczego ja? Dni mijały dość szybko. Nie pozwalała im na lenistwo. Narzuciła sobie szybkie tempo. Chyba zbyt szybkie. Jak zawzięty maratończyk - parła do przodu pomimo bólu, strachu i coraz większego zmęczenia. Nie chciała przerwać biegu, choć doskonale wiedziała, że powinna. Minęło sporo czasu, zanim zaczęła zdawać sobie z tego sprawę:

- Muszę zwolnić. Muszę, ale jeszcze zrobię tylko to i to - obiecywała sobie i innym.

Tego „to i to” za każdym razem nie ubywało, więc brnęła dalej, udając sama przed sobą, że to jeszcze nie czas, że jeszcze daje radę.

Oczekiwała na termin PET-a. Długo, ale cóż, jej czas biegł w innym tempie. Wyznaczono wizytę. Pojechała. Poddawała się znanym sobie procedurom. Miała ich już dosyć. Była naprawdę zmęczona. Wiedziała jednak, że gdyby odpuściła, zaniechała, powiedziała „nie”, to jakby się poddała, a tego bardzo się bała i nie chciała - jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę. Obiecywała przecież kolejne razem spędzone święta, a słowa zawsze dotrzymywała.

Nie chciała przegapić ani jednego kolejnego dnia. POMIMO.

Po badaniu musiała wstąpić do gabinetu zabiegowego, bo zbyt mocno krwawiła, a nie chciała umorusać swojej ulubionej bluzki. Weszła do gabinetu.

- Pani Bogusiu, co znowu, co jest? - z troską w oczach i głosie pytała cudowna pielęgniarka.

Znały się już tyle lat. Mówiła, że znały się już od tylu spotkań opatrunkowych...

- Ja tylko tak, przy okazji. Byłam na badaniach, a opatrunek był zakrwawiony i przesiąka. Nie chcę pozostawić plamy krwi na bluzce - mówiła spokojnie.

Oczywiście, jak zawsze zrobiono to bardzo delikatnie. Teraz czekanie na wyniki i zdjęcie szwów. Wzrok się jej pogarszał. Prawe oko od lat było niedowidzące, ale teraz to były tylko mgliste kontury. Bagatelizowała to, bo miała inne priorytety. Jednak badania okresowe w medycynie pracy nie pozwoliły tak dłużej myśleć.

- Ma pani prawe oko w bardzo złym stanie. Zaniedbana i duża zaćma. Oko jest właściwie nieczynne. Trzeba to naprawić i zaćmę usunąć. Dam pani warunkowo zgodę na rok, ale musi pani w tym czasie to zrobić - usłyszała.

Cóż miała robić. Przyjęła do wiadomości. Może i dobrze, że postawiono ją w takiej sytuacji, bo w przeciwnym razie dalej męczyłaby się. Poszła do okulisty. Skierował ją do szpitala na zabieg. Czekala na wyznaczony termin. Wciąż czekała, to już weszło jej w nawyk. Tym razem szybko go wyznaczyli. To rutynowy zabieg jednego dnia. Jednak dla niej było to kolejne, tym razem nieznanne wydarzenie. Nie było tak źle. Niepotrzebny był strach. Strach zupełnie inny niż dotychczas. Mały, błahy jak wiosenne dmuchawce, które rozwiewał wiatr. Nie chodziło tu bowiem o życie, a jedynie o komplikacje w czasie i po zabiegu. Więc cóż to. Nie było skali porównawczej. Musiała przez dwa dni mieć zaklejone oko i co cztery godziny zakraplać oko przez pięć tygodni. Śmiali się w domu, że wygląda jak jednooki pirat. Musiała również unikać intensywnego światła, więc nosiła przeciwsłoneczne okulary.

Nadszedł kolejny wyjazd po chemię. W szpitalu obowiązywały maseczki. I cóż - maska na twarzy i duże ciemne okulary. Wyglądała jak ze zdjęcia z listu gończego. Śmiała się z najbliższymi. Oczywiście w poczekalni wzbudzała zaciekawienie. Na szczęście potrafiła żartować na poważnie.

- Czy państwo będą pamiętali, że jestem za tą panią? - pytała stojących w kolejce ludzi z uśmiechem pod maską.

- Tak, tak będziemy pamiętali, poznamy panią - odpowiadali z lekkim zażenowaniem. Weszła do gabinetu lekarskiego. Lekarka milcząco spoglądała na nią. Może jej nie poznawała?

- Dzień dobry, pani doktor. Ja wiem, że wyglądam jak z listu gończego, ale jestem po zabiegu oka i muszę na razie tak wyglądać.

Roześmiały się. Obie lubiły ze sobą żartować.

- No nie, pani Bogusiu. Wygląda pani raczej jak celebrytka, bo to oni zakrywają swoje twarze.

- Właściwie to pani ma rację. Niech będę od tej chwili celebrytką, a nie zbirem.



Wizyta jak zwykle przebiegła w fajnej atmosferze. Spakowała swoją porcję chemii i wyszła przed budynek. Była przepiękna pogoda - powietrze tak przejrzyste, że widziała doskonale schroniska na szczytach gór. Jak zwykle odetchnęła głęboko.

- To jest przepiękny dzień. POMIMO - pomyślała.

- Tak, jestem celebrytką, bo celebruję każdą chwilę, każdy dzień, miesiąc, rok, a taką gwiazdą nie każdy potrafi być. A szkoda. To powoduje, że życie jest piękne. POMIMO. Warto przemeblować swoje myślenie i nastawienie - mówiła w duchu. Chciała wykrzyknąć to na cały głos, aby usłyszeli wszyscy, choć wiedziała, że to niemożliwe. Natury ludzkiej nie można zmienić ot tak.

∞-----∞-----∞-----∞

Nadszedł dzień zdjęcia szwów. Udało się jej też załatwić szybki odbiór wyniku PET, także w dniu wizyty. To dzięki empatycznej pani. Dziękowała jej za to, bo niewiele jest takich osób, choć na swojej drodze spotyka ich sporo. Wzięła kopertę i szybko wyszła z budynku. Otworzyła ją z lękiem w zakamarku parku. Z daleka od innych, aby nie widzieli jej spontanicznych reakcji. Nie zawsze udawało się jej panować nad swoimi emocjami w takich sytuacjach. Sama czuła się pewniej, gdy wokół nie było

innych. Uf! W płucach nie było zmian. Były zaś nowe ogniska w klatce piersiowej i szereg innych, o których już wcześniej wiedziała, z mniejszą ilością gromadzącej się glukozy.

- Z jednej strony to dobrze, a z drugiej - po co nowe? - myślała.

W opisie czytała " nowe zmiany guzkowe, progresja miejscowa procesu rozrostowego". No cóż, pomyślała. Wynik całkiem dobry. W płucach przecież niczego nie ma, a klatka do korekty. Da radę. Przecież nie ma innego wyjścia. Cieszyć się czy płakać? Ona wiedziała. Nie płakać, tylko się cieszyć. Przywykła do takich informacji, choć gdzieś w głębi znowu czuła lęk. No, ale cóż, to nic nowego. Czas rozmywa strach, więc przeszła do porządku dziennego, jakby stawiała nowe, a zarazem te same kroki. Na nic nie miała już wpływu, więc po co pamiętać. Szła dalej, nie poddając się i nie tracąc nadziei.

Przeszła powoli do innego budynku. Przed gabinetem zabiegowym nie było kolejki, więc nie musiała czekać.

- No i jak tam, pani Bogusiu? – usłyszała, gdy weszła do gabinetu.

- No, wszystko dobrze, tylko nadal trochę podkrwawiam z niezagojonej rany.

- Proszę się przygotować, zawałam lekarza.

Doktor jak zwykle ciepło się uśmiechnął.

- Mamy wynik, to brodawczak.

- Świetnie - odpowiedziała - ale dosyć długo część rany się nie goi i sączy się krew.

Obejrzał ranę.

- No, niedobrze. Ile to już czasu? – zapytał.

- To już piąty tydzień. Mam też wynik PET -a.

Przeanalizował go ze skupieniem. Nic nie powiedział. Zajął się raną.

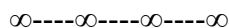
- No cóż, trzeba będzie otworzyć i zobaczyć, co się tam w środku dzieje. Umówimy termin – stwierdził.

Wygodnie położyła się na łóżku i czekała na zdjęcie szwów. Zrobił to jak zwykle bardzo delikatnie. Nie czuła bólu. Była do tego przyzwyczajona. Lekarz jeszcze raz spojrzął i potwierdził wcześniejsze ustalenia. Wyznaczono termin kolejnego zabiegu. Spokojnie wracała do domu.

- To tak jak zabiegi u kosmetyczki, sierpień, marzec, kwiecień, maj. To taki lifting - mówiła z uśmiechem do bliskich. Niech się nie denerwują. Nie ma po co.

Życie toczyło się dalej swoim rytmem. Wszyscy chyba już się przyzwyczaili do takiego toku. Ona sama też. To prawda, że czas rozmywa strach. To dobrze. Trzeba żyć normalnie.

Żyła pełnią życia, czekając na kolejny zabieg. Cieszyła się każdą chwilą. Słońcem, deszczem, burzą, chłodnym porankiem. Uwielbiała każdą chwilę spędzoną z rodziną, ze wszystkimi razem lub z każdym z osobna. Bacznie ich obserwowała, oczywiście ukradkiem, zapamiętując każdy ich wyraz twarzy. Każdy uśmiech czy smutek, każdy gest, błysk w oczach i przeżyte wspólnie chwile. Ich ciepło kumulowała jak słoneczne baterie, które będą dawały jej siłę w najtrudniejszych chwilach, a może w każdej chwili... Może każdego dnia, w każdej godzinie. Przeżycia te są dla niej jak krople wody na pustyni.



Kolejne cudowne urodziny. Nie chciała liczyć, które. Mówiła, że ma 56 lat. Tyle ile zawsze dawała swojej mamie, nawet w chwili jej odejścia. Zauważyła, jak mają wiele wspólnych cech i odczuć związanych z chorobą. Jeśli czasem analizuje jej drogę, to dochodzi do wniosku, że podąża tą samą. Wyboista, trudną do pokonania, czasami niebezpieczną, ale zawsze na szczyt wchodzi uśmiechnięta i szczęśliwa, mimo że ma poobijane kolana. Jak dawne solidne zamczyska - w środku ruiny, za to fasada systematycznie odnawiana i zawsze piękna. Tak więc 56 urodziny, a tak naprawdę to już... Nieważne, ile. Nie czuła wcale bagażu swoich lat. Zawsze w ruchu, pogodna i ze swoją odpowiedzią na pytanie:

- Co u ciebie?

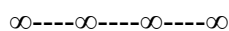
- Wszystko dobrze. Szczęście i dobrobyt - odpowiadała bez wahania.

Tak właściwie było. Była szczęśliwa, bo miała kochających i oddanych ludzi - rodzinę. Dobrobyt, bo miała wszystko, czego potrzebowała. Wszystko, co mogła mieć, a nie to, co chciała. Zdrowia brakowało, ale miała siłę o nie walczyć. POMIMO.

Tego dnia wracała z Wrocławia. Z trudem prowadziła auto. Musiała bardzo się skupiać, a to wymagało ogromu sił. Dawała jednak radę, pomimo że w tym dniu brała również chemię. Trudno było podwójnie, a może wielokrotnie. W drodze powrotnej kupiła dwa różne smakowo torty. Wiedziała, że przyjdą radośni, ciepłi, ufni. Dali jej trochę czasu, aby odpoczęła. Leżąc z zamkniętymi oczami, z trudem oddychając, odrzucała ból, cierpienie oraz zmęczenie. Było to dla niej w takich dniach coraz trudniejsze. Czekiła na stukot 16 stópek na schodach. Usłyszała je już w oddali. Wstała szybko. Spojrzała w lustro, poprawiła platynowe włosy, włączyła szczery uśmiech i błysk w oczach. Dzwonek do drzwi. Szybko je otwiera. Wesóły harmider wlał się do małego przedpokoju. Zmęczenie szybko poszło w zapomnienie. Zostawiła je na potem, na po... Jak zwykle, czuła ich ciepło i miłość. To piękne uczucia, dla których walczyła każdego dnia. POMIMO.

Byli ze sobą długo i swobodnie, mimo że był to zwykły dzień tygodnia. Nikt się nie spieszył, nikt nikogo nie poganiał i nie upominał. Rozmowy pozwalały zapomnieć o tym, co było wczoraj, miesiąc temu... O tym, o czym myśleli wszyscy, ale tego popołudnia myśli te zastopowali. To był kolejny wspaniały dzień. POMIMO.

Wieczorem padła jak wyrzucona na brzeg ryba. Szybko, jak tylko to było dla niej możliwe, przygotowała się do snu. Zmieniła opatrunek, choć z bólem odrywała plastry z delikatnej skóry. Wzięła tabletkę nasenną i położyła się. Okryła się swoją ciepłą i miłą kołdrą i, jak w kokonie, odizolowana od wszystkiego zewnętrznego i wewnętrznego, czekała na sen. Powoli odpływała. Jej ciężkie powieki powoli zamykały się, a ciało - zdawało się, że ulatuje. Zasnęła. Spokojnym i szczęśliwym snem. Snem, w którym już nic nie czuła. Była sama ze sobą i z nimi, a nie z rakiem.



Czy wszystko jest ok? Skłamałaby, gdyby powiedziała, że tak. Przed sobą może odpowiedzieć, że nie. Są chwile, gdy ma już wszystkiego dosyć, gdy ból jest nieznośny i nie umie sobie z nim poradzić.

Gdy psychika odmawia jej posłuszeństwa, targają nią ogromne burze z piorunami. Robi wszystko, aby w takich chwilach nikogo przy niej nie było. Jeśli jest to niemożliwe, to wychodzi z domu i idzie do miejsc, w których nikogo nie ma. Musi być w takich chwilach sama. Przez wiele nocy wyła do poduszki, tłumiąc ogromny szloch pod kołdrą. Pozwalała płynąć łzom swobodnie. Nie potrafiła ich pohamować, a może nie chciała. Kaskady słonych łez spływały po jej twarzy, by na koniec pozostać na poduszce. Była mokra od rzęsistej ulewy ogromnych kropli. Pytała, dlaczego? Musiała poddać się woli organizmu, aby oczyścić swój umysł i serce. Jej ciało co jakiś czas drgało tłumionym szlochem. Łkała jak bezbronne dziecko, pozbawione matczynego ciepła. Wiedziała, że to on, potrójny, wywoływał takie reakcje. On tkwił w niej i z nią od lat. Nie chciał się z nią rozstać, pozostawić w spokoju, choć usilnie chciała mu powiedzieć:

- Do niezobaczenia, do nieczucia. Nie chcę już z tobą być. Daj mi już spokój. Chcę odpocząć i uwolnić od ciebie swoich bliskich. Oni i tak już dużo przeszli. Zrób to dla nich. Tak jest za każdym razem. Zасыpia nad ranem zmęczona i obolała.

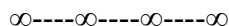
- Dobrze się czujesz? - słyszy pytanie.

- Tak, jest ok. Śniły mi się tylko koszmary - odpowiada.

Dzień zaczyna od porannych ulubionych rytuałów; jest trochę oczyszczona łzami. Wie, że za jakiś czas to się powtórzy, bo to się powtarza poza nią. To jest silniejsze, ale może i dobre. Z pewnością dobre. Sama uczy innych, że jak chcą, jak potrzebują, to niech płaczą. To nic złego. To oczyszcza.

Kolejny dzień zaczyna od porannych rytuałów, które uwielbia.

Kolejny dzień zaczyna od porannych rytuałów...



Majowe wycięcie kolejnych zmian i zszycie tego, co nie chciało się zrastać, odbyło się sprawnie i jak zwykle w miłej atmosferze. Zabieg był trochę trudniejszy, bo i miejsce niezbyt dogodne, i skóra nie była skłonna do gojenia się, zrastania. Doktor zrobił trik i zrobił, jak powiedział, klapkę.

- Co to takiego? - pytała.

Cięcie było tuż pod resztką brodawki, więc przyszył częściowo do niej. Śmiesznie to wygląda. Całe to miejsce przypomina jeden wielki plac zabaw z ciekawymi zakamarkami.

Szwy zostały zdjęte w dwóch etapach. Oczywiście ze względu na opory skóry. Najpierw 5, a za tydzień kolejne 3. Rana trochę dalej podkrwawia, ale to nie robi na niej już wrażenia. Zagoi się wcześniej czy później. Wie, że wyniki kwietniowe i majowe to brodawczaki. Wiedziała o tym wcześniej, bo dostarczono je szybko. Przecież nie w każdej zmianie musi być rak. Wystarczy, że był w majowej (2022r.), sierpniowej (2022r.) i marcowej (2023r.). Nie chce sięgać dalej wstecz. On powraca prawie systematycznie po trzech miesiącach i dwa razy co pół roku. Trochę za szybko, ale cóż, nie ma na niego wpływu, choć robi wszystko, co może. Chemie, wlewy, radio... aby nie było bezczynności. Oznaczałoby to dla niej i jej najbliższych koniec, poddanie się. Tego nie robi. Policzyła trochę żartobliwie, że kolejne pojawienie się, zgodnie z jego ostatnim rytmem, może być we wrześniu, więc do tego czasu będzie żyła pełnią życia. Postanowiła, że nie będzie o tym myślała. Może okaże się, że rak się nie pojawi, więc po co na zapas się martwić.

Dzwonek telefonu i znajomy jej numer przypomniał o hospicjum domowym. Po jej ciele przeszedł dreszcz. Wiedziała, że musi odebrać telefon, choć liczyła, że będzie to w późniejszym terminie. No cóż, to taki jej „spontan” życiowy...

- Dzień dobry, Bogusia... - powiedziała spokojnie.

- Dzień dobry - usłyszała w słuchawce bardzo miły głos. - Dzwonię z hospicjum. Chcę się umówić na wizytę.

Ustaliły termin. Teraz już musiała powiedzieć rodzinie, że będzie pod opieką hospicjum domowego. Jak zwykle, wybrała dogodny moment. W trakcie rozmowy, między jednym a drugim zdaniem, powiedziała:

- Będę pod opieką hospicjum domowego. Mam już wyznaczony termin. Przyjdzie do mnie pani pielęgniarka.

Spojrzała na bliskich. Wiedziała, jaka będzie ich pierwsza reakcja. Przeżyła przecież to sama. Chwilę milczeli. Spoglądali to na siebie, to na nią.

- Myślę, że to dobre. Będę miała cały czas opiekę, w razie czego zawsze mi pomogą. Zrobią badania, wypiszą receptę. To fajna i przydatna rzecz - mówiła spokojnie.

- Tak, faktycznie to dobre, tylko nazwa źle się kojarzy.

Wymienili między sobą jeszcze parę pozytywnych uwag i wrócili do wcześniejszej rozmowy. Wiedziała, że muszą ten temat jeszcze sami przetrwać.

Dzień wizyty szybko nadszedł. Z niecierpliwością i niepewnością czekała na dzwonek domofonu. Przyszła młoda, uśmiechnięta pani. Od razu rozwiała wszelkie obawy. Jej ciepły głos sprawiał, że coraz bardziej oswajała się z tematem. Pani Zosia wytłumaczyła, na czym będzie polegała współpraca, opieka. Coraz bardziej jej się to podobało, a najbardziej - spotkania z tak empatyczną osobą. Wiedziała, że z nią będzie mogła rozmawiać o wszystkim, swobodnie, bez kontrolowania swoich słów. Tylko żeby jej się to udawało – mówić o sobie, o swoich lękach, o tym, co ma w środku. Będzie teraz potrzebowała czasu. Z pewnością on nadejdzie. Umówiły się, że, aby łagodniej brzmiało stwierdzenie „hospicjum domowe”, będzie to opieka domowa. Prawda, że inaczej brzmi? To było cudowne spotkanie. POMIMO.

Podobnie przebiegło spotkanie z panią doktor. Śmiały się, że to ich pierwszy raz i każda była zestresowana. Niepotrzebnie, ale dla każdego ten pierwszy raz to wielkie przeżycie. Czuje się zaopiekowana przez nie. Co jakiś czas dzwonią i pytają, czy jest wszystko w miarę dobrze. Może czegoś potrzebuje?

- To fajna rzecz - mówiła do siebie, aby coraz bardziej zmieniać swoje nastawienie.

Pani Zosia namawia ją na spotkanie z psychologiem, specjalistą onkologicznym, z dużym doświadczeniem w tej materii. Chyba nie jest jeszcze na to gotowa.

- Nie odważę się przed nim otworzyć. Nie potrafię o sobie rozmawiać. O swoich przeżyciach, rozterkach, strachu. To tkwi we mnie. Wiem, że zamykanie wszystkiego w sobie nie jest dobre, ale jeszcze do tego nie dojrzałam. Jeszcze nie nadszedł ten czas - tłumaczyła.

Jej koleżanka co jakiś czas napastuje ją i mówi, aby to z siebie wyrzuciła. Nie potrafi. To nie ze strachu i nieumiejętności. Jest osobą bardzo skrytą i zamkniętą w sobie. Przez całe życie taka była i na razie nie potrafi tego zmienić. Wie, że nie jest to dobra strategia, ale w tym momencie nie potrafi inaczej.

Raz spróbowała trochę się otworzyć, a może tylko tak jej się tylko zdawało. Może mówiła to, co ta druga strona chciała usłyszeć lub nie chciała mówić, aby samej tego nie usłyszeć. Nie czuła się z tym dobrze, więc po co miała to robić. Do rozmowy z psychologiem musi jeszcze dojrzeć, musi mieć czas. Ile? Sama nie wie. Nigdy o sobie dużo nie mówiła. O wszystkim innym tak. O swoich pasjach, chwilach uniesienia w pracy, o organizowanych przez siebie wernisażach, koncertach, o ludziach, dla których to robiła – tak, o tym opowiadała z pasją. O swoim wewnętrznym „ja” - nie potrafiła. Jeszcze nie.

Kolejna wizyta pani Zosi coraz bardziej przybliżała ją do spotkania z psychologiem. Pielęgniarka tłumaczyła jej, że rozmowa z nim pozwoli jej się otworzyć, dzięki czemu uzyska trochę spokoju i wytchnienia.

- Wiem. Ja to wszystko wiem, przecież tego uczę moich znajomych, gdy mają spore kłopoty, z którymi nie mogą sobie poradzić. Mówię, mów, ja cię wysłucham - i słucham. Tylko słucham. Nie radzę, nie pouczam, nie mówię „ja na twoim miejscu” ... Tylko słucham, bo wiem, że potrzebują, aby ich ktoś tylko wysłuchał, a ja potrafię to robić. Słuchać ich, ale nie mówić o sobie. Wiem, że nie mogę tego wszystkiego kumulować w sobie, bo mam coraz mniej miejsca. Chyba spróbuję. Przede wszystkim dla pani i mojej córki, która od lat mnie na to namawia. Tak, spróbuję i umówię się. Nie wiem, czy dam radę odsłonić to, co tak skrętnie skrywam - mówiła długo i stanowczo.

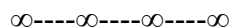
Wiedziała, że dziewczyny nie odpuszczają. Znała swoją córkę, a teraz i Zosię.

- Tak, pójdę. POMIMO - powiedziała sama do siebie, ale niezbyt przekonująco.

Pamiętała rozmowę z psychologiem szpitalnym. Zadawał dziwne pytania, na które musiała odpowiadać. Robiła to nie zawsze szczerze. Najgorsze pytanie brzmiało:

- Czy ma pani myśli samobójcze?

Zamurowało ją. Chwilę milczała, a on czekał na odpowiedź. Wypełniał przecież standartową ankietę. Nawet gdyby miała takie myśli, to i tak by mu nie powiedziała, choć czasami... No nie. Nie mogłaby zrobić tego swojej rodzinie, nie ona.



Czas szybko mija. Dla niej są to dni na "p" czyli poniedziałek i piątek. Środkowe pędzą tak szybko, że czasami jej uciekają i znowu są dni na "p".

W międzyczasie ma wyjazdy do Warszawy. Są dla niej coraz bardziej męczące ze względu na daleką drogę; to ponad 400 kilometrów w jedną stronę. Daje sobie jednak zawsze radę. Są to wyjazdy jednodniowe, gdy jedzie z synem lub zięciem. Co jakiś czas są dwudniowe, gdy jedzie z córką. Nie ma innego wyjścia, nie zawsze może znieść wszystkiego w jeden dzień. To przecież około 14 godzin, a ona nie ma już tylu sił. Jest coraz bardziej zmęczona. W czasie jazdy mijają miejscowości i rzeki o dziwnych nazwach. Stara się je zapamiętywać. Są to jakieś punkty odniesienia. Jakby mijala kolejny i kolejny raz znajome miejscowości czy rzeki. Zaczęła je zapisywać. To Łozina, Pisia Gągolińska, Wiskitki, Bąków, Bralin, Marcinki, Galewice, Lututów, Złoczew, Łask, Rzgów, Konotopa... i wiele jeszcze innych, których już nie pamięta. Zatopieni w milczeniu, w swoich myślach, suną monotonnie autostradami. Krzysiu co jakiś czas pyta, czy wszystko jest ok, czy może trzeba się zatrzymać. Ta jego troska jest taka ciepła jak on sam. Zawsze udaje się zdobyć stolik w Mozaice. Idą powoli. Ona uczipiona jego stabilnego i mocnego ramienia. Mijają pomnik Matejki. Zawsze jest ten sam, ale ona widzi go za każdym razem jakby od nowa, mówiąc:

- Popatrz, pomnik Matejki.

Jakby go widziała po raz pierwszy. Syn uśmiecha się łagodnie, mówiąc:

- Przecież mijamy go kolejny raz.

- Tak, wiem, ale dla mnie zawsze nowy. Proszę, zróbmy sobie zdjęcie.

Z którymś razem dał się namówić. Na fotografii są trzy twarze - Krzysia, Boguśki i Jana. Piękne zdjęcie.

Siadają wygodnie w swojej restauracyjce. Jak zawsze jest w niej tłum ludzi. Wybierają nowe potrawy i spokojnie, bez presji czasu, rozkoszują się smakiem i własną obecnością. Wie, że jest bezpieczna z synem. To dla niej wiele znaczy. Wie, że zawsze może też liczyć na Michała, męża córki.

Uwielbia wyjazdy dwudniowe z wnuczką. Julka je także uwielbia. To urodzona podróżniczka.





Poznaje Warszawę w różnych porach roku i dnia. Czasami planują wizytę w teatrze, oczywiście oglądają tylko komedie ze świetnymi, znanymi z ekranu aktorami. Cudownie się wtedy bawią. Śmieją się spontanicznie i szczerze. To jest poniekąd ich ucieczka od różnych myśli. Zgaszone światła, wygodne fotele, zawsze blisko sceny i te twarze aktorów, znanych tylko ze szklanego ekranu - niemal na wyciągnięcie ręki. Także dużo spacerują. Elizka pokazuje jej Warszawę tak różną i piękną. Dzięki niej poznaje nowe miejsca, zakamarki, urokliwe parki, w których nigdy nie była, choć w przeszłości często bywała w stolicy. Poznaje Stare Miasto zawsze z innej, nowej strony. Niby to ten sam plac, ale zawsze wydaje się jej, że to nowe miejsce.

Wędrują w Łazienkach Królewskich po nowych ścieżkach latem, jesienią, zimą i wiosną. Za każdym razem wydają się inne, piękniejsze i tajemnicze. Podziwiają skąpane w wodzie długie, wiotkie gałęzie wierzb, które jakby brały poranną kąpiel. Oglądają skąpane w słońcu kwiaty na stawach. Szemrzące fontanny.



Mijają tłumy uśmiechniętych spacerowiczów, rozkoszujących się widokami i słońcem. Nie spodziewała się, że spacer w Łazienkach Królewskich w deszczu może być również cudowny. W takich dniach jest mało turystów, więc chwilami są same na ścieżkach. Pod kolorowymi parasolami, które barwnie oświetlają ich uśmiechnięte i szczęśliwe twarze, słyszą, jak stukają miarowo krople deszczu, wyznaczając rytm kroków.



Za każdym razem poznają na nowo Pałac Kultury. Niby ten sam, ale o każdej porze dnia, z innej perspektywy, wygląda inaczej.



Wizyty w Warszawie to też poznawanie nowych dla nich smaków. Wyszukują knajpki z nowymi potrawami, smakują je i delektują się nowymi, nieznanymi daniami. Okazuje się, że niektóre są fantastyczne i córka stara się je przenieść do swojego domu. Świetnie jej to wychodzi. To są prawdziwe dzieła sztuki, kunsztownie ułożone składniki.



Zdarza się czasem, że to nie ich smaki i do nich nie powracają. Cieszą je także spacerami bulwami nadwiślańskimi i ten zapach, i widok Wisły. To są wspaniałe momenty i gdyby nie choroba, nigdy, nigdy by ich nie doświadczały. To dobry aspekt raka. Zawsze znajduje coś fajnego, pozytywnego w swojej chorobie. POMIMO.

Z pewnością tak ma być, aby doświadczały takich chwil. POMIMO.

Ktoś to zaplanował i skrupulatnie realizuje swój plan.
Spacerując zakątkami Warszawy mijają uśmiechnięte tramwaje.



Taką miała konstrukcję. Jeden szczególnie przykuł jej uwagę. Zwolniła. Stanęła i z niedowierzaniem odczytywała jego tablicę informacyjną. Czytała "Nowotwór - trasa zmieniona". Niedowierzała oczom. Odczytywała napis wielokrotnie jak zaczarowana. Po chwili ruszyła. Najpierw wolno, potem coraz szybciej. Musiała do niego wsiąść zanim odjedzie. Ale czy to możliwe, aby była taka trasa? Kiedy była już przed uśmiechniętym tramwajem jeszcze raz spojrzała na tabliczkę. Źle odczytała jedną z liter. Nie nowotwór, ale Nowodwór - T i D. To nic. Dla niej był to znak, że jej nowotwór już zmienił trasę. Ma nadzieję, że kolejny i kolejny jego przystanek będzie poza Boguską.

Wyjazdy z Julią to kolejne nowe doznania. Pierwsze, co ona robi w pokoju hotelowym, to swoje porządki. Jest to urokliwe. Układa wszystko po swojemu. Potem chwila lenistwa. Julia, tak jak i one, uwielbia spacerować i wizyty w nowych restauracjach, choć zawsze zamawia rosół. Jak długo można go jeść?... Uwielbia wtedy patrzeć, jak wnusia ze smakiem go zjada. Wieczorami, w blasku ulicznych latarni, swoimi małymi stópkami wystukuje w tańcu rytm własnej i naszej radości.

Uwielbia śniadania hotelowe. Z kubkami swoich ulubionych kaw w milczeniu obserwują spacerujących lub pędzących za oknem ludzi. Każda na swój sposób celebrytuje te chwile. Siedzą, ile chcą, delektując się każdą chwilą, każdym łykiem spienionej kawy, czy z Julią - czy też same. Z uśmiechem i zadumą na twarzy tworzą swoją własną rzeczywistość. Grudniowe nicnierobienie, świąteczne piżamy i taniec świątecznych skarpetek - do tego nie doszło. Teraz wyjazd z Julią. Skrzętnie się do niego przygotowywała. Szukała jednakowych skarpetek, tym razem kocich. Taniec sześciu stóp tym razem musiał się udać. Jest ok. Jadą z uśmiechniętą i zadowoloną Julką. Zamówiły swój ulubiony

hotel w centrum. Piękna pogoda. Dziewczyny czekały na nią. Chyba były gdzieś w pobliżu na spacerze. Po wlewie - razem szybki obiadek w barze. Pojechały do parku. Był cudowny. Atrakcją miało być karmienie wiewiórek. Miała lekkie obawy co do karmienia rudych psotnic. Przecież nigdy nie wiadomo, co im przyjdzie do małych główek. Córka zawsze zabierała ją do nieznanych jej miejsc. Tym razem był to park. Z trudem znalazły miejsce do parkowania, córka zawsze coś znajdzie, nigdy nie ma z tym kłopotu. Spacerowały alejkami i krętymi ścieżkami. Dziewczyny prowadziły ją do miejsca, gdzie już kiedyś bywały, do wiewiórek. Miały przygotowane ich przysmaki, orzeszki. Szła z nimi, chłonąc wszystko dookoła, jakby chciała zapisać w pamięci te ulotne chwile. Nagle stanęły. Przykucnęły i zaczęły przywoływać rude kity. Śmieszne to było. W wyciągniętych dłoniach trzymały orzechy. Stała z boku i przyglądała się tej scenie. Wyglądały jakby zeszyły z obrazu. Nieruchome, zastygłe w oczekiwaniu, wśród wszechobecnej zieleni. Z zadumy wyrwał ją głos córki:

- Mamuś, patrz.

Spojrzała na małą polankę, na której przykucnęły. Trzy rudzielce z pięknymi kitami biegły w kierunku wyciągniętych rąk. Rozglądały się, jakby wybierały z której dłoni capnąć orzeszka. Przyglądała się uważnie i w milczeniu. Wiewiórki błyskawicznie zgarniały swoimi małymi pyszczkami spore orzeszki. Odbiegały nieopodal i zakopywały w ziemi. Inne zjadały orzechy od razu, pozostawiając łupiny. Dziewczyny wyjmowały nowe i ponownie je przywoływały. Scenki się powtarzały dotąd, dopóki głośnie i roześmiane małe dzieci ich nie spłoszyły.

Zadziorne rudzielce szybko przemknęły obok i skryły się wśród gałęzi wielkich drzew. Pojawiało się coraz więcej spacerowiczów. Robiło się gwarno. Szukały innego spokojniejszego miejsca, ale tłumu rudych kit już nie było. Podbiegały pojedyncze i szybko uciekały ze zdobyczą, by ją zakopać lub w pośpiechu zjeść. Ich małe, rozbiegane, filuterne oczka bacznie obserwowały otoczenie, by sprawdzić, gdzie jeszcze są przysmaki.



Ludzi było już bardzo dużo i ten wszechobecny głośny gwar, śmiech i krzyki dzieci na dobre wypłoszyły zwierzaczki. Zapewne, tak jak i one, szukały ciszy i spokoju.

Pojechały do hotelu, by zostawić bagaże. Wszystkie trzy przez chwilę odpoczywały. Planowały, gdzie pójść na kolację. To musiało być nowe miejsce i dobre dla wszystkich. Wybrały włoską pizzerię. Była przytulna, stylowa i pachnąca gorącym i smacznym jedzeniem. Elizka zamówiła spaghetti, a ona z Julią - pizzę. Jadły powoli, smakując każdy nowy dla nich kęs. Przecież nigdzie się nie spieszyły. Planowały dalszą część wieczoru. Ona wiedziała, jaki będzie, przecież sama go obmyślała. Wracaly nowymi dla niej zakątkami Warszawy. Światła lamp i blask z okien małych knajpeczek oświetlał im drogę. Julia, jak zwykle rozbawiona, zadowolona, „odstawiała” swoje tańce. Śmiały się wszystkie do rozpuku. Wróciły do hotelu zmęczone, ale szczęśliwe.

- No to co, relaks i nicnierobienie - powiedziała ze śmiechem.
- Mam kąpielowe czepki, i mamy maseczki, więc spa.

Położyła ukradkiem na łóżku kocie skarpetki. Czekala na reakcję dziewczyn. Usłyszała ich chichot i pytanie, co to jest? Każda miała do wyboru kolor. Były zdziwione, ale bardzo rozbawione. Wykąpały się wszystkie szybko i zaczęła się zabawa, która przerodziła się w głupawkę. Założyły czepki kąpielowe, ubrały skarpetki i nałożyły maseczki. Wyglądały dziwnie. Sześć stópek, trzy pary, tańczyły w rytm leniwie sączącej się z oddali muzyki. Wyglądało to bardzo zabawnie. Każda stopa tańczyła swoim rytmem swój przedziwny taniec. Wyglądało to prześmiesznie.





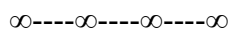
Same zaśmiewały się do łez. Żartom końca nie było. Gdyby ktoś je z zewnątrz oglądał, powiedziałby, że to wariatki. Dla nich to była świetna zabawa. Taki babski wieczór, który wykończył je dokumentnie.

Zasnęły szybko z uśmiechami na twarzach.

Rano trudno im było wstać, ale perspektywa porannego pysznego śniadania przyspieszyła ich poranną toaletę. Zeszły na śniadanie. Zajęły swoje ulubione miejsce przy oknie. Oczywiście, pyszna kawa na początek i soki dla Julii, to też taki ich rytuał. Potem każda już sama przygotowywała swoje śniadanie. Najbardziej chyba była zadowolona Julka. Sama z wielką gracją chodziła i wybierała to, na co miała ochotę. Czas ich nie gonił. Nigdzie się nie spieszyły. To były, to są cudne chwile. POMIMO.

W drodze powrotnej, oczywiście jeszcze w stolicy, Elizka pojechała inną trasą, aby zawitać do nieznanych i ciekawych zakamarków miasta.

Czas przejazdu nawet szybko minął. Zmęczone, ale szczęśliwe wracały do swoich domów. Ona z trudem wdrapała się na czwarte piętro. Czekala na nią, jak zwykle, gorąca herbata, którą tak uwielbiała i kolacja na jej stoliku. Owinęła się kocem i z wielką rozkoszą popijała małymi łydkami bursztynowy płyn, który powoli rozlewał się po jej ciele.



Majowy zabieg się nie kończył. Cały czas, powoli, kropla po kropli, sączyła się maleńka strużka krwi, więc każdego wieczoru zmieniała opatrunki. Uparty organizm. Rana nie zrastała się. To taka niezwykłość, myślała. Została wyznaczona kolejna wizyta na zabieg. To chirurgia jednego dnia. Lekarz tak do końca nie wiedział, co będzie robił.

- Będziemy improwizować - powiedział z rozbawieniem.

Znali się już dosyć długo, więc mogli sobie pozwolić na takie żarty, chociaż faktycznie nie mógł to być łatwy zabieg, bo nie wiadomo, jak zachowa się pergaminowa skóra. No, ale cóż nie ma wyjścia. Będzie czekała na kolejne spotkanie, jakkolwiek to brzmi.

Zabieg zabiegiem. Nie był on dla niej w tej chwili najważniejszy. Przygotowywała kolejny koncert, podsumowujący cały rok. Jak zawsze, bardzo solidnie nad nim pracowała. Musiał być fantastyczny, jakby inne nie były. Czekala na ten dzień. Dzień szczególny dla niej. Miała śpiewać i grać jej wnuczka Maja. Miała przyjść również większość jej rodziny. Oczywiście, goście nie zawiedli. Wypełnili całą Galerię N... Trzeba było dostawiać krzesła. Spojrzała na ludzi. Czekali na rozpoczęcie. Ich rozpromienione i wyczekujące twarze jak zawsze dodawały jej sił. Rozpoczęło się od fortepianowo - skrzypcowego utworu Beethovena. Jak zwykle, dźwięki skrzypiec powodowały drganie szyb w oknach. To był jak zwykle wulkan, eksplozja muzyki oraz emocjonalne zachowanie skrzypaczki. Grała całą sobą. Następnie widownia zachwyciła się utworami na oboju - w wykonaniu Mai. Była bardzo przejęta. Zagrała wspaniale. Mazurki Chopina to popis fortepianowy jednego z profesorów szkoły muzycznej. Mocne dźwięki wydobywające się z otchłani fortepianu powodowały drżenie jego strun. Zdawało się, że zaraz kolejno będą pękać i umykać w przestrzeń. Po chwili muzyka łagodniała, lekko rozplywając się po sali, by następnie ostrymi i gwałtownymi dźwiękami powtórnie obudzić ludzkie zmysły.

Nie widziała nikogo oprócz twarzy swoich bliskich - Krzysia, Ilony, Elizki, Klary i Juli. To oni byli dla niej w tym momencie najważniejsi. To dla nich twardo stąpała po ziemi na wysokich obcasach, trzymając pion. To oni też czekali na występ Mai. Na ten moment ona też czekała najbardziej. Światowe przeboje w jej wykonaniu. Wiele razy słuchała jej koncertów, zawsze była zafascynowana, ale dzisiaj Maja śpiewała wyłącznie dla niej. Były to utwory Franka Sinatry i Elvisa Presleya. Jej mocny głos rozbrzmiewał nie tylko w sali, wypełniając każdy zakamarek, ale i w sercach uczestników. Widziała to w ich twarzach. Oczywiście na koniec francuski utwór „Ostatni taniec”. Uwielbiała go, ale zawsze powodował lawinę łez. Tym razem obiecała sobie, że da radę, że łzy nie będą silniejsze od niej. Zamknęła się w sobie, kurczowo zaciskając dłonie.

- No, daj radę, Boguśka, nie płacz.

Nie dała rady. Początkowo ukradkiem ocierała drobne łzy, ale potem pozwoliła im łagodnie płynąć po twarzy. Czy to widzieli? Nie wie, siedziała bokiem do wszystkich, ale wcale się ich nie wstydziała. Po zakończeniu koncertu powoli wstała, podziękowała Mai, wręczając drobną pąsową różę. Skierowała się do publiczności. Powycierała resztki łez i drżącym głosem powiedziała: - Znacie mnie państwo, wiecie, że jestem bardzo uczuciowa i emocjonalna. Niektóre chwile mnie bardzo wzruszają. Tak było przed momentem. Nie ukrywam, tak jak i wy, swoich wzruszeń. Pokiwali przyjaźnie głowami. Sami przecież wzruszali się i płakali na spotkaniu świątecznym. Koncert zakończyły piosenki letnie i obozowe, których większość знаła ze swojej młodości. „Obozowe tango”, „Lato, lato, lato pachnące miętą” ... Przyniosła naręczę mięty. Jej zapach rozniósł się po całej sali. Rozdała ją wszystkim. Chętnie ją przyjmowali i delektowali się jej zapachem. Nastrój był wspaniały, swobodny. Wszyscy włączyli się do wspólnego śpiewania. Na zakończenie przy kawie, herbatce, wodzie z miętą i słodkościami jeszcze długo razem siedzieli, rozmawiając ze sobą, śmiejąc się szczerze i swobodnie. Patrzyła na nich z lekkim uśmiechem na twarzy, z błyskiem w oczach. Byli szczęśliwi, a o to jej przecież chodziło - aby być ze sobą, nie spieszyć się nigdzie - choć na moment. Tak było. Szkoda, że to było jej ostatnie spotkanie. Obiecała to sobie i swoim bliskim. Zbyt dużo energii, siły i samozaparcia pochłaniało każde przedsięwzięcie, które tak uwielbiała. Postanowiła wcześniej, że

musi dotrwać do wtorku, choć miała coraz mniej siły. Wtorek właśnie mijał. Musi już zwolnić i odpocząć. Na zakończenie tego pięknego dnia, na swoim biurku znalazła przygotowaną przez Klarę i Julię kartkę z napisem: „Babciu, Kocham Cię”. Napis nie był jeden, ale po wielokroć powtarzany, tyle, ile razy zmieścił się na kartce, a była ona duża.

Usiadła wygodnie, wzięła kartkę w dłonie i czytała, choć zdanie było jedno. Czytała każdą linijkę. Kiedy doszła do końca, powtórnie, powoli, jej twarz zaczęły pokrywać drobne kropelki słonych łez. Dała im swobodę. Była przecież sama. Zamknęła oczy i głęboko oddychała, czując spływające strużki łez. Była szczęśliwa i lekka. Miała ich. Pod zamkniętymi powiekami przewijały się obrazy, których było ogrom. Słowa Wiktora: „Babciu, ślicznie wyglądasz. Życzę ci miłego dnia”. Gesty Julki:

- Babciu, zaczekaj - odsuwała krzesło i prosiła, aby usiadła, albo otwierała przed nią drzwi samochodu. Roześmiane oczy Mai i Klary, kiedy się spotykały i ten okrzyk: O, babcia! i te ciepłe i szczere przytulanki. Ten perlisy śmiech dzieci, kiedy są razem. I śpiew Mai. Może tego słuchać bez końca. Ciepło swoich wnucząt czuje cały czas, nawet wtedy, gdy ich przy niej fizycznie nie ma. Czy więc można mówić: „Nie, nie dam rady?”

- Dasz, dam ja, dasz i ty. Da każdy, kto ma dla kogo żyć!
To są piękne chwile. POMIMO.

∞-----∞-----∞-----∞

Kiedy sięga pamięcią wstecz, stwierdza, że osiągnęła dużo. Jest pedagogiem. Ma swoje publikacje książkowe, artykuły w pracach zbiorowych i w prasie. Autorskie kalendarze. Swoją wieczór autorski w EMPiK-u. Nagrody i wyróżnienia w ogólnopolskich konkursach na najlepsze programy autorskie. Program nauczania na liście programów MEN. Wykłady na konferencjach ogólnopolskich, czeskich i niemieckich. Prowadziła szkolenia dla nauczycieli w dużych miastach polskich, m.in. w Krakowie, Katowicach, Opolu, w Warszawie (w Pałacu Kultury) i w wielu innych. Prowadziła zajęcia na uczelni wyższej dla studentów stacjonarnych, jak i na studiach podyplomowych, przygotowując przyszłych nauczycieli do trudnej i odpowiedzialnej pracy.

Posadziła ze swoimi uczniami dziesięć tysięcy drzew w górach. Przez pięć lat jej program był finansowany ze środków Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży.

Jest Honorowym Profesorem Oświaty (to najwyższy stopień w awansie zawodowym nauczycieli), jedyna w mieście i byłym województwie jeleniogórskim, w gronie 100 osób w tym czasie w kraju. Otrzymała liczne nagrody dyrektora, prezydenta miasta, Kuratora Oświaty, Ministra Edukacji Narodowej, Marszałka Województwa, Złoty Medal za Długoletnią Służbę, Medal Komisji Edukacji Narodowej, srebrną Odznakę Za Zasługi Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

To tylko część jej sukcesów, przynajmniej dla niej, wypracowanych ciężką i solidną pracą. Mogłaby obdarzyć nimi sporo ludzi. To dużo czy mało?

∞-----∞-----∞-----∞

Teraz wracam do siebie. Ona to ja. W maju i czerwcu były kolejne zabiegi, ponieważ rany się nie goiły. Taki przewrotny organizm, chyba już bardzo zmęczony. Kolejny zabieg odbył się w lipcu.

Lekarz powiedział, że to bardzo niestandardowy zabieg, ale czy ja jestem standardowa? Niestety, mimo ogromnych wysiłków lekarza, organizm nadal się buntuje. Przeszczep się nie przyjął, wdała się martwica, a rany się rozchodzą i krwawią. Być może poddadzą mnie kolejnym zabiegom, z pewnością tak, ale ja wiem, że dam wszystkiemu radę - ile by tego nie było.

Co będzie dalej - nie wiem, ale wiem, że jestem tu i teraz. Żyję i cieszę się życiem swoim i innych. Czasami myślę, że moja choroba, rak to z pewnością coś okropnego, ale być może gdyby nie ona, to nie nauczyłabym się inaczej żyć. Doceniać to, czego kiedyś nie zauważałam. Cieszyć się każdą drobnostką, niezauważoną przez innych. Uśmiechać się i iść drogą życia z dumnie podniesioną głową. Prężnym i pewnym krokiem. POMIMO.

To rak i wciąż nieudane zmaganie się z nim nauczyły nas wszystkich inaczej żyć. Ta walka bardzo zbliżyła nas do siebie i upewniła, że zawsze możemy na siebie liczyć.

Daję radę ja, dasz radę i Ty. Dacie radę i Wy. Nigdy nie wolno się poddać, chociaż czasami jest bardzo ciężko i chciałoby się, aby już wszystko się skończyło, aby odpocząć, nie czuć i nie myśleć. To błędne myślenie. Walcz do końca, nawet gdy brakuje tchu. Nie wiemy bowiem, czy jutro nie zaświeci dla nas słońce i nie poczujemy ciepła czyjejs dłoni.

Wierście mi, tak trzeba. Sama boleśnie upadałam, obolała, pokiereszowana doświadczeniami z resztkami sił, ale podnosiłam się i czasami na czworakach, szłam do przodu, by zobaczyć choć promyk ciepłego słońca, który ogrzeje moją twarz. POMIMO. Nie wiem, co mnie czeka, ale wiem, że warto żyć i będę o to walczyła. POMIMO. Więc "Chcę żyć, to żyję".

Wiem, że Tobie, Wam to też się uda. Z całego serca tego życzę.

Ale?????

P.S.

- A co, jeśli nie mam dla kogo żyć, to czy warto tyle przechodzić, walczyć z bólem i brakiem nadziei? - zapytała mnie jedna z pacjentek.

Zawsze mamy dla kogoś, dla czegoś żyć. Dla uśmiechu sąsiadki, dla przyjaznych ludzi, a takich często można spotkać na swojej drodze. Dla zatroskanych naszymi sprawami znajomych, przyjaciół. Dla porannego pięknego wschodu słońca i bajecznego zachodu. Dla widoku tajemniczego Księżyca w pełni. Dla porannego przekomarzania się ptaków. Dla porannej rosy na trawie i mgły unoszącej się nad polami. Dla swojego odbicia w lustrze i uśmiechu na twarzy. POMIMO.

Dla przeglądania starych i nowych fotografii z przywoływaniem wielu wspomnień. Dla ciepłego uścisku dłoni. Dla pięknej muzyki i twojej ulubionej melodii. Dla ciepłych promyków słońca otulających twój twarz. Dla porannej burzy. Dla jeszcze niespełnionych drobnych marzeń.

Dla...

Pomyśl, ile pięknych drobnostek czeka na ciebie w każdej chwili, każdego dnia. Jak sądzisz, czy warto wszystko to przeżyć? Wiem, że czasami chcemy zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Odejść w nicość. Wiem, jak to jest, sama miewam takie chwile, ale trzeba odrzucić te myśli i żyć, na ile się da, pełnią życia. Należy pozwolić spełniać się drobnym marzeniom, tak jak w przypadku pani Albiny. Dlatego walczyć o to. POMIMO. Walcz i żyj przede wszystkim dla siebie!!!!!! Nigdy nie myśl, że nie masz już po co żyć. MASZ i żyj. POMIMO!!!!!!!!!!

Odejść zawsze zdążysz.

A teraz stań przed lustrem. Uśmiechnij się do mnie. Uśmiechnij się do siebie. Zrób kolejny krok do przodu. POMIMO.

Więc do zobaczenia - bez względu na to, gdzie i kiedy.

Obiecuj mi to!

Obiecuj to sobie!

*Bogusia B - drobna platynowa blondynka w różowym swetrze,
zawsze uśmiechnięta i szczęśliwa*

POMIMO

